

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



FOT. DANUTA B. LOMACZEWSKA/EAST NEWS

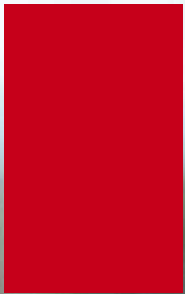
ODKŁAMYWANIE
PAPUSZY

Jej wiersze i myśli,
które znaleźliśmy, to
głównie falsyfikaty ▶28



WYSOKIE
OBCASY

Marta Markiewicz
Ćpanie i chłanie
bez lukru



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Jesteśmy światową potęgą
w zabijaniu na futra

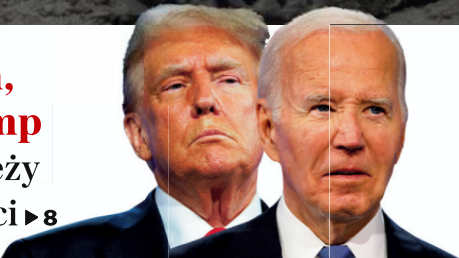
• Bogna Wiltowska, wiceprezesa
Otwartych Klatek

FOT. ANDREW SKOWRON

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Stary Biden,
młody Trump**
Od czego zależy
jakość starości ▶8



FOT. REUTERS/MARCO BELLO

Związki otwarte
Każdy w naszej
czwórce kocha
każdego ▶36

**Tajemnica
astrolabium**
Jak działa to coś, co
Kopernik trzyma w ręce ▶40

Bartosz T.
Wielński

Sztorm, który nadchodzi, może być szansą dla Polski

Z Trójkąta Weimarskiego, polsko-niemiecko-francuskiej inicjatywy, którą kilka miesięcy temu z przytupem reanimowano (pamiętacie jak Donald Tusk jechał do Berlina na godzić prezydenta Emmanuela Macrona i kanclerza Olafa Scholza) w niedzielę może ułamać się jeden wierzchołek.

Po przyspieszonych wyborach parlamentarnych w najgorszym wypadku po raz pierwszy w historii Francji rząd stworzy skrajna prawica. W najlepszym – władzę będzie sprawować szeroka i wewnętrznie skłócona antylepenowska koalicja. W 2017 r. gdy Macron pokonał w wyborach prezydenckich Marine Le Pen mówiło się, że Francja tchnie w europejski projekt nowego ducha. Siedem lat później Francja staje się słaba.

A Niemcy? Tam od trzech lat testują, co oznacza skłócona wewnętrznie koalicja. Rząd kanclerza Scholza trzeszczy w szwach. Nie jest pewne, czy przetrwa do jesieni. Bo jesienią w trzech wschodnioniemieckich landach wybierane będą lokalne parlamenty. Sondaże wskazują, że wybory wygra skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec. W Turyngii nie da się zbudować przeciwko niej żadnego aliansu. Po raz pierwszy od 90 lat brunatni w Niemczech przejmą władzę...

Taki złośliwy paradoks. Przez osiem lat Polska tkwiła w Unii na peryferiach, gdzie skierował ją populistyczno-prawicowy rząd. Teraz, gdy Polska wróciła do unijnego centrum, słabną nasi najważniejsi partnerzy. Gdy Polska odsunęła populistów – mniej nadzieję, że trwale – od władzy, populizm wystrzelił w krajach, które niedawno chępiły się tym, że są kolebkami demokracji.

A świat nie śpi. Rosja, mimo kolosalnych strat, nie odpuszcza Ukrainy. Liczy, że Donald Trump wygra wybory i przestanie wspierać jej obrońców, zmusi ich do zawarcia pokoju na rosyjskich warunkach. Zwycięstwo Trumpa mogłoby oznaczać nie tylko rzucenie przez USA Ukrainy na rosyjską pastwę, ale zerwanie więzów Ameryki z Europą. A być może europejsko-amerykańską zimną wojnę. W takim scenariuszu pojęcie „europejska jedność” zyska nowe znaczenie. Jak ją utrzymać, skoro Europa słabnie?

Sztorm, który nadchodzi, może być „polskim momentem”.

Znamy zagrożenia, doświadczyliśmy i populizmu i efektów rosyjskiej wojny hybrydowej, wiemy o jaką stawkę toczy się gra. Mamy silne społeczeństwo obywatelskie, mamy doświadczonych w boju przywódców. Oceny i prognozy Donalda Tuska czy Radosława Sikorskiego – można z nimi się nie zgadzać, można ich nie lubić – są słuchane nie tylko w europejskich stolicach. Oni nie paktują z utrzymankami Władimira Putina, oni są wiarygodni.

Przez lata domagaliśmy się, by Polskę traktować w Europie jako równorzędnego partnera. Wygląda na to, że teraz to Polska będzie musiała Europę ratować. ●

Andrzej rysuje



Olimpiada tuż, tuż Francuskie igrzyska



W piątek, 26 lipca rozpocznie się w Paryżu Olimpiada. Pięciokolorowe pierścienie są już wszędzie: na flagach, chodnikach, koszulkach. I w witrynie sex shopu w dzielnicy Pigalle. Paryż, 2 lipca 2024 r.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba dnia

56

PROC. POLAKÓW
jest wykonanych pod koniec dnia. Jesteśmy w czołówce zestresowanych nacji. Badanie dla Nationale Nederlanden

Eksperyment Mrówki też mają chirurgów

Mrówce chirurgi (w końcu robotnice to samice) ograniczają się do dwóch zabiegów: oczyszczania rany i amputacji. Wybór procedury jest ściśle zależny od miejsca rany.

– To jedyny znany nauce przypadek celowej, leczniczej amputacji w królestwie zwierząt [oczywiście poza naszym gatunkiem] – mówi dr Erik Frank, ekolog behawioralny z Uniwersytetu w Würzburgu, który kierował eksperymentem z udziałem pochodzących z Florydy mrówek z gatunku *Camponotus floridanus*, po angielsku zwanych cieślami.

W eksperymencie tym, nietety, zwierzęta ucierpiały. Naukowcy celowo ranili część mrówek, a następnie obserwowali, jak towarzyszyki zaczęły opatrywać ich rany. Jeśli uszkodzona została dolna część odnóża, ograniczali się do starannego oczyszczenia rany żuwaczkami. Jeśli natomiast uszkodzona była górna część, po oczyszczeniu rany następowała mozolna, co najmniej 40-minutowa amputacja też za pomocą żuwaczek. Obie metody leczenia przynosiły bardzo dobre rezultaty.



Skąd tak różne procedury w różnych urazach? Naukowcy postawili hipotezę, że wiążą się z odmiennym ryzykiem infekcji w obu miejscach. Górna część odnóża jest mocno umięśniona i tam przepływ hemolimy („krwi” bezkręgowców) jest duży. Dolna część jest słabo umięśniona i ukrwiona.

– Oznacza to, że rana dolnej części odnóża mniej uszkadza przepływ hemolimy i jeśli zostanie zainfekowana, bakterie mogą szybciej „rozejść się” po organizmie – tłumaczy dr Frank. Teoretycznie to ta część ciała powinna więc zostać szybko odjęta. Jednak ponieważ amputacja trwa długo, bezpieczniejsze jest samo oczyszczenie rany. Przy górnej części kończyny, kiedy krążenie jest mocno ograniczone, można sobie pozwolić na dłuższą, ale skuteczną formę leczenia.

Badacze opisują to w najnowszym wydaniu „Current Biology”. ●
Tomasz Ulanowski

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Nieeeeeee! Tatoooooo! Pomocyyyyyy!

Sąd nakazał przymusowo odebrać 7-letniego Kubę od ojca, bo nie chciał spotykać się z matką. Teraz matka ogranicza mu kontakty z ojcem, więc sędzia zaczął szukać wolnych miejsc w rodzinie zastępczej
Magda Roszkowska i Michał Janczura pytają: Dla kogo dobro dziecka jest najważniejsze?



Wyścig do Pałacu Prezydenckiego rozpoczęty

Wygodne buty po PiS

Rozpoczął się wyścig do Pałacu Prezydenckiego. Wynik zadecyduje, czy Koalicja 15 Października będzie w stanie sprawnie realizować program, czy też utknie na mieliźnie.

Wielowiejska



Premier Tusk ma rok, aby dowieść wyborcom, że warto postawić na obóz demokratyczny. Co nie będzie łatwe, biorąc pod uwagę, że niemal wszystkie przedsięwzięcia może wetować prezydent Duda.

Tusk ma określony pomysł na swoją politykę. Polega ona na „wchodzeniu w buty PiS”, jak to nazywają niektórzy komentatorzy. Filozofia lidera obozu rządzącego sprowadza się do hasła: PiS mówił przez osiem lat, że coś zrobi, a my po prostu to zrobimy, ale lepiej, sprawniej, racjonalniej. Bo PiS to generalnie nieudacznicy i są jak krowa, która dużo ryczy, ale mało mleka daje.

Tę agendę Tusk realizuje konsekwentnie i jest na to cała masa przykładów.

• **Granica białoruska.** Premier idzie śladem PiS, ale zastrzegając, że granicę zabezpieczy skuteczniej. Obiecuje, że wzmocni różnorakie bariery, bo plot zbudowany przez PiS fali migrantów nie zahamuje.

• **Kryzys migracyjny.** Tusk ogłosił, że – tak jak PiS – jest przeciwko unijnemu paktowi migracyjnemu. Tak naprawdę pakt ma głębokie uzasadnienie i jest przemyślany, bo jego celem jest ograniczenie napływu imigrantów, a oprostowana relokacja i tak nie będzie miała w przypadku Polski znaczenia, bo teraz to my jesteśmy państwem pod presją migracyjną i moglibyśmy liczyć na odciążenie przez innych. Ale premier uznał, że PiS-owi udało się tak skutecznie zaszczepić niechęć do paktu, że nie ma co z tym walczyć i lepiej zając stanowisko takie jak obóz Kaczyńskiego.

• **Centralny Port Komunikacyjny.** Po wyborach europejskich Tusk ogłosił, że flagowy projekt rządu Morawieckiego będzie realizowany, włącznie z lokalizacją megalotniska w Baranowie. Słusznie czekał z tą deklaracją, bo twardy elektorat szalał w mediach społecznościowych, powtarzając, że projekt trzeba wyrzucić do kosza. Nie należało więc temu elektoratowi – tak ważnemu w wyborach, w których frekwencja jest niska – mieszać w głowie. Ale po wyborach to już inna sprawa: rząd ma więcej czasu, aby wyjaśnić ludziom, że to przedsięwzięcie ma jednak sens, tylko trzeba je skorygować. A korekta głównie polega na tym, że kolej szybkich prędkości będzie łączyć duże miasta, nie małe miejscowości, bo tego typu kolej nie jest od tego, by zatrzymywać się w każdym miasteczku. Skorygowano też liczbę pasażerów, która przepłynie przez CPK, bo

liczby podawane przez PiS były z kosmosu.

Już w lutym, gdy Tusk napisał na platformie X: „Debata o przerwaniu budowy CPK jest bez sensu. PiS tej budowy przecież nawet nie zaczął. Równie dobrze można dyskutować o jakości elektrycznych aut Izero”, mówiłam w podkaście „Sabat symetrystów” Grzegorza Sroczynskiego, że rząd będzie kontynuował projekt. Bo emocje społeczne są po jego stronie, czy szerzej – po stronie dużych projektów infrastrukturalnych, które budują siłę i znaczenie Polski w Europie. A Tusk, który ma dobry słuch społeczny, o tym doskonale wie.

• **Reparacje.** Kolejny przykład „wchodzenia rządu w buty PiS” to zadośćuczynienie ofiarom II wojny ze strony Niemiec. PiS odniósł sukces: na trwałe wpisał do agendy hasło „reparacje”. Ludziom oczywiście mieszają się reparacje z odszkodowaniami. Ale to nieistotne: Niemcy mają coś nam dać, najlepiej ileś tam bilionów euro. Można wpisać dowolną liczbę, papier wszystko zniesie. Taktyka Tuska i jego ludzi w tej sprawie – po wstępnych zawirowaniach – przyjęła następujący kształt: tak, niech PiS się stara o reparacje, czekamy, na ile skutecznie załatwi pieniądze. A pod koniec rządów Kaczyńskiego KO mogła ogłosić: no oczywiście, PiS nic nie załatwił.

Co prawda PiS w ogóle nie chodziło o skuteczność, słowo „reparacje” jest na użytek wewnętrzny, aby pielegnować antyniemiecką fobię. Ale teraz pozwalał Tuskowski i tu zastosować taktykę „zrobimy to, co PiS miał zrobić, ale nie dał rady, bo nie umiał”. Czyli załatwimy pieniądze. Plan wydawał się dobry. Tyle tylko, że popełniono błąd polegający na pompowaniu oczekiwań. Media przed przyjazdem Olafa Scholza do Warszawy suflowały, że kanclerz ogłosi konkret w sprawie świadczeń dla żyjących jeszcze Polaków. Ale Scholz powiedział tylko, że będzie się „starał” tę sprawę załatwić. I media społecznościowe zalala fala krytyki, nie tylko ze strony PiS, ale także niezależnych publicystów, że Scholz nie spełnił oczekiwań, a rząd polski nic dla ofiar nie załatwił.

To zresztą pokazuje siłę propagandy Kaczyńskiego. Jeszcze dwadzieścia, piętnaście lat temu, również za czasów pierwszego PiS, sprawa odszkodowań była uważana za marginalną. Sama minister Fotyga podpisała się pod pismem stwierdzającym, że sprawa reparacji jest zamknięta, i pies z kulawą nogą na to nie zwrócił uwagi. A dziś urosła do kwestii fundamentalnej. To PiS nas tak wszystkich wytrenował. Więc Tusk uznał, że skoro tej emocji nie da się zneutralizować, lepiej przekierować uwagę w stronę rozwiązań realnych, jak świadczenia dla ofiar. I jeśli teraz szybko nie wymusi na Scholzu konkretów, zostanie mu to wpisane na listę porażek. Ale jeśli wypłata świadczeń dla tych 40 tys. osób dojdzie do skutku, to wówczas premier wyjdzie i powie: PiS załatwił 0 zł od Niemiec, ja wynegocjowałem... -tu padnie kwota, i ja-

ka by nie było, to zawsze będzie większa niż 0.

Hasło „Zrobimy to, co PiS zapowiadał, tylko lepiej i skutecznie” idealnie widać w tym wpisie premiera: „Pisowska minister Fotyga podpisała dokument o zrzeczeniu się przez Polskę reparacji, nasz rząd załatwia z Niemcami zadośćuczynienie. Morawiecki wpisał do KPO podatek od diesli, my załatwiliśmy z Komisją jego usunięcie. Zielony Ład, migranci, ukraińskie zboże – zawsze to samo. Oni psują, zrzucają na innych odpowiedzialność, tupią nóżkami i stroją patriotyczne miny, my naprawiamy, co się da. A niektórzy wciąż dają się na to nabierać”.

Tusk faktycznie jest w stanie wynegocjować w Unii o wiele więcej niż PiS, bo jego pozycja jest mocniejsza. Ma wizerunek człowieka, który zahamował pochód populistów w Polsce i łatwiej jest mu załatwiać kluczowe dla Polski sprawy.

Ta polityka jest nastawiona na odbieranie tlenku Konfederacji i PiS-owi. Ale to trudna ekwilibrystyka, bo za chwilę wyborcy KO mogą uznać, że ich ulubieniec zbyt mocno kopiuje

Pomysł Tuska na przekaz dla wyborców: oni mówili przez osiem lat, że coś zrobi, a my to po prostu zrobimy. Lepiej, sprawniej, racjonalniej

idee PiS. Takie sygnały już widać. Popularny komentator Piotr Szumlewicz napisał: „Niestety na wielu obszarach rząd Tuska kontynuuje politykę poprzedników. Dotyczy to polityki społecznej, gospodarczej, energetycznej, klimatycznej czy migracyjnej. Miała być naprawdę dobra zmiana, a jest lekka zmiana akcentów”.

Jednak póki co, pozycja premiera jest tak silna, że niezadowolone nie będzie miało charakteru masowego. Działa wciąż zakłęcie: „Donald, rób co chcesz, tylko nie dopuść, by PiS wrócił do władzy”.

Ta sama strategia towarzyszyła Tusowski w sprawie usunięcia fotografii rodziny Ulmów i o. Maksymiliana Kolbego z ekspozycji w Muzeum II Wojny Światowej. Nowe władze gdańskiej placówki jedynie przywróciły poprzedni kształt wystawy, ale wywołało to oburzenie także poza obozem PiS. Głośno zaprotestował wicepremier i lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. Oczywiście ta część ekspozycji nie mogła pozostać w niezmiennym kształcie, bo zawierała fałszerstwa historyczne, ale można było je skorygować bez wyrzucania postaci tak symbolicznych, a więc rozpalających emocje. Tusk stanął po stronie Kosiniaka. Sprawa została odkryta: Ulmowie i Kolbe powrócą.

Premier zajął takie stanowisko z dwóch powodów. Nie tylko dlatego, że realizuje politykę odbierania PiS tlenku, ale także dlatego, że chciał wesprzeć Kosiniaka. W koalicji jest napięcie spowodowane złym wynikiem Trzeciej Drogi w wyborach europejskich. W kuluarach sejmowych pojawiają się informacje, że część ludowców chciałaby zamienić Kosiniaka na Waldemara Pawłaka, bo ich zdaniem on byłby bardziej asertywny wobec Tuska.

Punkty na liście pretensji PSL są dwa. Pierwszy, że to Kosiniak musiał dawać twarz kryzysowi związanemu z zatrzymaniem dwóch żołnierzy na granicy, podejrzanych o przekroczenie uprawnień przy użyciu broni. Niektórzy politycy z TD naciskają, by obrona granicy była akcją policyjną, a nie wojskową, i aby odpowiedzialność za to brał minister z KO, szef MSWiA Tomasz Siemoniak.

A druga bołączka: aparat PSL uważa, że Tusk hamuje napływ działaczy ludowych do spółek skarbu państwa i w terenie rośnie z tego powodu niezadowolone (choć także w regionach KO słychać groźne pomruki, bo nikt z lokalnymi strukturami nie konsultuje obsady ważnych regionalnie spółek). Tusk będzie więc musiał wspierać Kosiniaka w różnych sprawach, aby nie pogłębiać frustracji w PSL-u. I przynajmniej w sprawie MIIWŚ szef MON może się pochwalić sprawczością, a w sferze symbolicznej nie jest to bez znaczenia.

Jednocześnie Kosiniak – jak wynika z nieoficjalnych informacji – chciałby, aby to Tusk startował w wyborach prezydenckich. Bo wtedy mógłby liczyć na stanowisko premiera albo przynajmniej pełnił funkcję szefa rządu na czas ewentualnego bezkrólewia. Poza tym wymiana premiera zawsze jest okazją do otwarcia negocjacji w różnych sprawach, bo gdyby Tusk został prezydentem, Koalicja Obywatelska będzie potrzebowała głosów koalicjantów do poparcia nowego rządu.

Tusk w rozmowie z Justyną Dobrosz-Oracz w TVP zapowiedział, że nie wystartuje na prezydenta. Jednak w Trzeciej Drodze nie dowierzają tej deklaracji. Uważają, że lider KO rozważa taki scenariusz: wygrywa wybory prezydenckie, a premierem zostaje Siemoniak. Wtedy Tusk ma już pełnię władzy i rządzi za pomocą zwolowanych Rad Gabinetowych (prezydent i rząd). Siemoniak jest przecież jego bliskim współpracownikiem, a Tusk i tak będzie kontrolował partię jako lider. I kontrolując zarówno „Pałac duży” (prezydencki), jak i „Pałac mały” (czyli Kancelarię Prezesa Rady Ministrów), miałby pełnię władzy.

To jednak tylko spekulacje, bo KO podejmie decyzję w sprawie kandydata na prezydenta dopiero za jakiś czas, a dynamika zdarzeń może wywrócić wszystkie scenariusze. A póki co, nadal najbardziej prawdopodobną opcją jest start Trzaskowskiego, bo to on ma w tej chwili najlepsze sondaże. ●

Dominika Wielowiejska

NIE PATRZĘ LISOM W OCZY

Polska jest największym producentem futer w Europie i drugim na świecie. Wyprzedzają nas tylko Chiny.

Z BOGNĄ WILTOWSKĄ, WICEPREZESKĄ STOWARZYSZENIA OTWARTE KLATKI ROZMAWIA DAWID DRÓŹDŹ

DAWID DRÓŹDŹ: Potrafisz jeszcze patrzeć zwierzętom w oczy?

BOGNA WILTOWSKA: To dla mnie zbyt trudne. Jak się komuś spojrzy w oczy, to rodzi się więź. Czujesz wtedy wobec drugiej istoty zobowiązania. Do dziś pamiętam lisy, norki czy jenoty, którym nie byłam w stanie pomóc. Ich oczy były pełne cierpienia. Czulałam, że je zawodzę. Nie wszystko zależy od nas. Nie możemy uratować kilku tysięcy lisów z fermy. Napotykamy bariery systemowe, których nie jesteśmy w stanie przeskoczyć.

Unikanie wzroku zwierząt jest z mojej strony tchórzostwem, ale to pomaga mi skupić się na pracy. Nie mam do siebie pretensji, że czegoś nie zrobiłam albo że zrobiłam zbyt mało. Należy pamiętać, że pomoc aktywistów jest doraźna – nie wystarczy, żeby załatwić sprawę. Na dłuższą metę jedynym rozwiązaniem problemu jest wprowadzenie zakazu hodowli zwierząt na futra.

Jak to się stało, że zostałaś aktywistką?

– Zawsze byłam zaangażowana społecznie. Chyba to się wzięło z domu, bo moi rodzice w czasach PRL-u działali w opozycji. Uczulali mnie, żeby nie żyć dla siebie, ale żeby próbować zmieniać świat. Na początku działałam w obszarze praw człowieka, ale zwierzęta zawsze były dla mnie ważne. Ponad 10 lat temu związałam się z ruchem prozwierzęcym, założyliśmy Otwarte Klatki.

Na początku naszą misją było pokazywanie cierpienia, jakiego doznają zwierzęta na fermach futrzarskich. Robiliśmy to nieformalnie jako grupa osób zaangażowana w sprawę. Po ujawnieniu wyników pierwszego dużego śledztwa sformalizowaliśmy stowarzyszenie. Obecnie jestem wiceprezeską i koordynuję obszar interwencyjno-śledczy.

To na czym polega ta praca?

– Stale monitorujemy fermy. Jesteśmy w kontakcie z lokalnymi społecznościami, które mieszkają w pobliżu takich gospodarstw, prowadzimy telefon i mała interwencyjnego, często odbieramy anonimowe zgłoszenia od osób pracujących na fermach.

Ale nasza praca nie polega tylko na bezczynnym czekaniu na sygnał. Sami również staramy się być na bieżąco: przeglądamy rejestry prowadzone przez inspekcję weterynaryjną, pracujemy w te-

renie. Sprawdzamy, czy w pobliżu fermy nie ma jakichś niepokojących rzeczy: czasami znajdujemy odpady, a nawet szczątki zwierząt.

Wiemy, gdzie możemy spodziewać się przypadków znęcania się nad zwierzętami. Zaczynamy więc od zbierania dowodów świadczących o tym, że na fermie dzieje się coś złego. Zaglądamy przez płot. Wystarczy zwykła drabina, żeby móc sprawdzić, czy zwierzęta nie przebywają w przepelnionych klatkach, czy mają dostęp do wody i jedzenia, czy któreś nie jest chore lub pogryzione.

Trudniej jest z fermami norek, bo są znacznie większe od lisich. Na niektórych fermach znajduje się kilkadziesiąt, a nawet kilkaset tysięcy zwierząt.

Zdarza się, że nasi aktywiści zatrudniają się na fermie i przez kilka tygodni dokumentują codzienną pracę. Wykorzystujemy też nowe technologie takie jak drony czy ukryte kamery. Jeśli coś wzbudzi nasz niepokój, zgłaszamy to do inspekcji weterynaryjnej. W wyjątkowych przypadkach przeprowadzamy interwencję – wchodzimy na fermę, aby uratować zwierzęta. Ustawa o ochronie zwierząt mówi wprost, że jeśli zdrowie lub życie zwierzęcia jest zagrożone, to organizacja, której statutowym celem jest ratowanie zwierząt, może takie zwierzę odebrać. Mam poczucie, że wyręczamy w ten sposób służby.

Jak na wasze interwencje reagują hodowcy?

Prawo tylko w teorii stoi po stronie zwierząt. W rzeczywistości, żeby móc uratować zwierzę, które jest w fatalnym stanie i cierpi, trzeba stoczyć batalię ze służbami i z inspekcją weterynaryjną.

Hodowcy nie chcą wpuszczać na teren fermy, nie tylko nas, ale często również policji. Zderzamy się ze ścianą, bo jeśli podczas interwencji brakuje zdecydowanych działań policji, to nie jesteśmy w stanie nic wskórać, a cierpiące zwierzę zostaje bez pomocy.



Później zostanie zabite po cichu, bo hodowcy w ten sposób pozbywają się obciążających dowodów.

Każdy przypadek znęcania się nad zwierzętami zgłaszamy do prokuratury. Niestety, batalia prawna trwa latami. Z jedną fermą walczyliśmy przez osiem lat – a to tylko jedno miejsce.

Niekiedy hodowcy obchodzą prawo. Mieliśmy przypadek właściciela, który został prawomocnie skazany za znęcanie się nad zwierzętami, ale nadal prowadził fermę, bo przepisał ją na żonę.

Ile zwierząt zabija się w Polsce na futra?

– W Polsce mamy ok. 300-350 ferm, każdego roku zabija się na futra ok. 3,5 mln zwierząt – głównie norki amerykańskie, jenoty i lisy.

Polska jest największym producentem futer w Europie i drugim na świecie. Wyprzedzają nas tylko Chiny. Cała produkcja jest eksportowana – przede wszystkim do Azji.

Częścią problemu jest to, że opieramy się na szacunkach. Dokładna liczba zabijanych zwierząt nie jest możliwa do ustalenia. Hodowcy podają jedynie liczbę tzw. stada podstawowego, czyli stada rodzicielskiego, którego używają do reprodukcji w kolejnych latach. Nie mają jednak obowiązku podawania liczby zwierząt, które się rodzą.

Zwierzęta przychodzą na świat wiosną, a późną jesienią lub zimą są zabijane, bo wtedy mają najładniejsze futro. W praktyce wiele z nich nie dożyje końca cyklu produkcyjnego.

Kryzys ekonomiczny spowodował, że ceny futer nie rekompensują kosztów leczenia. Hodowca zarabia na skórze norki niecałe 100 zł. Za te pieniądze musi wyżywić zwierzę, opłacić pracowników, pokryć koszty zużycia energii elektrycznej itd. Gdyby miał jeszcze zapłacić za usługi weterynaryjne, to prowadzenie działalności by mu się nie opłacało. Bardziej kalkuluje mu się pozostawienie zwierzęcia chorego.



FOT. STOWARZYSZENIE OTWARTYCH KLATKI

A po co właściwie komu w połowie trzeciej dekady XXI w. futro?

– Futra naturalne są reliktem minionej epoki. To jest fakt, który ma odzwierciedlenie w modowych trendach. Największe światowe marki i projektanci, jak np. Chanel, Prada czy Gucci, w ostatnich latach wycofały futra naturalne z kolekcji, jednocześnie podpisując zobowiązanie, że już do nich nie wrócą. Takie decyzje spowodowały kryzys w branży futrzarskiej, wywołując gwałtowny spadek popytu na całym świecie.

Dodatkowo na rynku dostępne są świetnej jakości zastępniki, które są nie do odróżnienia od futer naturalnych. Biorąc pod uwagę całokształt produkcji, są też bardziej przyjazne dla środowiska. Niestety, cały czas znajdują się konsumenci, głównie na rynkach azjatyckich, którzy kupują futra naturalne.

Warunki na fermach są fatalne. Zgodnie z polskim prawem minimalna przestrzeń dla utrzymania lisa stanowi 0,6 m kw., dla norki 0,18 m kw. Trudno sobie wyobrazić, żeby zwierzę czuło się w takich warunkach komfortowo.

– Mówimy o zamykaniu w klatkach dzikich zwierząt, które są przyzwyczajone do przemierzania dużych odległości. Są drapieżnikami – łańcuchowiec jest ważny dla ich psychiki. Prowadzą samotniczy tryb życia, a na fermach są tłoczone na niewielkiej przestrzeni. Bliskie otoczenie innych osobników wywołuje w nich permanentny stres.

W normalnych warunkach norki walczą pomiędzy sobą o terytorium – nie wchodziłyby sobie w drogę. Na fermach jest to niemożliwe. Dlatego często dochodzi do agresji, autoagresji, a nawet kanibalizmu. Zwierzęta zapadają na choroby psychiczne, np. stereotypię przejawiającą się ciągłym bezcelowym powtarzaniem ruchów.

Zwierzę kompulsywnie kręci się w kółko albo odbija się od krat. W ten sposób reaguje na stres.

Klatki są jałowym środowiskiem. Norka jest zwierzęciem wodno-lądowym, a na fermach nie ma dostępu do wody. Zwierzęta spędzają całe życie na kracie, bo klatki są okratowane ze wszystkich stron. Chodzi o to, żeby odchody spadały na ziemię i nie trzeba było ciągle sprzątać klatek. Odchody gromadzą się, powodując ogromny odór. Lisy są podobne do psów, mają niezwykle czuły węch – ten smród jest więc dla nich dodatkową udręką.

Warunki są złe, bo cała hodowla jest skonstruowana w taki sposób, że nie ma prawa nie przysparzać zwierzętom cierpienia. Hodowcy często używają argumentu, że jeśli w Polsce zostanie wprowadzony zakaz, to produkcja przeniesie się do krajów, w których warunki będą jeszcze gorsze. Ale klatki w Chinach wyglądają praktycznie tak samo!

Są kraje, w których formalnie nie ma zakazu hodowania zwierząt na futra – np. Niemcy czy Szwajcaria – ale tam nie istnieje żadna ferma, bo normy dobrostanowe są na tyle wysokie, że produkcja się nie opłaca.

U nas duże fermy norek prowadzą korporacje z Holandii czy Danii, gdzie hodowla została zakazana

Wygląd zwierząt na niektórych fermach bywa przerażający – są wychudzone, brudne i przerażone.

– Widok fermy dla przeciętnej osoby jest szokujący. Część naszych interwencji jest podejmowana po odebraniu zgłoszeń od ludzi, którzy np. natknęli się na fermę podczas spaceru z psem.

Pierwszą rzeczą, która wzbudza w nich niepokój, jest smród unoszący się wokół, drugą – skowyt, wyście i szczekanie zwierząt. Ludzie automatycznie myślą, że za płotem dzieje się coś nielegalnego. Często po weryfikacji musimy sprowadzić ich na ziemię. W wielu przypadkach warunki panujące na tych fermach są dopuszczalne przez prawo.

Od tych minimalnych norm też są jednak odstępstwa. Niektórzy hodowcy nie są w stanie zapewnić nawet tych podstawowych warunków. A każde odstępstwo od normy skazuje zwierzę na katorgę.

Najgorszą interwencję w moim życiu przeprowadziłyśmy na fermie pod Krotoszynem w Wielkopolsce. Właściciel poszedł do więzienia – nie chodziło o znęcanie się nad zwierzętami, tylko jakiś inny występ. Fermą miała zajmować się jego żona, ale zaniebalała hodowlę. Doszło do potwornej sytuacji.

Lisy i jenoty były pozamykane w klatkach, więc znalazły się w śmiertelnej pułapce. Te, które były trzymane w klatkach pojedynczo, poumieraly z głodu.

Cały czas mam przed oczami widok lisa, który zastygł, wgrzyzając się w kratę, bo próbował walczyć o życie. Zwierzęta trzymane w klatkach po kilka sztuk przeżyły tylko dlatego, że zagryzły słabsze osobniki. Nie da się tego wymazać z pamięci.

Jak tłumaczyła się właścicielka fermy?

– Zrzucała winę na trudną sytuację życiową. W tym przypadku powinna sprzedawać zwierzęta na inną fermę lub zabić je wcześniej. Ale wygrała chciwość: celowo zwlekała z uśmierceniem aż do późnej jesieni, kiedy – jak wspomniałam – futro jest najładniejsze.

Pieniądże przysłoniły zdrowy rozsądek. Właścicielka nie potrafiła myśleć logicznie. Przecież zwierzę, którego się nie karmi, i tak prawdopodobnie nie dożyje zimy. Traktowała je jak przedmioty, które poleżą i nabiorą wartości.

Skąd według ciebie bierze się to zło?

– Trudno to zrozumieć, bo często zdarza się, że hodowcy mają zwierzęta domowe, o które się troszczą. A przecież lis to podobne zwierzę do psa.

Niektórzy właściciele ferm to osoby starsze, które prowadzą działalność od kilkudziesięciu lat i nie rozumieją, że postrzeganie zwierząt w społeczeństwie bardzo się zmieniło. To, co kiedyś było akceptowalne, już nie jest. Mentalność hodowców została w poprzedniej epoce.

Widziałam dużo, jeśli chodzi o okrucieństwo wobec zwierząt. Nigdy nie widziałam jednak poczucia winy, skruchy czy jakiegokolwiek refleksji u tych ludzi. Zawsze agresja jest kierowana w naszą stronę, bo „przeszkadzamy im w prowadzeniu biznesu”. Tylko że to nie jest zwykły biznes – to nie jest produkcja długopisów, która nikomu nie wyrządza krzywdy.

W filmie „Poza widokiem, na skraju lasu”, który opowiada o Otwartych Klatkach, jeden z aktywistów mówi, że jego działalność nie wynika z miłości do zwierząt, ale z poczucia fundamentalnej niesprawiedliwości.

– To bliski mi pogląd. Zwierzęta są dla mnie ważne, ale chęć działania bierze się z poczucia niesprawiedliwości, ogromnej krzywdy, która dzieje się blisko, gdzieś obok nas. Jeżeli coś mnie denerwuje, to staram się coś z tym zrobić – nie potrafię się temu biernie przyglądać.

Chciałabym też odczarować wizerunek aktywistów, którzy kierują się emocjami, dużo krzyczą, ale niekoniecznie mają pojęcie na dany temat. Trudno, żeby tych emocji nie było, bo czasem znajdujemy się w bardzo trudnych sytuacjach. Staram się jednak, aby moje działania zawsze były pragmatyczne i profesjonalne.

Cały czas się kształcę, robię studia z zakresu biologii i psychologii zwierząt. Wcześniej zdobyłam tytuł technika weterynarii, żeby móc skutecznie i fachowo pomagać. Kilka lat temu przeprowadziłam się na wieś z myślą, żeby stworzyć warunki do azylowania zwierząt. W tym momencie opiekuję się lisami uratowanymi z ferm.

Jakie koszty psychiczne ponoszą aktywiści Otwartych Klatek?

– Działanie dla zwierząt bywa bardzo wyczerpujące. Jesteśmy świadkami cierpienia na ogromną ska-

Czerwona lampka

Egzorcysta: Cenię twórczość Dawida Podsiadło, jednak jego ostatni singiel „Diable” uważam za bardzo niebezpieczny



Michał Rusinek

W „Naszym Dzienniku” ukazał się artykuł dr Aldony Ciborowskiej pod intrygującym tytułem „Ożywić sumienie Warszawy”. Sugeruje on, że Warszawa ma sumienie obumarłe, a nie — jak to zwykle we frazeologii bywa — uśpione. Żle to świadczy o naszej stolicy. Piszę to bez krakauerskiej satysfakcji.

Artykuł opiera się na dość prostej deterministycznej zasadzie. „Kolejne pokolenia Polaków” — pisze dr Ciborowska — były „pozbawiane życia, majątków, wywożone, torturowane, traktowane niesprawiedliwie w polityce międzynarodowej”. Ta wylizanka jest, jak rozumiem, historią Polski przedstawioną w telegraficznym skrócie. Usług tego typu Poczta Polska już nie świadczy, ale kiedy świadczyła, płaciło się za każde słowo telegramu, więc skróty były uzasadnione ekonomicznie. Zdaniem dr. Ciborowskiej wymienione nieszczerstwa były konsekwencją naszych grzechów. Gdybyśmy prowadzili życie bezgrzeszne, nikt by nas nie pozbawiał życia ani majątków, nikt nie wywoziłby nas i nie torturował, a w polityce międzynarodowej traktowano by nas sprawiedliwie. Słowem: samiśmy sobie winni.

W dodatku nie udawajmy, że nas nie przestrzegano. Przecież w zeszłym roku minęło 80 lat od „objawień na warszawskich Siekierkach, podczas których Matka Boża zapowiadała karę, która przyjdzie na Warszawę niepokutującą za grzechy. Chodziło o grzechy rozwiązłości, okultyzmu, aborcji. I niestety, Warszawa została rzeczywiście całkowicie zniszczona w latach 1944-1945”.

A mogliśmy tego uniknąć. Gdybyśmy posłuchali bł. Honorata Koźmińskiego i o. Euzebiusza Rejmana (przeora Jasnej Góry), którzy równo 120 lat temu zainicjowali „zjednoczenie Narodu wokół Królowej Polski”. Na ich wniosek papież (pisany przez dr Ciborowską wielką literą) Pius X „ustanowił 26 sierpnia świętem Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej”. Była to, jak sugeruje dr Ciborowska, próba prowadzenia nas, Polaków, na drogę bezgrzeszności; próba, która jednak się nie powiodła.

Nie powiodła się, bo 26 sierpnia 2023 roku, „w dniu 66. rocznicy rozpoczęcia w archidiecezji warszawskiej w 1957 roku peregrinacji kopii Cudownego Obrazu Jasno-górskiego” miał miejsce satanistyczny koncert. „Wykonawca zaśpiewał piosenkę zawierającą bluźniercze słowa, w której oddał się w ręce diabłu”, a „młoda publiczność powtarzała jego słowa”. Jeśli sądzą państwo, że był to wokalista zespołu Behemoth, Black Altar, Belphegor, Deicide, Gorgoroth, Marduk, Nephistis, Rotting Christ, Spawn Of Satan, Urgehal czy Vorkreist, to jesteście w błędzie. 26 sierpnia na Stadionie Narodowym odbył się koncert znanego polskiego satanisty Dawida Podsiadło i to o niego chodzi dr. Ciborowskiej. A ściślej — o piosenkę „Diable”.

Podmiot liryczny w tym utworze skarży się na swój trudny związek z kobietą. Tańczy już kilka dni, ma karuzelę w głowie, prawdopodobnie po marihuanie, i trochę go mdli. Próbuje przekonać do sie-

bie kobietę dość banalnym, ale być może skutecznym zdaniem: „zjadłbym ciebie na śniadanie”, prosi, żeby go zawołała i nie wypuszczała więcej z rąk, oraz żeby zapomniała wydarzenia z przeszłości. Jeśli zaś kobieta owa ma freudowskie sny, w których zdobywa górski szczyt wspólnie z podmiotem lirycznym, jest to dla niego dowód na to, że powinna do niego przyjść i z nim zostać. Być może ze względu na jej kusicielski i krnąbrny charakter nie zwraca się do niej per „skarbie”, czy „kochanie”, ale per „Diable”. Przypomnijmy, że w podobny sposób — „Kobieto, boski diable!” — zwracał się do kobiety podmiot liryczny w pierwotnej wersji utworu dramatycznego słynnego polskiego satanisty Adama Mickiewicza.

Podsiadło to jednak nie Mickiewicz i jego utwory są o wiele mniej zrozumiałe. Nie ma się zatem co dziwić dezorientacji dr. Ciborowskiej: „W związku z tą sprawą chciałabym poznać komentarz egzorcysty: jak to rozumieć?”. Nie jestem przekonany, czy nie myli ona egzorcysty z egzegety, bo przecież zadaniem egzorcysty nie jest interpretacja tekstów literackich i wydobywanie spod gęstwy słów (*signifiant*) ich sensu (*signifié*). Dalsze pytania kieruje już jednak dr Ciborowska z pewnością do egzorcysty: „Czy Warszawa nie powinna podjąć aktów pokutnych, wynagradzających?”. Nie wiem, czy Warszawa ma swojego egzorcystę. Nie wiem też, na czym polegają akty pokutne, wynagradzające, ale w internecie znaleźć można komentarz ks. Krzysztofa Kralki, egzorcysty: „Cenię twórczość Dawida Podsiadło, jednak jego ostatni singiel »Diable« uważam za bardzo niebezpieczny [...]. Wielokrotnie w czasie modlitwy o uwolnienie czy egzorcyzmów, w których brałem udział, widziałem działanie złego ducha na własne oczy. Widziałem, jakie są konsekwencje zapraszania go do swojego życia i oddawania mu siebie. [...] Uważajcie więc, co śpiewacie i czego słuchacie, bo konsekwencje mogą być bardzo trudne. [...] W przypadku tej piosenki czerwona lampka zapala się natychmiast”.

Czerwona lampka powinna się zaświecić zwłaszcza mieszkańcom Warszawy: „Co zatem czeka stolicę za to, co teraz się dzieje, za III Rzeczypospolitą, wzniesionej przecież na nierozliczeniu komunistycznych zbrodniarzy i kolaborantów, zmierzającej do apokstazji — podobnie jak autor przytoczonego tekstu piosenki? — pyta zaniepokojona dr Ciborowska i od razu udziela rady: „Warto zastanowić się i w warszawskich parafiach podjąć pokutę i zadośćuczynienie za ubiegłoroczne i podobne, dziś odbywające się bluźniercze wydarzenia [...]”. Sami widzimy, że nasza stolica jest zagrożona działalnością decydentów, którym przeszkadza krzyż Chrystusa, ale nie przeszkadza publiczne odwoływanie się do osoby diabła”. Jakby tego było mało, to: „Od wielu lat przecież oburżający jest fakt istnienia w al. Jana Pawła II nieliczących z nazwą tej ulicy »miejsc«”. To przecież oczywiste, że przy ulicy papieża-Polaka nie mogą znajdować się kebaby, studia jogi i fitnessu, wypożyczalnie sukni ślubnych czy, za przeproszeniem, sex-shopy. Nie mylmy czerwonej lampki z czerwonymi latarniami! Przy ulicy papieża-Polaka mogą znajdować się wyłącznie kościoły i sklepy z dewocjonaliami.

Warszawo, wiesz już, co masz robić. Dr Ciborowska wskazuje ci drogę, choć wie, że sytuacja twoja nie jest wesoła. Ale publicystka nie traci nadziei i zamiast pisać: „ratuj się, kto może”, kończy artykuł słowami: „Trzeba [...] się ratować. Ratować, kogo się da”. Dedykuję te słowa wszystkim moim warszawskim znajomym. Z krakauerską troską. ●

Tak powinno się tworzyć prawo



Jak mawiał Kissinger: Nikt nigdy nie wygra bitwy płci. Zbyt wiele jest w niej bratania się z wrogiem

Marcin Matczak

Stworzeni na obraz i podobieństwo Boga zostali podzieleni i rozpoczęła się walka płci. Zamiast podporządkowywać sobie ziemię, zwrócili się przeciwko sobie i starali się podporządkować siebie nawzajem”. Ten cytat z teolożki Carolyn Custis James dobrze opisuje naszą emocjonalną dyskusję nad zmianą definicji gwałtu. Uchwalając prawo, bardziej walczyliśmy o swoje niż racjonalnie dyskutujemy. Przepis prawa stał się polem bitwy, na którym ścierają się dwie definicje: stara i nowa. Starsza, oskarżana o to, że jest wykorzystywana przeciwko kobietom, druga o to, że będzie wykorzystywana przeciwko mężczyznom.

W starej definicji słowem-kluczem jest „przemoc” — gwałci się, gdy przemocą doprowadza się do obcowania płciowego. W nowej słowem-kluczem jest „zgoda” — gwałci się, gdy obcuje się płciowo bez zgody drugiej osoby. I choć ani przemoc, ani zgoda nie mają płci, w dyskusji to płeć wyświeca się na plan pierwszy.

„Przemocowa” definicja zagraża kobietom, głównym ofiarom gwałtów. W praktyce wymaga, żeby gwałcona broniła się aktywnie: krzykiem, kopaniem, a gwałtem jest „przełamanie oporu”. Lecz badania wskazują, że w 70 proc. gwałtów dochodzi do wywołanego szokiem sparaliżowania ciała. Milczenie jest wtedy niewymownym cierpieniem, a nie brakiem oporu.

Definicja oparta na zgodzie ma to naprawić — tylko seks konsensualny jest legalny. A zgoda musi być wyrażona: niekoniecznie słowem, na pewno nie pismem (krytycy głupio straszą wizją wizyty u notariusza przed zbliżeniem). W każdy sposób: zachowaniem, ruchem ciała, kontekstem. Ta definicja ma rozwiązać problem sytuacji, kiedy na pewno nikt zgody na seks nie wyraża, bo niczego nie może wyrazić.

Tak jak definicja „przemocowa” może stanowić narzędzie ucisku kobiet, tak ostrzegają niektórzy, „zgodowa” może prowadzić do ataku na mężczyznę — drogą wróble. To ostrzeżenie nie jest całkowicie bezpodstawne. Prawnicy zajmujący się rozwodami mówią, że bezpodstawne oskarżenia o przemocowość czy nawet o czyny pedofilskie wobec dzieci to częsty chwyt.

Winę w sprawie o gwałt nadal będzie trzeba wykazać. Ale prokuratorowi trudniej jest udowodnić, że mężczyzna stosował przemoc, łatwiej, że kobieta nie wyraziła zgody. Gdy trzeba udowodnić przemoc, samo oświadczenie kobiety nie wystarczy — przemoc jest najczęściej głośna, widoczna. Zgoda jest czymś bardziej wewnętrznym. Gdy kobieta oświadczy, że na seks się nie zgadzała albo że zgodę wycofała, trzeba wykazać, że było inaczej. I tu się jednak ciężar dowodu nieco przesuwają.

Seks, na który zgadzają się obie strony, odbywa się w okolicznościach wykazywal-

nych. W sprawie piłkarza Daniego Alve-sa, skazanego za gwałt w klubie nocnym, ochroniarze zeznali, że zgwałcona wyszła zapłakana z łazienki, długo nie mogła się pozbierać, a policja odnalazła potwierdzające zdarzenie ślady biologiczne. Tu zgody na pewno nie było. W sprawie oskarżenia o gwałt, która miała miejsce na Uniwersytecie Warszawskim, oskarżony student publikował w sieci SMS-y, które z oskarżającą wymieniał po zbliżeniu — było w nich dużo romantyzmu, zero traumy. Tu więc zgoda prawdopodobnie była.

Ale to, że można dowodzić, jak było, nie chroni przed bezpodstawnym oskarżeniem, które może zniszczyć życie. Definicja „zgodowa” przy czyjejś złej woli będzie łatwiejsza do wykorzystania, by kogoś zrobić, niż „przemocowa”.

Sprawie nie pomagają emocje ludzi, którzy powinni wiedzieć lepiej. Pokazują to reakcje na głośną sprawę dziewczynki, z którą seks uprawiał jej wujek, gdy miała mniej niż 15 lat. Gdyby oprzeć się na relacjach dziennikarzy, można by dojść do wniosku, że sądy powariowały. Dziennikarz Wirtualnej Polski pisze, że takie orzeczenia są „odrażające”, bo że sąd badał, czy doszło do przemocy, uznał, że nie, i „skończyło się na uznaniu winy wujka, ale z innego przepisu”. Brzmi to tak, jakby sąd był pobłażliwy dla gwałciiciela. Tymczasem tym innym przepisem był art. 200 kodeksu karnego, a więc pedofilia. Co więcej, takiej kwalifikacji czynu dokonał prokurator w akcie oskarżenia i z nią sąd się zgodził. Populizm penalny, który każdego podejrzanego o gwałt nakazuje kastrować na miejscu, uprawiają politycy — dziennikarze powinni być bardziej wyważeni.

Potrzebujemy racjonalności, nie emocji. Na szczęście tarcia między mężczyznami bojącymi się nadużyć a kobietami, które chcą ucywilizować nasze kulturowe podejście do seksu, ma też dobre efekty. Uchwalona definicja gwałtu jest lepsza niż pierwotnie proponowana. W tamtej nie tylko trzeba było zgody, ale miała być ona „świadoma i dobrowolna”, choć nie wymagają tego konwencje międzynarodowe.

„Świadoma” to niby przymiotnik niewinny, ale czy jest taka zgoda wyrażona pod wpływem alkoholu? I odwrotnie, czy seks po wspólnym wypiciu butelki wina nie zostanie po jakimś czasie wykorzystany do nieuczciwego oskarżenia? To, że po krytyce usunięto te przymiotniki, jest wyrazem racjonalności, nie emocji. I tak powinno się w demokracji tworzyć prawo.

Zaczęliśmy od cytatu z kobiety: o walce płci jako wzajemnym podporządkowaniu. Dla równouprawnienia cytaty z Kissingerem: „Nikt nigdy nie wygra bitwy płci. Zbyt wiele jest w niej bratania się z wrogiem”. Ani o podporządkowanie, ani o bratanie tu nie chodzi, ale o wzajemny szacunek. Niszczy go samcza wizja seksu, którą może promować „przemocowa” definicja gwałtu. Ale zniszczy go także nadużywanie definicji „zgodowej” do wrabiania partnerów, którzy — nawet jeśli się wybronią — przejdą przez piekło gwałtu na reputacji i psychice.

Byłoby źle, gdyby kobiety, które słusznie walczyły z PiS-em, gdy ten naruszał nasze prawa i wolności, nagle uspokajały nas typowo PiS-owskim „niewinni nie mają się czego obawiać”. Przy założeniu czyjejś złej woli — jednak mają.

Cieszymy się więc mądrą definicją zgwałcenia, opartą na zgodzie. ●

Zachód się starzeje, marketingowcy i klienci zachwycają się modelkami 70+, w połowie reklam radośni, młodzieńczy konsumenci mają siwe włosy, korporacje liczą zyski z produktów i usług dla „silver tsunami”. I tylko Biden jest „za stary”

ALZHEIMER

CZY ODWODNIENIE

FOT. REUTERS/NATHAN HOWARD

Katarzyna Staszak

Najbardziej stresująca praca świata nie ma limitu wieku. Może powinna? Czy osoba, która potrzebuje wsparcia, żeby pokonać dwa stopnie, wytrzyma nocną naradę ze służbami specjalnymi? Nie tryska energią. Porusza się z trudem. Zastęga w połowie zdania. W debacie z Trupem gubił wątek i mylił liczby. Czy 81-letni Joe Biden powinien ubiegać się o reelekcję? Nie jest wystarczająco sprawny psychicznie i poznawczo, by być prezydentem – uważa 72 proc. obywateli USA. To wynik sondażu telewizji CBS News.

O ponad trzy lata młodszym Trupie takie zdanie ma „tylko” 49 proc. pytanych. Trump mówi bzdury, ale ma więcej wigoru.

Sondaże pokazywały, że kwestia wieku prezydenta już wcześniej niepokoiła wyborców. Jest przecież najstarszym przywódcą w historii Ameryki. Jednak nie o samą datę urodzenia chodzi, ale o wrażenie, że nie jest w pełni sprawny.

Prezydent kilka razy potknął się na oczach wszystkich. Zmienił stylowe loaferzy na buty sportowe z szeroką podeszwą. Miały zapewnić mu lepszą stabilność. Internet pełen jest filmów, na których widać, że porusza się powoli. Jego chód porównywany jest do robota. Często asekuruje go żona.

Kamery uchwyciły moment po ostatniej debacie. Trump szybko zniknął z niskiej sceny,

a po Bidena przyszła żona. Chwyciła go za rękę, żeby mógł zejść z dwóch bardzo niskich stopni.

Dotychczas Demokraci to spowolnienie prezydenta bagatelizowali. Mówili o problemach z kręgosłupem, urazie stopy, neuropatii, czyli uszkodzeniach nerwów. Wolniejsze ruchy to jedna z oznak starzenia się. Niedawno naukowcy uznali, że to zjawisko wiąże się z oszczędzaniem energii przez organizm. Poruszanie się kosztuje starszych ludzi więcej niż osoby młode. Ale co z wyrazem twarzy Bidena? Z momentami zamrożenia? Gdy na koncercie w Białym Domu tłum faluje w rytm muzyki, on stoi sztywno.

W lutym administracja Bidena opublikowała sześciostronowy raport jego lekarza, Kevina C. O'Connora, podsumowujący kilka dolegliwości fizycznych kontrolowanych lekami. Lekarz stwierdził, że Biden jest „zdrowym, aktywnym, silnym 81-letnim mężczyzną, który w dalszym ciągu jest w stanie z powodzeniem wykonywać obowiązki prezydencji”. Biden nie przeszedł jednak testu poznawczego. Czyli nie odpowiedział na pytania oceniające jego pamięć, koncentrację i zdolności myślenia. Jego lekarze nie uważali, że prezydent takiego testu potrzebuje. A jego polityczne otoczenie tłumaczyło, że przez swoją wymagającą pracę prezydent codziennie zda je test poznawczy.

Trump zapewniał, że przeszedł testy poznawcze, ale nie udzielał informacji na temat zdrowia. Pytany o wiek, twierdzi, że prawdopodobnie waży mniej niż kiedyś. Sam Biden przyznaje, że nie porusza się, jak kiedyś, ale nie przeszkadza mu to być prezydentem.

W amerykańskiej polityce aktywnych jest wiele osób po osiemdziesiątce. Do najbardziej znanych należą niezależny senator i guru amerykańskiej lewicy – również młodej, to ulubiony kandydat progresywnej młodzieży – Bernie Sanders (82 lata) i feministka, obrończyni praw kobiet i osób LGBT+ Nancy Pelosi, od kilkudziesięciu lat członkini Izby Reprezentantów (84 lata).

Również w kręgach amerykańskiego biznesu nie brakuje ludzi aktywnych długo po osiągnięciu wieku emerytalnego. Jeden z najbogatszych ludzi na świecie – Warren Buffett – ma 94 lata i wciąż pracuje. Jego zastępcą w holdingu Berkshire Hathaway do zeszłego roku był 99-latek Charlie Munger. „Był” nie dlatego, że odszedł na emeryturę z powodu wieku, tylko dlatego, że zmarł w listopadzie – jako aktywny top menedżer. A słynny magnat medialny Rupert

Murdoch, właściciel m.in. Fox News, odszedł na emeryturę dopiero w wieku 92 lat.

Czy jednak politycy, którzy pracują za publiczne pieniądze i dla publicznego dobra, nie powinni być poddawani lepszym ocenom medycznym i psychologicznym? Kilka lat temu farmaceuta z Waszyngtonu ujawnił, że realizuje recepty na leki na chorobę Alzheimera dla członków Kongresu.

Dlaczego politycy długo trzymają się swojej pracy? Uważają, że zaawansowany wiek to zaleta?

Przywództwo kojarzy się ludziom m.in. z kompetencją, zdecydowaniem i doświadczeniem. Starsi kandydaci mogą zatem powoływać się na swoje osiągnięcia, wpisując się w ten wzorzec „dojrzałego lidera”, czy autorytetu. I często tak robią, wytykając przy tym młodszym konkurentom brak doświadczenia. Nie zawsze to opłacalna strategia, co pokazała np. walka o fotel w Kongresie między młodą Alexandrią Ocasio-Cortez a starszym Joe Crowley'em – mówi dr Milena Drzewiecka, psycholożka z Uniwersytetu SWPS, ekspertka ds. wizerunku i marketingu politycznego. Przypomina, że Andrzej Duda w czasie starcia z Bronisławem Komorowskim zrobił ze swojego młodszego wieku zaletę.

Młodzi pozycjonują się na polu „energia, nowość, zmiana” i jeśli trafią w aktualne potrzeby obywateli, to ich wiek może być zaletą. Od metryki ważniejsze jest jednak wrażenie. I tu dochodzimy do definicji wizerunku i potęgi percepcji. „Perception is reality”, percepcja to rzeczywistość. Ludzie opierają wybory i decyzje nie tyle na faktach, ile na percepcji tych faktów. Wpływa na to nasza motywacja, per-

70 12

PROC. uważa, że 81-letni Biden nie jest wystarczająco sprawny psychicznie i poznawczo, by być prezydentem

spektywa, z poglądami włącznie – tłumaczy psycholożka. – Wizerunek kandydata to „obraz jednego w głowie drugiego”. Jeśli zatem dwie osoby spojrzą na tego samego kandydata, mogą mieć inne jego obrazy w głowach.

Gdyby Trumpa postawić obok Obamy, ujdzie za starego i mało energicznego. Ale to nie Obama, a Biden jest konkurentem Trumpa i efekt kontrastu działa na korzyść Republikanina.

– Sztab Trumpa ten efekt kontrastu uwypukla, przypominając wyborcom na każdym kroku słowne lub dosłowne potknięcia Bidena. Już w poprzednich wyborach Trump próbował spojycjonować przeciwnika jako niedołężnego polityka z demencją – przypomina Drzewiecka.

Na modowych wybiegach i w kampaniach reklamowych coraz częściej widać dojrzałe osoby. Czy to wpływa pozytywnie na nasz obraz starości? – Może, podobnie jak przebywanie wśród fit-seniorów, ale jesteśmy jeszcze na początku drogi. Kult młodości wciąż ma się dobrze i w reklamie politycznej zmarszczki raczej się wygładza niż ich dodaje – ocenia psycholożka.

Proponuje szybkie ćwiczenie. O kim myślimy, gdy słyszymy przymiotniki „młody/a” i „stary/a”? Młodzi to prawdopodobnie młodszy od nas, ewentualnie osoby w naszym wieku. Najczęściej bowiem to samych siebie bierzemy za punkt odniesienia przy ocenie innych. – Energiczny, sprawny i atrakcyjny kandydat 50 plus może ująć za młodszego niż 40-latek. Rafał Trzaskowski, mimo że daleko mu do nastolatka, w oczach wielu nadal jest „młody”. Ludzie poniżej 35. roku życia w ogóle nie mogą w Polsce kandydować na prezydenta – mówi Drzewiecka.

Gdy amerykańskie media proszą ekspertów o ocenę stanu zdrowia kandydatów na prezydenta, unikają konkretnych odpowiedzi. Zaznaczają, że solidna ocena wymaga dogłębnego badania, które może trwać nawet kilka dni. Chętniej mówią ogólnie o procesach starzenia.

„Nie ma typowej starszej osoby. Niektórzy 80-latkowie mają zdolności fizyczne i psychiczne podobne do wielu 30-latków. Inni ludzie doświadczają znacznego spadku zdolności w znacznie młodszym wieku” – zaznacza Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). To oznacza, że zamykanie komuś drogi do kariery, także politycznej, tylko ze względu na wiek jest dyskryminujące. Bardziej sprawiedliwe byłoby więc testy oceniające funkcje poznawcze.

Różnorodność widoczna w starszym wieku nie jest przypadkowa – tłumaczy WHO. Zwłaszcza rzucają się w oczy nierówności w zdrowiu. A to, jak się starzejemy, zależy od wielu czynników: genów, rodziny, w jakiej przyszliśmy na świat, zachowań zdrowotnych, które wynieśliśmy z domu. Nasze nawyki są kluczowe, jednak nie na wszystko mamy wpływ.

– Niektóre osoby mogą dziedziczyć geny, które predysponują je do szybszego starzenia lub do większej odporności na te procesy. Dieta, aktywność fizyczna, palenie tytoniu, alkohol i poziom stresu mają ogromny wpływ na tempo starzenia. Zdrowy styl życia może więc spowolnić ten proces, a niezdrowe nawyki odwrotnie – pewne choroby i stany zdrowotne nimi spowodowane, takie jak cukrzyca, choroby serca, przewlekłe stany zapalne i infekcje, mogą przyspieszać proces starzenia. Ale liczy się też, jak zarządzamy swoimi chorobami – tłumaczy prof. Marek Postuła, kardiolog i farmakolog kliniczny, który zajmuje się długowiecznością.

Eksperci powtarzają do znudzenia, że kluczowe dla naszej kondycji są właśnie nawyki, w tym dbanie o dietę. Tak wynika z badań, tak wielu, [prowadzonych na tak wielu, tak różnych grupach w tak wielu miejscach, że trudno wręcz wybrać i przytoczyć jedno konkretne.

Trump je ignoruje. Nie lubi warzyw, omija śniadania, wieczorem zjada fast foody. W ogromnych ilościach pije dietetyczną colę. Za to, podobnie jak Biden, nie pije alkoholu.

– Trudno jednoznacznie przesądzić, co jest przyczyną odmiennej sprawności kandydatów na prezydenta USA. Przez długie lata obaj byli bardzo aktywni, nie tylko zawodowo. Trump jest zapalonym golfistą, a Joe Biden grał w baseball i futbol amerykański. Choć akurat ten drugi sport może zwiększać ryzyko rozwoju chorób neurodegeneracyjnych – zauważa prof. Postuła.

Badania wiążą powtarzające się urazy głowy i wstrząsy mózgu z większym ryzykiem demencji. – Uraz głowy może wywołać przewle-



*Trump nie lubi warzyw,
omija śniadania,
wieczorem zjada fast foody.
W ogromnych ilościach
pije dietetyczną colę. Za to,
podobnie jak Biden, unika
alkoholu*

klą traumatyczną encefalopatię. Jej objawy przypominają chorobę Alzheimera, czyli m.in. problemy z pamięcią – mówi prof. Postuła.

No i kwestia tak oczywista, że nam umyka: jak ocenić kondycję psychofizyczną u osoby znanej nam przelotnie, na przykład z telewizji. W starszym wieku na szybkość reakcji może przełożyć się coś tak banalnego, jak nawet chwilowe odwodnienie. I na tej podstawie zbudujemy sobie całe wrażenie o formie danego człowieka.

Dziennik „Washington Post” przypomina, że w 1984 r. o reelekcję ubiegał się 73-letni Ronald Reagan. W debacie z kandydatem Demokratów Walterem Mondalem wypadł słabo, nie mógł znaleźć słów. To wzbudziło podejrzenia, że ma oznaki demencji. Jesienią 1994 r., prawie sześć lat po opuszczeniu Białego Domu, Reagan w liście do Amerykanów ujawnił, że zdiagnozowa-

no u niego Alzheimera. Wywołało to nową falę spekulacji, że upośledzenie funkcji poznawczych dotknęło go już wtedy, gdy sprawował urząd.

Ale przecież w kolejnej debacie Reagan odbił się, odżył, wypalił, że nie zamierza wykorzystywać do celów politycznych młodości i braku doświadczenia swojego przeciwnika. I wygrał w cuglach, po czym kolejne cztery niespokojne lata kierował atomowym supermocarstwem

Choć partyjni spin-doktorzy bez skrupułów grają wiekiem, w bezpośrednim starciu kandydaci na przywódcę supermocarstwa sami siebie nie wyzywają od starców, tylko od dzieci. – Nie zachowujemy się jak dzieci, Joe – powiedział Trump w czasie debaty. – Ty jesteś dzieckiem – odpowiedział Biden. Po czym wdali się w spór o to, kto lepiej radzi sobie na polu golfowym.

„Ameryka potrzebuje czegoś lepszego. Świat potrzebuje czegoś lepszego” – podsumował starcie starszych panów na łamach „New York Timesa” Thomas L. Friedman,

nestor amerykańskiego dziennikarstwa politycznego (lat 71). Zaznaczył, że pisze to ze smutkiem, bo od lat przyjaźni się

10

LAT
różniło Kennedy’ego i Nixona.
43-letni Demokrat był schorowany,
ale wyglądał młodo, 53-letniego Republikanina tylko bolało kolano, ale wyglądał na zmęczonego

z Bidenem. Ale przecież prawdziwy przyjaciel mówi nam też smutną prawdę.

A więc Biden rzeczywiście jest za stary? Skoro zaczęliśmy od ostatniej debaty prezydenckiej, zakończmy pierwszą. Pierwszą, w której Amerykanie oglądali starcie swoich kandydatów w telewizji – i to również było starcie „młodego” ze „starym”.

Był rok 1960. Demokrat, 43-letni senator John F. Kennedy, zmierzył się z 53-letnim wiceprezydentem Richardem Nixonem. Kennedy odmówił nałożenia makijażu, więc Republikanin zrobił to samo. Jednak twarz Kennedy’ego wyglądała na opaloną, czyli zdrowo, a u Nixona widoczny był ciemny zarost, który sprawiał, że wyglądał nieświeżo. Do tego się pościł, a jego jasnoszary garnitur zlewał się z tłem studia.

Kennedy był lepiej ubrany i przemawiał z pewnością siebie. Poświęcił sporo czasu na przygotowania, weekend spędził w hotelu na ćwiczeniach odpowiedzi. Nixon wszedł do studia wprost z trasy kampanii. Później tłumaczył, że słabo wypadł, bo był tuż po chorobie. Uderzył się w kolano, co skończyło się zakażeniem gronkowcem. Tego dnia przegrał wyścig o prezydenturę.

Po latach dowiedzieliśmy się, że dynamiczny, młodzieńczy Kennedy od dziecka przyjmował ogromne ilości leków, m.in. przeciwbólowych. Wskutek gry w futbol amerykański miał trwały uraz kręgosłupa, przeszedł kilka operacji, dręczył go żołądek i jelita, każdego dnia coś go bolało. Zapewne cierpiał na niedoczynność tarczycy i chorobę Addisona, objawiającą się m.in. spadkami nastroju.

A wyborcy, którzy słuchali debaty w radio, byli przekonani, że wygrał Nixon. ●

FOT. MIKE STOBE/GETTY IMAGES

Ile lat sobie dajesz, tyle masz Nie mów mi „Wyglądasz dobrze, jak na swój wiek”

Po wyglądzie i sposobie poruszania się szacujemy czyjś wiek. A czy wraz z wiekiem nasz własny wygląd wpływa na to, jak się czujemy? Sprawdzili naukowcy z Uniwersytetu Oklahomy. Zapytali ponad 2 tys. Amerykanów w wieku od 50 do 80 lat, jak postrzegają swój wygląd w porównaniu z innymi osobami w ich wieku. Naukowcy pytali też o doświadczenia związane z wiekiem – pozytywne lub negatywne. Wyniki opublikowało w lutym czasopismo „Psychology and Aging”.

59 proc. badanych uważa, że wyglądają młodziej niż inne osoby w ich wieku. Ta grupa osób zgłasza więcej pozytywnych doświadczeń związanych z wiekiem: są proszone o radę i ma-

ją silne poczucie celu w życiu. Osoby, które odpowiedziały, że czują się starsze niż rówieśnicy, doświadczyły więcej negatywnych interakcji. Badania wykazały, że ageizm, czyli stereotypy, uprzedzenia i dyskryminacja ze względu na wiek, mogą być źródłem chronicznego stresu i mogą być szkodliwe dla zdrowia.

– Ageizm jest formą dyskryminacji, która często objawia się mikroagresją – oceniła dr Julie Ober Allen, główna autorka badania.

– Zakładanie, że starsza osoba nie potrafi obsługiwać technologii, ale też powiedzenie jej, że wygląda dobrze jak na swój wiek, może wywołać u niej reakcję stresową. To może prowadzić do zachowań, które poma-

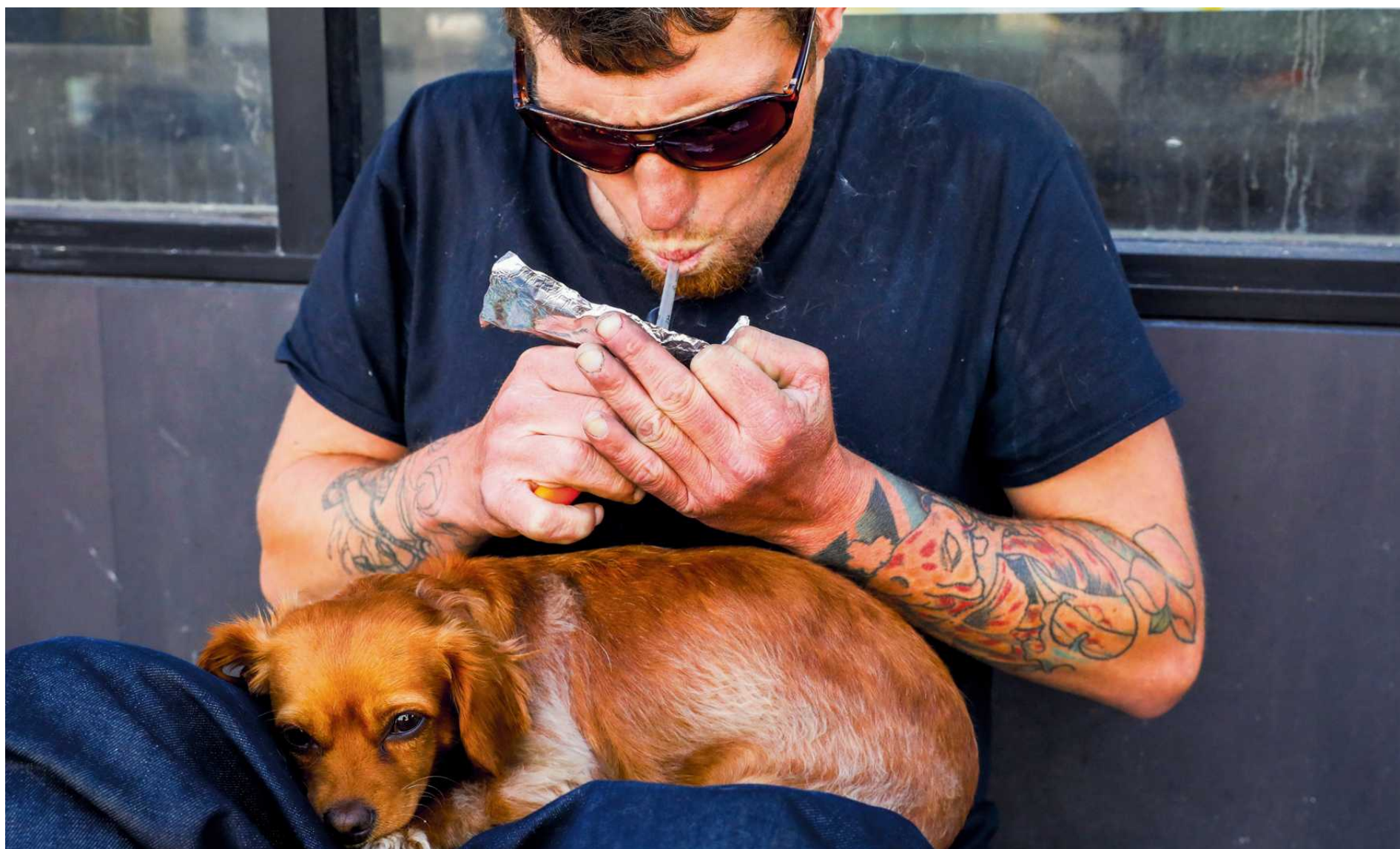
gają radzić sobie ze stresem, jak jedzenie słodczy lub palenie.

A to zadziała jak samospelniająca się przepowiednia.

Im więcej cech fizycznych danej osoby wiąże się z tradycyjnymi stereotypami dotyczącymi starości, takimi jak siwe włosy lub zmarszczki, tym większe prawdopodobieństwo, że inni będą ją postrzegać stereotypowo lub dyskryminować. – Winna jest kultura amerykańska, która kładzie nacisk na młodość i określone standardy piękna – twierdzi Allen. Badaczka zwraca uwagę, że dyskryminacja ze względu na wiek, w przeciwieństwie do rasizmu, seksizmu czy homofobii, jest częściej niedostrzegana i bardziej akceptowana w społeczeństwie.

– Mówi się, że dyskryminacja ze względu na wiek częściej dotyczy kobiety, ale badania tego nie potwierdzają – zaznacza Allen. – Doświadczenia życiowe mężczyzn są prawdopodobnie inne niż kobiet, ale mają na nich wpływ.

Osoby, które identyfikują się jako młodsze, cieszą się lepszym zdrowiem psychicznym i fizycznym. W wielu przypadkach wyglądają więc młodziej. A osoby wyglądające młodziej są mniej dyskryminowane ze względu na wiek. – Jeśli ćwiczysz, utrzymujesz prawidłową masę ciała i nie palisz, będziesz wyglądać młodziej, będziesz mieć lepszą jakość życia i mniej ograniczeń funkcjonalnych – podsumowuje Allen. ●



FOT. GABRIELLE LURIE/POLARIS IMAGES/EAST NEWS

Emilia Dłużewska

Wiadomość, że fentanyl dotarł do Polski, w ubiegłym tygodniu podawały wszystkie krajowe media. Często w tonie moralnej paniki – rozprawiając na temat potencjalnej liczby ofiar i zapowiadając, że już niedługo na ulicach polskich miast mogą wyrosnąć namiotowe miasteczka uzależnionych jak w Ameryce Północnej.

Błędem byłoby fentanyl lekceważyć. Syntetyczny opioid, stukrotnie silniejszy od morfiny, niezwykle uzależniający i łatwy do przedawkowania, w USA faktycznie zbiera śmiertelne żniwo: rocznie zabija kilkadziesiąt tysięcy osób, kolejne wypycha w bezdomność, konflikty z prawem, żalobę.

Widok uzależnionych osób leżących bezwładnie na ulicy jest trudny do zapomnienia. Cierpią nie tylko oni, ale też ich rodziny i lokalne społeczności, a z konsekwencjami mierzą się osoby, których nikt na to nie przygotował. Nauczyciele, pracownicy barów i hosteli, nawet bibliotekarze uczą się podawania odtrutki na opiaty, naloksonu, wiedząc, że któregoś dnia będą musieli ratować osobę, która przedawkuje w ich miejscu pracy.

Choć na razie są powody, by wierzyć, że problem jest w Polsce marginalny – jak wylicza w „Wyborczej” Paulina Mozolewska, polska policja w ciągu dwóch lat przejęła niewiele ponad ćwierć kilo fentanylu, a tylko w ubiegłym roku 21 ton innej substancji – dobrze, że państwo traktuje to zagrożenie poważnie i podejmuje kroki, by sytuacja nie eskalowała.

Ale na pytanie, czy czeka nas fentanylowa epidemia na miarę amerykańskiej, najprostsza odpowiedź brzmi: to bardzo mało prawdopodobne. Epidemia, która wyniszcza USA, nie jest prostą konsekwencją pojawienia się na rynku fentanylu. Raczej czymś, co po angielsku określa się jako *perfect storm* – efektem zbiegu różnych zjawisk, które do-

IDEALNA BURZA

Epidemia, która zabija dziesiątki tysięcy Amerykanów rocznie, nie rozpoczęła się od fentanylu.

piero połączone przynoszą katastrofalne skutki.

Ich rekonstrukcją zajmują się dziś w Stanach naukowcy, aktywiści, ale też reporterzy. Między innymi Patrick Radden Keefe („Imperium bólu”) i Barry Meier („Zabić ból”), z których książek korzystali twórcy fabularnego serialu Netflixa „Zabić ból”; Beth Macy, której reportaż „Dopesick: Dealers, Doctors and the Drug Company that Addicted America” stała się kanwą dostępnego na Disney+ serialu „Lekomania”, czy Sam Quinones, autor książki „Dreamland. Opiatowa epidemia w USA”.

Quinones w latach 1994-2004 mieszkał w Meksyku, kolejną dekadę spędził jako reporter kryminalny „Los Angeles Times”. Jego książka ukazała się w 2015 r. (w polskim przekładzie Macieja Kositornego w 2018 r.), kiedy fentanyl dopiero zaczynał przejmować rynek narkotykowy w USA. I choć „Dreamland” skupia się na innych substancjach – OxyContinie i heroinie – to pokazuje, dlaczego tak się wydarzyło. I czemu szanse na powtórkę w Polsce są niższe, niż wynika z alarmistycznych artykułów.

Od opioidofobii do opioidofilii

Wbrew temu, co może się wydawać z polskiej perspektywy, amerykańska „idealna burza” nie nadciągnęła nagle. Ciemne chmury zbierały się nad USA od lat 90.

Za kluczowy moment uznaje się często rok 1996, kiedy należąca do rodziny Sac-

klerów firma Purdue Pharma wprowadziła na rynek OxyContin, silny lek przeciwbólowy działający na receptory opioidowe. Ale zanim było to możliwe, amerykańscy prawnicy musieli zmienić zdanie na temat medycznych opiatów – bo, choć dziś trudno w to uwierzyć, przez lata ich dostanie było bardzo trudne.

Jeszcze w latach 80. większość lekarzy traktowała leki opioidowe jako tak niebezpieczne, że niechętnie przepisywali je nawet pacjentom hospicjów. Robert Twycross, brytyjski lekarz prowadzący badania nad wpływem opiatów na osoby w terminalnym stadium raka, miał powiedzieć, że wysiadając z samolotu w Nowym Jorku, czuje „ciągnący się po Ameryce lęk przed uzależnieniem”.

Zaczęło się to zmieniać w połowie lat 80. wraz z rozwojem medycyny paliatywnej. W 1986 r. Światowa Organizacja Zdrowia opracowała tzw. drabinę analgetyczną, schemat mający być wskazówką dla lekarzy dotyczącą leków przeciwbólowych. W opublikowanym wówczas stanowisku eksperci WHO pisali, że prawo do życia bez bólu powinno być prawem człowieka.

Nie wszyscy, którzy lobbowali za łatwiejszym dostępem do opioidów, działali z cynicznych pobudek. Lekarze widzieli cierpienie pacjentów po operacjach i przegniecionych chronicznym bólem, który uniemożliwiał im funkcjonowanie. Czytali stanowisko WHO.

Lęk przed przepisywaniem silnych leków łagodziło przekonanie, że zażywanie opiatów przez cierpiących pacjentów niezwykle rzadko prowadzi do uzależnienia – bo ból niweluje opiatową euforię. Quinones pokazuje, jak nieaspirujące do miarodajnych obserwacji jednego lekarza na zasadzie głuchego telefonu zmieniły się – wbrew jego intencjom – w szeroko cytowany „przełomowy raport”.

Jednocześnie lekarze musieli się mierzyć z rosnącą presją pacjentów domagających się silniejszych leków przeciwbólowych. I niemożnością jasnego określenia, na ile ci naprawdę ich potrzebują.

Poziomu bólu nie da się obiektywnie zmierzyć, lekarze musieli więc podejmować decyzje, opierając się na opisie osoby diagnozowanej. Ta zaś z kolei musiała podjąć abstrakcyjną decyzję: czy w II-stopniowej skali jej ból to piątka, siódemka czy dziewiątka?

Lawina recept od Sacklerów

Na tak podatny grunt padały ziarna rzucane przez biznes farmaceutyczny – tym razem absolutnie cynicznie. Koncerny zobaczyły w nowym podejściu do leczenia bólu szansę na zarobek i nie miały skrupułów, by wycisnąć z niego jak najwięcej.

Gdy w 2019 r. rozpoczął się proces, który Purdue Pharmie wytoczył stan Massachusetts, media obiegił cytat z przemówienia wiceprezesa koncernu Richarda Sacklera, który w 1996 r. zapowiadał, że OxyContin wywoła „lawinę recept, która pogrzebie konkurencję”.

Sacklerowie działali zgodnie ze strategią opracowaną w latach 60. przez seniora rodu Arthura: zamiast próbować sprzedać lek pacjentom, trzeba przekonać lekarzy do jego przepisywania.

Przedstawiciele Purdue Pharmy stosowali agresywny marketing, wprowadzali lekarzy w błąd lub zwyczajnie ich korumpowali, podobnie jak przedstawiciele Agencji Żywności i Leków odpowiedzialnych za dopuszczenie OxyContinu do obrotu.

Kampania skierowana była zwłaszcza do lekarzy pierwszego kontaktu. To do nich najpierw szli cierpiący z powodu bólu Amerykanie, tymczasem ich możliwości diagnozy i leczenia były bardzo ograniczone.

Zwłaszcza że o zakresie dostępnej terapii decydowały prywatne firmy ubezpieczeniowe skoncentrowane nie na dobrostanie pacjentów, ale na cięciu kosztów.

Niespotykana skala amerykańskiej epidemii wynika po części z tego, że od opiatów uzależniały się osoby, które nigdy nie sięgnęłyby po narkotyki.

Recepty na OxyContin dostawały gospodynie domowe skarżące się na bóle kręgosłupa; zawodowi sportowcy zdeterminowani, by wyjść na boisko mimo kontuzji; robotnicy, którym zdarzyły się wypadki przy pracy; pracownicy biurowi cierpiący na zespół cieśni nadgarstka.

Dla uboższych Amerykanów wykonujących niskopłatne prace sięgnięcie po silne środki przeciwbólowe nie było wyborem, lecz koniecznością: nie przysługiwało im płatne zwolnienie ani renta, nie byli w stanie odłożyć pieniędzy na czarną godzinę.

Na kilka tygodni bez pracy zwyczajnie nie mogli sobie pozwolić. W telewizji widzieli reklamy cudownych tabletek, które „uleczą” ból, nie powodując uzależnienia. A lekarze, wierząc w to, bez problemu im je przepisywali.

Leki opioidowe stawały się coraz łatwiej dostępne również dla eksperymentujących nastolatków, które podkrażały je rodzicom czy dziadkom.

Jest jednak haczyk – wraz z używaniem opiatów rośnie tolerancja na ich działanie. By poczuć euforię i uniknąć głodu, potrzebna jest coraz większa dawka, tabletki kupowane na czarnym rynku pochłaniają więc coraz więcej pieniędzy. Uzależnieni, nie mogąc sobie na to pozwolić, sięgają po tańszy zamiennik: heroinę.

Na saksy z heroiną

„Dreamland. Opiatowa epidemia w USA” splata ze sobą dwa wątki – opioidowych leków na receptę i heroiny. Pokazuje, jak uzależnienie od tych pierwszych przetarło szlaki do obrotu tą drugą.

Mechanizm jest uniwersalny, ale w przypadku opioidowej epidemii szczególnie istotny okazał się na prowincji. O ile bowiem w dużych amerykańskich miastach heroina była zażywana już w połowie XX w., o tyle w rolniczych rejonach Stanów Zjednoczonych przez lata ten problem niemal nie istniał.

Szukając odpowiedzi na pytanie, co się zmieniło, Quinones idzie szlakiem „czarnej smoly”: gęstej, kleistej, ciemnej heroiny wytwarzanej w okolicach Xalisco, 20-tysięcznego miasta w zachodnim Meksyku. To tam w latach 90. wyrosła siatka dilerów obsługująca ogromne obszary Ameryki.

Jak to możliwe? „Chłopaki z Xalisco” odrobili lekcję z kapitalizmu i przyjęli model biznesowy odróżniający ich od innych gangów: jak najmniej przemocy, jak najłatwiejsza dostawa, jak najlepsza obsługa klienta.

Działali jak franczyza: choć brali towar z tego samego miejsca, zamiast jednego bossa trzymającego w garści jak największy obszar, rozprawdzały go małe komórki prowadzone przez ambitnych detalistów. Rywalizacja? Owszem, ale na ceny, nie kule. No i coś, co w języku korporacji określiłibyśmy jako dbałość o *user experience*.

„Czarną smołę” można było zamówić sobie na telefon, jak pizzę: umawiając się na odbiór w określonym miejscu. Rozwożący ją kurierzy zarabiali stałą pensję, dzięki czemu nie opłacało im się chrzcić sprzedawanego towaru ani wdawać się w awantury z innymi kierowcami.

Ich klienci, z którymi rozmawiał reporter, wspominają, że byli uprzejmi, nieraz nawet czarujący. A to pozwalało im poszerzyć bazę: eksperymentujące z opiatami nastolatki z dobrych domów, które bałyby się włóczyć po podejrzanych zaułkach, nie miały problemu, by zadzwonić do miłego dostawcy.

Dobre relacje z uzależnionymi pomagały dilerom rozszerzać działalność.

Z klientów robili „ambasadorów marki” jeżdżących po okolicznych miastach i odwieżdżających kliniki metadonowe, by zachwalać tam „czarną smołę”.

Gdy system się rozkręcił, mieszkańcy Xalisco jeździli na dilerkę jak na saksy: wiedzieli, że prędzej czy później zostaną złapani, ale ich szefostwo dbało, by nie mieli przy sobie znacznych ilości narkotyku. Amerykańskie służby łapiące Meksykanina z kilkunastoma gramami heroiny wołały go deportować, niż tracić czas i pieniądze na stawianie go przed sądem.

Diler wracał do domu z odłożonymi pieniędzmi i w nowych džinsach Levisa, którymi mógł się pochwalić w rodzinnej miejscowości, na jego miejsce przyjeżdżał kolejny. A policja przez lata nie łączyła ze sobą poszczególnych przypadków.

Buldożery w krainie marzeń

To jednak nie wszystko. Quinones opisuje, jak w prowincjonalnej Ameryce fala opiodów ciągnąca ze wschodniego Wybrzeża zderzyła się z nadchodzącą z zachodu meksykańską heroiną. Ale to zderze-

nie nie byłoby może tak gwałtowne, gdyby nie jeszcze jeden czynnik: trwający latami rozkład społecznych więzi napędzany bezrobociem i beznadzieją panującą w amerykańskich Appalachach i tzw. Pasie Rdzy.

Tytułowy Dreamland („krajna marzeń”) to nazwa basenu otwartego w 1929 r. w Portsmouth, 20-tysięcznym robotniczym mieście w stanie Ohio. Dla Quinonesa jest symbolem czasów, gdy lokalna społeczność spędzała razem czas, dzieci bawiły się całymi dniami pod okiem rodziców, sąsiadów i znajomych, dorośli mogli poplotkować na trawniku, a nastolatki poflirtować nad basenem (lub pójść nieco dalej w okolicznych krzakach).

W 1980 r. Portsmouth zdobyło tytuł All-American City przyznawany przez działającą od 1894 r. organizację National Civic League miastom najlepiej wcielającym w życie ideały społeczeństwa obywatelskiego.

„W mieście mieszkało wtedy ponad 42 tys. osób, z których niewiele było bogatych, a Departament Pracy sklasyfikowałby większość jako ubogą. Jednak jak mówiła jedna z mieszkanek: »Nie byliśmy tego świadomi i zupełnie nas to nie obchodziło«. U podstawy wspólnoty tkwił przemysł. Nikt nie miał w ogródku basenów, zamiast tego były parki, korty tenisowe, boiska do koszykówki, oglądanie wystaw sklepowych i nadbrzeże, z którego można było zjeżdżać” – pisze.

Gdy Portsmouth odbierało swój tytuł, USA zaczynała odczuwać recesję. Obszar znany jako „Steel Belt” – Pas Stali, zmieniał się w „Rust Belt” – Pas Rdzy. Rosła bieda, ale też nierówności. Ci, którym się udało, kopali baseny w przydomowych ogródkach.

W 1993 r. basen Dreamland przestał istnieć – w ciągu dwóch miesięcy wjechały tam buldożery, a w miejscu basenu powstał betonowy parking. Przemysłowe miasta, takie jak Portsmouth, zaczęły się wyludniać, sklepy i restauracje upadały.

Quinones opisuje, jak wynajmowane za grosze opuszczone lokale zajmowały „fabryki prochów” – kliniki masowo wystawiające recepty na opioidy.

Ci, którzy nie mieli na nie pieniędzy, wynosili rzeczy z supermarketów sieci Walmart, która wyparła lokalne sklepiki. Nisko

opłacani ochroniarze przymykali na to oko, by nie ryzykować konfrontacji z potencjalnie agresywnymi uzależnionymi. Z usług klinik korzystały nawet osoby, które same nie brały opiodów: za wzięcie recepty „na słupa” dostawały kilkaset dolarów.

W narkotykowym biznesie pomagały karty Medicaid – rządowego programu mającego zapewnić dostęp do opieki medycznej najgorzej zarabiającym Amerykanom. Autor „Dreamlandu” opisuje losy społeczności hrabstwa Floyd w Kentucky, którego mieszkańcy przez lata żyli z górnictwa.

Pracownicy kopalni płacili składki, a gdy zachorowali, przysługiwała im zapomoga pozwalająca utrzymać rodzinę. Z czasem jednak firmy działające w okolicy przerzuciły się na kopalnie odkrywkowe, liczba miejsc pracy zmalała, podobnie jak wysokość zapomogi.

Na początku XXI w. bezrobotni mieszkańcy stanu dostawali miesięcznie 500 dolarów. I kartę Medicaid, która za kilka dolarów pozwalała im wykupić leki opioidowe. Prokurator stanowy Brent

stwa, które nie zadbało o stworzenie nowych miejsc pracy dla mieszkańców przemysłowych regionów.

Oddało opiekę nad chorymi prywatnym firmom. Ciężko fundusze na interdyscyplinarne zespoły leczenia bólu. Obniżało zasiłki i programy pomocowe. Nie pilnowało, by stawki minimalne odzwierciedlały koszty życia, skazując miliony pracujących osób na życie w biedzie.

Które pozwalało działać „klinikom” przyjmujących setki pacjentów i wypisujących im setki recept dziennie.

Opiaty nie opanowałyby Ameryki w takim stopniu, gdyby nie paradygmat chronienia interesów korporacji. Bezkrzytyczna wiara w wolny rynek sprawiła, że Purdue Pharma mogła fundować lekarzom egzotyczne wycieczki, reklamować swój produkt w oparciu o mgliste obietnice i bezkarnie korzystać z mechanizmu „drzwi obrotowych”: urzędnik, który zatwierdził OxyContin, niedługo później odszedł z pracy i zatrudnił się za trzykrotnie wyższą pensję w Purdue Pharmie – całkowicie legalnie.

Czy czeka nas fentanylowa epidemia na miarę amerykańskiej? Najprostsza odpowiedź brzmi: to bardzo mało prawdopodobne.

Turner nie miał złudzeń, jakie były tego konsekwencje: – Można całymi dniami rozmawiać o moralności, ale gdy dostaje się 500 dolarów miesięcznie i ma się kartę Medicaid pozwalającą zdobyć miesięczny zapas prochów wartych kilka tysięcy dolarów, to po prostu się je wykupuje, a potem sprzedaje na ulicy – mówił Quinonesowi.

To nie wyjątek. Wystarczą dwie godziny jazdy, by z hrabstwa Floyd dostać się do hrabstwa Lee w Wirginii, gdzie dzieje się akcja nagrodzonego Pulitzerem „Demonna Copperheada” Barbary Kingsolver, jednej z najgłośniejszych amerykańskich powieści ostatnich lat. W cztery godziny samochodem dotrzeć można z niego do Middletown w Ohio, rodzinnego miasta J.D. Vance’a, autora autobiograficznej „Elegii dla bidoków”.

Kingsolver i Vance radykalnie różnią się w poglądach. Vance, dziś republikański senator, twierdzi, że zasiłki rozleniwiają społeczeństwo, a swój sukces zawdzięcza determinacji i służbie w wojsku, która nauczyła go odpowiedzialności.

Kingsolver uważa, że społeczności Apalachów zniszczył wielki przemysł i korporacje, a w amerykańskiej armii obiecującej stypendium na studia w zamian za wyjazd do Iraku czy Afganistanu widzi hienę żerującą na desperacji mieszkańców.

Mimo to w ich opowieściach można znaleźć wspólne wątki składające się na obraz amerykańskiej prowincji: wyniszczonej przemysłem, pozbawionej dochodu, pozostawionej samej sobie. Miejsca, gdzie opioidowa epidemia szerzy się jak pożar. A gdy ogień jest dostatecznie wysoki, iskry z łatwością przeskoczą w kolejne miejsca.

Uczyć się na błędach Ameryki

Fentanyl, który dziś pustoszy Amerykę, był tylko kolejnym krokiem na ścieżce przetartej wcześniej przez inne opiaty. Krokiem niebagatelnym, bo oferującym substancję tańszą w produkcji, silniejszą w działaniu, łatwiejszą w przemyśle i bardziej śmiertelną. Ale nie pojawiającym się w próżni.

Kontekst dla opiatowej epidemii w USA stworzyły trwające latami procesy. To m.in. efekt postępującej kapitulacji pań-

Nie bez znaczenia było uzależnienie od taniej, nierejestrowanej siły roboczej z Meksyku, które ułatwiało pracę przemytnikom i dilerom. Niedostateczna współpraca między służbami, przez co wpadnięcie na trop „czarnej smoly” zajęło funkcjonariuszom lata.

Brak przemysłowej, długotrwałej polityki społecznej, przez co skądinąd dobre pomysły – jak karta Medicaid – miały katastrofalne skutki uboczne.

Nie znaczy to, że poza Ameryką nie ma się czego obawiać.

Receptory opioidowe Polaków nie różnią się zasadniczo od receptorów Amerykanów. Na poziomie jednostki fentanyl będzie tak samo uzależniający i tak samo śmiertelny. Państwo słusznie bierze się za tzw. receptomaty i słusznie przestrzega przed zażywaniem leków opioidowych na własną rękę czy użyczaniem ich bliskim.

Jeśli, jak informuje GIS, oksykodon z Polski sprzedawany jest w USA, to sygnał, że kontrola nad obiegiem tej substancji zawiodła. Moralne wzmoczenie ostatnich tygodni przełożyło się już na zatrzymanie dilerów z Żuromina i handlujących receptami lekarzy z Poznania – i bardzo dobrze.

Ale ważne jest też, by nie wylać dziecka z kąpielą i nie popaść w opioidofobię, w imię walki z uzależnieniem skazując pacjentów na koszmarny ból.

Mamy to szczęście, że nasz społeczny kontekst jest inny. Choć w Polsce też są osoby zmagające się z ubóstwem, wykluczeniem czy izolacją, to sieć zabezpieczeń społecznych jest silniejsza, podobnie jak państwowe czy europejskie regulacje chroniące obywateli przed chciwością korporacji.

Dzięki temu, że historia amerykańskiej epidemii opioidowej jest wciąż badana i opisywana, Polska ma szansę uczyć się na cudzych błędach.

Nie skupiać się tylko na receptomatach i dilerach, ale działać od drugiej strony, zmniejszając ryzyko wejścia w uzależnienie: wzmacniać więzi społeczne, dawać ludziom perspektywę i możliwość realizacji, dbać o zdrowie psychiczne, zwłaszcza nastolatków.

Dopilnować, by Żuromin nie stał się kolejnym Portsmouth. ●

Adam Krzemiński

Film o przyszłej wojnie domowej w USA widzowie w warszawskim kinie oglądali w milczeniu. Z jakimi minami, z jakimi myślami będziemy oglądać go, teraz kiedy wkracza internetowego obiegu równolegle z fatalną debatą Bidena z Trumpem?

Recenzenci półgębkiem chwalili „Civil War” za rzemiosło brytyjskiego scenarzysty i reżysera Alexa Garlanda oraz grę Kirsten Dunst jako fotoreporterki. Wykreowane przez sztuczną inteligencję sceny płonących amerykańskich miast robią wrażenie. A podróż czwórki reporterów wojennych z Nowego Jorku do Waszyngtonu po wywiad z prezydentem oblężonym przez secesjonistów zaczęła do ogólnikowych rozważań o amerykańskim „kinie drogi” i rozpaczliwej kondycji bezstronnego dziennikarstwa w świecie poszatkowanym wojnami domowymi.

Z tak uniwersalnej perspektywy amerykańskie tło wojny domowej ma drugorzędne znaczenie, bo one wybuchają wszędzie. Niemniej „New Yorker” przyznaje, że „Civil War” to przypowieść niepokojąca – „jakby wystarczyła już tylko jedna secesjonistyczna wypowiedź lub jedno prezydenckie nadużycie władzy, byśmy wpadli w podobny koszmar”. A „New York Times” przypomina, że film wiele zawdzięcza „tym kolesiom”, którzy 6 stycznia 2021 ruszyli na Kapitol w koszulkach z napisem „wojna domowa MAGA” – to akronim słynnego trumpistowskiego „Make America great again”.

To nie pierwszy film o możliwym rozpadzie Ameryki. W 1997 r. była „Druga wojna secesyjna” Joe Dantego – komediowa satyra na tępych prowincjonalnych polityków i cynicznych dziennikarzy dla oglądalności podkręcających lokalny konflikt. Ale Garland to inny kaliber. Niby mimochodem nadmienia, że prezydent-błazen złamał konstytucję i zaczął trzecią kadencję. Gdyby jakiś widz mimo to nie odgadł, o kim mowa – głowa państwa rozwiązuje FBI i nakazuje armii zbombardowanie zgromadzenia opozycji. Brzmi znajomo? Po czym Teksasu i Kalifornia pogrzebały swą tradycyjną wrogość i zawiązały sojusz wojсковy, ruszając zbrojnie na Waszyngton.

Można machnąć ręką, że lęki przed rozłamem towarzyszą Amerykanom od 250 lat, już Jefferson przed nim przestrzegał. A jednak USA trzymają się mocno, spójne „mową gettysburską” Lincolną i łzami „Przeminęło z wiatrem”. Niemniej historycy, socjologzy i amerykańscy komentatorzy od lat sygnalizują głębokie rysy i pęknięcia w amerykańskim społeczeństwie. Coraz głębsze. Już 20 lat temu, w 2004 roku, sam Samuel Huntington – ten od „trzeciej fali demokracji”, choć lepiej pamięta mu się „zderzenie cywilizacji” – w obszernym studium „Who are we”, „Kim jesteśmy”, dokładnie opisał głęboki kryzys amerykańskiej tożsamości.

Rozpadu Stanów Zjednoczonych obawiali się już ich ojcowie założyciele, Jefferson i Waszyngton. Dla nich Amerykanie jeszcze nie byli jednym narodem. Nie *We the Nation*, lecz *We the People* brzmią pierwsze słowa konstytucji. My ludzie sferowanych stanów zapisujemy sobie amerykańskie credo: Jesteśmy równi, wolni i każdy ma prawo dążyć do osobistego szczęścia... Oto nasze prawdy, *these truths...*

Obywatele USA – obok rdzennej ludności i afrykańskich niewolników – byli od początku etniczną mieszkanką. Jednak mimo wpływów kolonii holenderskich, francuskich, hiszpańskich, a w Pensylwanii nawet niemieckich, kształt Stanom nadawała europejska kultura WASP-ów, białych anglosaskich protestantów. Wprawdzie w XIX wieku mawiano, że Europejczyk porzucający swój kraj już na Atlantyku stawał się Amerykaninem, jednak za certyfikat narodu amerykańskiego uchodzi dopiero

NIEWAŻNE, KTO ZACZĄŁ STRZELAĆ WAŻNE, ŻE STR

mowa gettysburska Lincolną z 1865 r. Prezydent w czasie wojny secesyjnej uhonorował w niej pamięć poległych po obu stronach – tak jankesów, jak konfederatów.

W latach 1820-1924 do Stanów przybyło około 34 milionów Europejczyków. Już oni zostali częściowo zasymilowani, a ich dzieci i wnuki asymilowały się na dobre z amerykańskim społeczeństwem i kulturą. W 1909 roku prezydent Theodore Roosevelt z zachwytem podchwycił tytuł cklewej sztuki Izraela Zangwilla „Tygiel narodów”. Jej bohater – żydowski imigrant z Rosji, którego matka i siostra padły w Kiszynio- wie ofiarą pogromie – pisze w Nowym Jorku symfonię ku chwale Ameryki, która spaja, niczym w tyglu, różne grupy etniczne. Przy okazji zakochuje się w rosyjskiej imigrantce, której ojciec dowodził pogromem, a teraz kaja się. Symfonia jest sukcesem, a młodzi pobierają się i są szczęśliwi.

Metafora tygla spotkała się jednak także z gwałtownym sprzeciwem: Ameryka to salaterka z jarzynową sałatką albo talerz z zupą pomidorowa. Smak i charakter nadają jej pomidory – biali anglosascy protestanci.

Tymczasem i jedna, i druga metafora już straciły przydatność. Skończył się tygiel, i pomidorowa – stwierdził Huntington. W latach 1964-2000 do USA przybyły 24 miliony imigrantów z Ameryki Łacińskiej i Azji, których „asymilacja nie musi być równoznaczna z amerykanizacją”. To nie Ameryka zmienia swych mieszkańców, lecz oni Amerykę, odsuwając ją kulturowo i mentalnie od Europy i dzieląc na etniczne enklawy.

W 2013 r. niemal 32 milionów obywateli amerykańskich nie urodziło się w USA: 11 584 977 w Meksyku, 3 769 999 w Chinach, 2 034 677 w Indiach – aczkolwiek 584 184 w Niemczech (16 miejsc) i 432 601 w Polsce (19 miejsc). Huntington dziewięć lat wcześniej wskazywał, przywołując millenijne dane – 7 841 000 Amerykanów urodzonych w Meksyku, 1 391 000 w Chinach, 1 222 000 w Filipinach – że podwójne obywatelstwo oraz miliony „tolerowanych nielegalnych” osłabiają siłę dotychczasowego amerykańskiego credo. A jednocześnie zglobalizowane amerykańskie elity „oderwały się od zwykłych ludzi”.

Alarmistyczne studium Huntingtona pobudziło czarne scenariusze, w których Stany XXI wieku rozpadają się na odrębne całości. Wschód z Nowym Jorkiem i Bostonem pozostaje w kontakcie z Europą. Na południu 150 lat po przegranej wojnie secesyjnej jednak zwycięża *dixie* – duch Konfederacji. Kalifornię z Los Angeles i San Francisco dominuje meksykańska reconquista. A „kwadratowe” rolnicze stany nad Missisipi zamykają się w sobie...

Brzmi tak fantastycznie, że choć pisały o tym poważne gazety – w kampanii 2020 roku „The Philadelphia Inquire” w melancholijnym eseju z rezygnacją odnotowywał: „Ameryka jest skończona: po prostu podzielmy ją na różne kraje”, ilustrując tezę mapą kraju rozdartego wzdłuż Missisipi – wielu zbywało wizję secesji wzruszeniem ramion. Lecz już kilka miesięcy po publikacji filadelfijskiej gazety szturm na Kapitol pokazał, że rozpad jest jak najbardziej możliwy. I nie musi być formalny, wystarczy mentalny. W „Civil War”

A jeśli po wygranej Trumpa
połowa Amerykanów powie
„to już nie mój kraj”?



Garland ilustruje to sceną – porażającą samą z siebie, a jeszcze bardziej, gdy mamy w pamięci kadry z przerażonymi strażnikami kryjącymi się po kątach i rozjuszonymi milicjantami wdzierającymi do gabinetów – przesłuchania i egzekucji „niewłaściwych” Amerykanów przez uzbrojonego tożsamościowca.

Można na to machnąć ręką. Niemal wszystkie kraje są jakoś tam rozdzielane w czarnych utopiach – jak u nas w powieści Jakuba Kuzy „2020. Bitwa o Polskę”, z nieodzownymi Hitlerem i Stalinem na okładce: na Zachód od Wisły Polska unijna, na Wschodzie pisowski skansen nacjonalizmu, a pod Wisłą podkopy. W Niemczech mamy konwulsje wskutek wciąż nieskonsumowanego zjednoczenia. We Francji – kolejne odsłony spektaklu, za i przeciw Dreyfussowi, za Pétainem czy de Gaullem, za Macronem czy Le Pen. W Anglii za Europą lub przeciw. A jednak wszystkie te państwa trwają, a ich obywatele, choć potrafią sobie skakać do oczu, coś spaja i coś trzyma we wspólnym kraju.

Lecz komentator „Philadelphia Inquire” miał na myśli coś głębszego niż jedynie wyborcze podziały – za Trumpem czy za

Bidenem, głębszego nawet niż te związane z przemianami ostatnich dekad – bo demontaż amerykańskiej tożsamości. Skoro utworzenie USA było eksperymentem mającym na celu wspólne szczęście obywateli, a dziś 70 proc. Amerykanów jest wścigłych na ustrój Ameryki, to może amerykańskie małżeństwo z rozsądku powinno się rozwieść?

To prawda, kraj w ciągu jednego pokolenia przeżył zamachy, recesję, zniesienie segregacji rasowej, inflację, kryzys energetyczny, aferę Watergate, zanieczyszczenie środowiska, AIDS, atak 11 września – i przetrwał. „Mieliśmy ze sobą fajny okres. Wygraliśmy dwie wojny światowe, daliśmy światu samochód, energię jądrową, internet. Wysłaliśmy ludzi na Księżyc”. Ale... „Ale kiedyś byliśmy dla świata jutrzeńką swobody. Teraz trzymamy w kłatkach dzieci nielegalnych imigrantów. Po naszych ulicach wałęsają się paramilitarne bojówki. Kiedyś osłanialiśmy demokrację w innych krajach, dziś sami jesteśmy na cenzurowanym Amnesty International. Nasza polityka jest od Sasa do Lasa. Jeden prezydent odrzuca światowy program ekologiczny, drugi go przyjmuje, trzeci odrzuca, czwarty pewnie przywróci, a piąty ani chybi przekreśli. To niepoważne. Może czas

ZELA



• 2017 rok, Kalifornia, Huntington Beach. Podczas marszu Make America Great Again wybuchła bójka między zwolennikami i przeciwnikami Trumpa

sobie powiedzieć: było miło, ale się skończyło”.

Podobnie argumentuje Jill Lepore, autorka równie monumentalnej, co gorzkiej historii USA, w której zderza amerykańskie mity pierwszej nowoczesnej demokracji z brutalną i okrutną stroną amerykańskiej rzeczywistości. Historyczka z Harvardu nie zaczyna od roku 1776, lecz od 1492, od Kolumba. Opowiada o łamaniu umów zawieranych przez kolonistów i koronę brytyjską z – tak jest! – na-

rodami tubylczymi, o transferze niewolników z Afryki, których w XVIII w. było więcej niż białych anglosaskich protestantów, o serii krwawo tłumionych powstań Indian i niewolników, o wojnie domowej, segregacji i nienawiści rasowej. A kończy krytyką początku prezydentury Trumpa.

Jej wniosek: dzisiejsi Amerykanie nie są narodem etnicznym ani nawet kulturowym, lecz jedynie konstytucyjnym – składającym się z kolejnych fal imigrantów biorących za oczywiste „te prawdy” wpi-

sane do Deklaracji Niepodległości przez Benjamina Franklina, że wszyscy ludzie są równi, bo Stwórca wyposażył ich w niezbywalne prawa, na które składają się: prawo do życia, wolności i dążenie do szczęścia. Toteż USA przez ponad 200 lat przyciągały miliony uchodźców, awanturników i wynalazców, ludzi przedsiębiorczych albo tylko pracowitych, a pozabawionych w swoich krajach praw i pracy. Rozszerzyły terytorium po wybrzeża Pacyfiku i Hawaje, a strefę wpływów po Karaiby i Filipiny przemocą, ale też siłą przyciągania. Uchodziły za tygiel narodów.

Tylko że spójnego narodowego stopu nie wytworzyły. Dlatego też tytuł polskiego wydania jej historii Ameryki, „My, naród”, jest bałamutny. Tytuł oryginału bowiem – „These truths. A history of the United States” – wskazuje na prawdy zapisane w konstytucji, ale niezbyt przestrzegane.

Pod wpływem prezydentury Trumpa Lepore opublikowała 150-stronicowy manifest „Oto Ameryka. Problem narodu”. Ma pretensje do liberalnych historyków i publicystów, że w obliczu nawrotu niszczycielskiego nacjonalizmu dali się zastraszyć, zajmując się bieżącymi marginaliami, zamiast ofensywnie wypracować nową formułę narodu opartego na patriotyzmie otwartym i empatii na wewnątrz i na zewnątrz. Zachwyceni tryumfem 1989 roku, uwierzyli w koniec wielkich starć ideologicznych, zamykając oczy na to, że „nacjonalizm dewastował Bośnię i Ruandę, dodawał we Francji skrzydeł Marine Le Pen, wynosił do władzy Putina, Erdogana, Orbána, Kaczyńskiego, że wypchnął z UE Wielką Brytanię i okrzykami »Jestem nacjonalistą, OK?« doprowadził Trumpa do Białego Domu”.

To wezwanie do liberalnego odczytania „kwestii narodu” kończyło się uwagą, że jedna narodowa narracja nie jest możliwa, bo każda jest zlepkiem prawd, półprawd, mitów i świadomych przekłamań. Dlatego „nowy amerykańizm” powinien opierać się na wolności, tolerancji, dociekliwości, przyzwoitości i obywatelskim zaangażowaniu na rzecz dobrobytu w kraju i globalnej równowagi ekologicznej. Oraz na skrupulatnej ocenie zarówno chwalebnych stron własnej historii, jak i zadawanych w niej karygodnych krzywd: „Patriotyzm jest inspirowany miłością, nacjonalizm nienawiścią. Mieszanie jednego z drugim to nazywanie nienawiści miłością, a strachu odwagą”.

Znamy to rozróżnienie także w Europie. Nad Wisłą przywodzi na myśl „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy” Jana Józefa Lipskiego z 1980 r. A we Francji przeddefinowanie stosunku do przeszłości przez prezydenta François-e’a Hollande’a 11 listopada 2014, gdy odsłaniał w Arras Pierścień Pamięci, łączący pamięć 40 narodów walczących w czasie I wojny we Flandrii w nadrzedną pamięć europejską. Na wielkiej obręczy z brązu wyryto w porządku alfabetycznym i bez podawania narodowości 600 tys. nazwisk poległych, także z kolonii francuskich. Tak to oburzyło francuskich narodowców, że przed uroczystością wojskowy samolot musiał przepędzić awio-

netkę z bannerem domagającym się dymisji Hollanda.

W Niemczech na manifest Jill Lepore natychmiast odpowiedziała wybitna badaczka pamięci kulturowej i polityk historycznych, Aleida Assmann. Jej książka „Ponowne odkrycie narodu. Dlaczego się go boimy i dlaczego go potrzebujemy” z 2020 r. była analizą zmian zachodzących obecnie w „gramatyce tożsamościowej” Ameryki, Niemiec, Francji, Izraela, a także w Polsce, na Węgrzech i w Rosji Putina. Assmann dodaje do manifestu Lepore rozróżnienie między demokratycznymi i antydemokratycznymi państwami narodowymi, narodami cywilnymi i wojennymi oraz inne niż tylko konstytucyjne źródła legitymizacji i tożsamości narodów w Europie.

Uważa też, że dziś to Ameryka powinna się przyjrzeć tym państwom europejskim, które były wdzięczne Amerykanom za to, że po 1945 r. nauczyli je liberalnej demokracji. A wniosek ma podobny do tez Lepore. „To pamięć jest początkiem przyszłości. I w odróżnieniu od narodu, który opiera się na mitach, kłamstwach i nienawiści, to pluralistyczne naród demokratyczny mógłby być wspólnotą doświadczeń, pamięci, a także uczenia się opartą na wolności i równych prawach obywatelskich, pilnującą tego, by obowiązywały zasady konstytucyjne, a dobro wolności nie było odebrane tym o innym kolorze skóry”.

Najazd Putina na Ukrainę i powrót zimnej wojny między liberalnym Zachodem i autokracją rosyjską wystrzelił przy okazji i pytanie Huntingtona sprzed dwudziestu lat: kim jesteśmy, i emocje powtórki amerykańskiej kampanii wyborczej sprzed czterech lat. Tym bardziej że zanoszą się na rewanż w pojedynku Trump-Biden. Były prezydent po skazującym wyroku w związku z nielegalnymi metodami wygranej przezeń kampanii z 2016 nazywa swój kraj „faszystowskim”.

Kiedyś Republikanie uchodzili za partię prawa i porządku. Teraz wyrok sądu nazywają kpina z sprawiedliwości. I od 6 stycznia 2021 r. wiadomo, że nie jest to pusta retoryka. Dlatego wspierający Bidena Robert de Niro wybuchnął, że „Trump chce zniszczyć nie tylko to miasto, ale cały kraj. A kiedyś mógłby też i świat”. Kiedyś są przysięgłych – obok krytycznego niezależnego dziennikarstwa – uchodził za kwintesencję Ameryki. Teraz już ani jedno, ani drugie nie łagodzi politycznych konfliktów i nastrojów.

I dotyczy to nie tylko Stanów Zjednoczonych. W czerwcowym numerze „The Atlantic” Anne Applebaum wykazuje, że Zachód między innymi dlatego przegrywa medialną wojnę z rosyjską czy chińską propagandą, ponieważ – inaczej niż choćby w czasach zimnej wojny – w krajach zachodnich skrajni populiści przyjmują ją za swoją. „Przywódcy ruchu MAGA są zainteresowani wtłaczaniem nihilizmu i cynizmu do mózgów swoich współobywateli i przekonywaniem ich, że nic, co widzą, nie jest prawdą”.

Tucker Carlson, główny celebryta alt-rightu, propagował nawet strach przed kolorową rewolucją w Ameryce, przenosząc to sformułowanie bezpośrednio z rosyjskiej propagandy. A Chińczycy pokazali sfalszowane zdjęcia Bidena w więziennym stroju, naśmiewali się z jego wieku i powtarzali kłamliwe wideo rosyjskiej globalnej telewizji RT, jakoby Biden wysłał neonazistowskiego zbrodniarza, aby walczył na Ukrainie. Rosyjscy i chińscy aktorzy łatwo wtapiają się w działalność trumpistowskiego ruchu MAGA, a rząd w Waszyngtonie wciąż nie znalazł sposobu na przeciwdziałanie obcym kampaniom dezinformacyjnym we własnym kraju.

Film Garlanda co nieco z tych procesów i zjawisk pokazuje, gdy na ekranie miga koleś w koszulce MAGA, a budynek Kapitolu zostaje ostrzelany. Ale tego wszystkiego jasno nie werbalizuje, bo w „Civil War” nie chodzi już o to, kto zaczął strzelać. Ważne, że strzela. ●

Skoro utworzenie USA było eksperymentem mającym na celu szczęście obywateli, a dziś 70 proc. Amerykanów jest wściekłych na ustrój Ameryki, to może amerykańskie małżeństwo z rozsądku powinno się rozwieść

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

ZMIENIAMY
NASZE
NIEMIECKIE
DNAZ CHRISTOPHEM HEUSGENEM
ROZMAWIA JAKUB KIBITLEWSKI

Popelniliśmy błąd, nie słuchając Radka Sikorskiego.

JAKUB KIBITLEWSKI: Ostatnie 8 lat nie było najłatwiejszym okresem w stosunkach polsko-niemieckich. Jakie nadzieje wiąże pan z naszymi sąsiedzkimi relacjami teraz, kiedy mamy nowy, liberalny rząd?

CHRISTOPH HEUSGEN*: – Duże nadzieje pokładałam w ożywieniu Trójkąta Weimarskiego. Byłam zwolennikiem tego formatu już w latach 90. i myślę, że nadarza się świetna okazja, by przywrócić go na właściwe tory. Silny Trójkąt Weimarski z silną pozycją Polski jest bardzo ważny. Zwłaszcza teraz, biorąc pod uwagę zagrożenie ze strony Rosji.

Szef unijnej dyplomacji Josep Borell powiedział, że „szersza wojna konwencjonalna w Europie to już nie fantazja, a realne zagrożenie”. Faktycznie powinniśmy przygotować się na starcie Rosji z NATO? Przecież Rosjanie nie radzą sobie nawet ze zdobyciem Kijowa.

– Patrząc na to z perspektywy kogoś, kto doświadczył Zimnej Wojny, mogę śmiało powiedzieć, że jesteśmy w podobnym momencie. Jak wtedy, mamy do czynienia z bardzo agresywną Rosją, a ponieważ jedynym językiem, jaki Putin respektuje, jest siła, w taki sposób powinniśmy z nim rozmawiać. Potrzebujemy silnego sojuszu opartego na silnym europejskim filarze. Nasze obecne działania zmierzają w dobrym kierunku, ale musimy robić jeszcze więcej.

To znaczy?

– Przede wszystkim musimy upewnić się, że wszyscy członkowie NATO poważnie traktują to, do czego zobowiązali się najpierw w Walii, a później w Wilnie, i przeznaczają co najmniej 2 proc. PKB na obronę. Patrząc na budżety poszczególnych państw członkowskich, w tym mojego kraju, przed nami jeszcze dużo pracy.

Polska odrobiliła pracę domową wzorowo, kraje bałtyckie również, wiedząc dokładnie, z jakim zagrożeniem przyszło im się mierzyć. Ale ponieważ jesteśmy częścią sojuszu, wszyscy partnerzy muszą wywiązać się ze swojej roli.

Skoro mówimy o sojuszniczej solidarności – kolejna prezydentura Trumpa staje się coraz bardziej prawdopodobna, i coraz bliższa, listopad prawie za pasem. A on nie dość, że wielokrotnie kwestionował amerykańskie zaangażowanie w NATO, to ostatnio sugeruje, że zakończy wojnę w Ukrainie, oferując Rosji ustępstwa terytorialne.

– Cóż, o Trumpie na pewno wiemy jedno. Jest nieobliczalny. Właśnie dlatego uważam, że nie powinniśmy zwracać uwagi na wszystko, co mówi. Natomiast tym bardziej musimy odrobić naszą pracę domową. Musimy zaakceptować fakt, że w najbliższej przyszłości Stany Zjednoczone zajmą się swoimi problemami wewnętrznymi – infrastrukturą, edukacją, zdrowiem publicznym, ochroną południowej granicy. I że największego zagrożenia geopolitycznego upatrują w Chinach, nie w Rosji. Więc bez względu na to, kto będzie u władzy, Republikanie czy Demokraci, skoncentrują się znacznie bardziej na regionie Azji i Pacyfiku.

Nie powinniśmy więc cały czas oglądać się na Waszyngton. Powinniśmy raczej patrzeć na Brukselę i zastanowić się, jak zadbać o własne interesy. A im lepiej to zrobimy, tym spokojniej będziemy mogli śledzić rozwój sytuacji w USA.

A co tej propozycji zakończenia wojny, wolałbym nawet nie spekulować na ten temat. Ale skoro padła, wypada przypomnieć, że prawo międzynarodowe, które Rosja sama przecież uznała, jest bardzo jasne w kwestii suwerenności państwowej. W memorandum budapesztańskim z 1994 r. Rosja zagwarantowała integralność terytorialną oraz suwerenność Ukrainy i jej granic. A Siergiej Ławrow, wówczas stały przedstawiciel Federacji Rosyjskiej przy ONZ, doprowadził do tego, że stało się dokumentem Rady Bezpieczeństwa ONZ. Powinniśmy przypomnieć Rosji, że sama się na to zgodziła i musi to uszanować.

A jak zagwarantować stabilność naszej, jak to się mówi, architektury bezpieczeństwa, gdy sama Europa jest tak politycznie podzielona? I nie mówię tu jedynie o podziałach na linii Wschód-Zachód-Południe. Poważne różnice widać nawet wśród członków Grupy Wyszehradzkiej, która ma przecież reprezento-



• Sedan NIO ET5 i sportowy NIO EP9 sport w NIO House - berlińskim salonie NIO, chińskiej marki samochodów elektrycznych klasy wyższej, rywalizować z bmw i audi

wać zbliżone interesy Europy Środkowo-Wschodniej.

– Przede wszystkim mam nadzieję, że polski rząd – a Polska była zawsze najsilniejszym partnerem V4 – będzie w stanie w jakiś sposób przekonać premiera Orbána i premiera Fico, że kraje Grupy Wyszehradzkiej powinny trzymać się razem.

Natomiast nie widzę też jakiegoś szczególnego podziału na wschód i zachód. Kiedy patrzę na naszego najbliższego sojusznika politycznego od końca II wojny światowej, Francję, widzę dużą zmianę podejścia, od pozycji raczej sceptycznej wobec Europy Wschodniej do pozycji, w której Francja chce być tej Europy silnym partnerem. Przecież również w odniesieniu do Ukrainy Paryż przedstawił propozycję, które znacznie wykraczają poza te, które słychać z Berlina.

Wzmacnianiu ducha europejskiej wspólnoty, która rozciąga się od zachodu po wschód, z północy na południe, towarzyszą oczywiście wyzwania, ale Polska, z byłym przewodniczącym Rady Europejskiej jako premierem, wie najlepiej, jak uzyskać poparcie wszystkich członków Unii dla wspólnego stawienia czoła zagrożeniom.

Polska w roli zwornika między Wschodem a Zachodem? Wspaniale słyszeć, że wracamy do gry.

Dla społeczeństwa, które nigdy tak naprawdę nie doświadczyło wojny, powrót do zimnowojennego sposobu myślenia nie jest łatwy

– To fantastyczne, mieć przy stole takich ludzi jak premier Tusk, Radek Sikorski czy podsekretarz stanu Marek Prawda, mój osobisty przyjaciel. I bardzo pociesające, bo zaufanie, które udało nam się zbudować przez lata, z automatycznie przekłada się na bardziej harmonijne stosunki polsko-niemieckie.

Nie wiem, jak dogadują się Tusk i Scholz, ale gdy byłem jeszcze doradcą kanclerz Merkel, ona miała fantastyczne relacje z Tuskiem i bardzo wspierała go.

Obóz narodowo-konserwatywny w Polsce wykorzystuje to na jego niekorzyść: „Tusk, niemiecki agent”.

– Znakomite studium przypadku, jak populiści wykorzystują dezinformację i stare stereotypy.

Co musiałoby się wydarzyć, aby rosyjscy oficjele znów pojawili się na Monachij-skiej Konferencji Bezpieczeństwa?

– Międzynarodowy Trybunał Karny wydał nakaz aresztowania Putina, więc chciałbym, aby pojawił się w Monachium i stamtąd trafił prosto do więzienia.

A mówiąc poważniej, uważnie się temu przyglądaliśmy. Proszę pamiętać, że mottem naszej konferencji jest „Pokój poprzez dialog”. Nie widziałem żadnego oświadczenia członków rosyjskiego rządu, nawet nieoficjalnego, po którym można by mieć najmniejszą nadzieję, że są gotowi do poważnego dialogu i poszanowania prawa międzynarodowego. Dlatego nie widzę podstaw do rozmowy.

Rosjanie chcieliby raczej wykorzystać Monachium jako platformę do szerzenia swojej propagandy i bardzo im się nie podoba, że nie mogą.

Odebranie Ławrowowi tej możliwości to niewielka, ale istotna sankcja – sygnał, że nie przyzwyczailiśmy się, że dla międzynarodowej społeczności nadal jest persona non grata.



REUTERS/ANNEGRET HILSE

Zresztą sygnałem jest i to, że w tym roku mieliśmy wiele ważnych rosyjskich głosów – takich jak Julii Nawalnej.

Oglądałem jej przemówienie. Było bardzo dramatyczne.

– I bardzo, bardzo smutne. Ale pokazała wielką siłę w obliczu morderstwa jej męża. Zaprosiliśmy również wielu przedstawicieli rosyjskiej opozycji i społeczeństwa obywatelskiego, w tym współzałożycielkę słynnego stowarzyszenia Memoriał Irinę Szczerbakową i Garriego Kasparowa.

A czy konflikt izraelsko-palestyński może podzielić europejskich sojuszników? Mam na myśli i stosunek do postępowania Izraela, i obawy, że okrucieństwa wojny w Gazie mogą odwrócić uwagę od Ukrainy.

– Wystarczy spojrzeć na poparcie dla Ukrainy, na podejmowane decyzje, na agendę NATO, żeby dojść do wniosku, że konflikt Izraela z Hamasem nie odciągnął uwagi od Ukrainy.

Ale wśród znakomitej większości państw członkowskich ONZ krytykujących naruszenie międzynarodowego prawa humanitarnego, dostrzegam jednak pragnącą frustrację z powodu podwójnych standardów, która osłabia poparcie dla Ukrainy w Zgromadzeniu Ogólnym. Podam przykład. W drugą rocznicę rosyjskiej inwazji Ukraińcy nie wystąpili o kolejną potępiającą rezolucję, ponieważ – ale to tylko moja interpretacja – obawiali się, że liczba „za” nie będą tak imponujące, jak wcześniej.

Rosja, a do pewnego stopnia także Chiny, próbują nadużywać konfliktu w Gazie, wskazując na naruszenia międzynarodowego prawa humanitarnego. Nagle zabierają głos jako jego obrońcy, co jest rażącą hipokryzją.

Pomówmy o Zeitenwende, słynnym „punkcie zwrotnym”, o którym za

kanclerzem Scholzem powtarzają wszyscy znawcy Niemiec. Czy wieloletnie podejście „Wandel durch Handel”, zakładające, że Rosja się zmieni pragmatycznie, z dbałości o własny interes, było błędem? I jak Niemcy powinny określić swoją pozycję w zmieniającym się porządku międzynarodowym? W 2022 roku Europa po raz pierwszy importowała więcej samochodów z Chin, niż eksportowała, Chińczycy już za moment odbiorą wam laur lidera przemysłu motoryzacyjnego.

– Uważam, że dawna polityka Niemiec wobec Związku Radzieckiego była słuszną. Opierała się z jednej strony na byciu silnym członkiem NATO z 500 tysiącami żołnierzy w służbie czynnej i wydatkami na obronę sięgającymi 3-5 proc. PKB, a z drugiej na dążącej do pojednania Ostpolitik Willy’ego Brandta. Dobrej, bo opartej i na sile, i na handlu z reżimem obwarowanym różnymi warunkami, i na budowaniu relacji z ruchami demokratycznymi, ze społeczeństwem obywatelskim.

Kraj taki jak Niemcy, bez własnych zasobów naturalnych, jest uzależniony od handlu, eksportu i importu. To jest w naszym DNA. Ale już wiemy, że nie możemy być naiwni. Po 2014 roku, po aneksji Krymu i okupacji części Donbasu, kiedy usiedliśmy do porozumień mińskich, wydało nam się, że wróciliśmy na właściwe tory i możemy rozwiązać problemy z Rosją drogą dyplomacji. To był nasz wielki błąd.

Owszem, na szczycie w Walii w 2014 r. zgodziliśmy się wzmocnić nasze wspólne bezpieczeństwo poprzez realizowanie zasady 2 proc. PKB wydatków na obronę. Ale kiedy przyszło do wdrożenia tej decyzji – podjętej przez Merkel, Steinmeiera i von der Leyen, a więc ówczesną kanclerz, ministra spraw zagranicznych i ministram obrony – zabrakło woli politycznej, i w rządzie, i w parlamencie. Powinniśmy byli po-

deprzeć nasze starania dyplomatyczne realną siłą.

Mogę jednak szczerze powiedzieć, że naprawdę próbowaliśmy wszystkiego, by uspokoić Rosję w kwestii ekspansji NATO. Na szczycie w Bukareszcie w 2008 r. zawetowaliśmy rozszerzenie sojuszu o Ukrainę i Gruzję, ale Rosja nadal twierdziła, że NATO ją otacza. A to zwyczajnie nieprawda. Ostatnie rozszerzenie NATO na wschód miało miejsce w 2004 r. Putin sam je zaakceptował, twierdząc, że nie stanowi dla niego problemu. Naprawdę próbowaliśmy wszystkiego, ale Putin nie chciał porozumienia i wpędził nas w nową Zimną Wojnę. A więc możemy i powinniśmy rozmawiać z Rosją z pozycji siły również militarnej.

Nasi politycy już zdają sobie z tego sprawę, wyzwaniem pozostaje wdrażanie tych wniosków w życie. Dla społeczeństwa, które nigdy nie doświadczyło wojny, powrót do zimnowojennego sposobu myślenia nie jest łatwy. Dlatego musimy kontynuować publiczną dyskusję – która w zasadzie dopiero się zaczyna – o tym, że konieczne są większe wydatki na obronę.

Jako Monachijska Konferencja Bezpieczeństwa staramy się wykorzystać nasze możliwości i w tym pomóc. W ramach projektu „Zeitenwende on tour” organizujemy spotkania w całych Niemczech i działamy z lokalnymi mediami, opowiadając o wyzwaniach i potrzebach Zeitenwende.

A Chiny?

– Niemcy, ale też cała Europa i Ameryka, w dużym stopniu uzależniły się od tego ogromnego rynku eksportu i importu. Z pewnością nie możemy powtórzyć błędu, który popełniliśmy w przypadku Rosji i importu taniej energii. Nie możemy stać się nadmiernie zależni od Chin.

Choć całkowita niezależność od Chin nie ma sensu, musimy się zdywersyfikować. I to zaczyna się dziać w części naszej gospodarki – na przykład Federacja Niemieckiego Przemysłu zdała sobie z tego sprawę i wiele firm rozgląda się już za innymi rynkami.

Poza imperialistyczną Rosją i nadmierną zależnością od Chin Niemcy dostrzegają na horyzoncie jeszcze jakieś wyzwania dla siebie i całej Europy?

– Rosja jest naszym największym zagrożeniem. Jeśli Ukrainie nie uda się jej odeprzeć, Putin poczuje się ośmielony do dalszej ekspansji. Rosyjscy decydenci bardzo jasno mówią o przywróceniu imperium.

Lecz stawiając opór Rosji, musimy zadbać nie tylko o „hardware” – przemysł, broń, armię – ale i „software”. Jego częścią jest spójność sojuszu. Musimy dopilnować, by pan Orbán nie wylał się z sojuszu. Podobnie jak pan Fico, który lubi kopiować politykę pana Orbána.

Kolejnym wyzwaniem jest oczywiście dezinformacja i sztuczna inteligencja. To wszystko jest powiązane. I znów, zewnętrznym obserwatorem może się wydawać, że za deklaracjami nie idą czyny, ale właśnie na tegorocznej Konferencji nasze wiodące firmy technologiczne zobowiązały się zrobić wszystko, aby sztuczna inteligencja nie miała wpływu na nadchodzące wybory.

No i katastrofa klimatyczna. Nie wiem, czy w ostatnich dniach był pan w Berlinie...

W weekend w Warszawie mieliśmy 30 stopni Celsjusza.

– Więc było jeszcze cieplej niż tutaj. Również w tej kwestii Putin popełnia zbrodnie przeciwko ludzkości. Zmusza kraje takie jak Polska do wydawania blisko 4 proc. PKB na obronę. W Niemczech co roku będziemy musieli wykładać dodatkowe 25-30 miliardów euro na obronę. Te pieniądze można by znacznie lepiej wykorzystać na kwestie związane z klimatem.

Nie wspominając już o tym, że ten człowiek popełnia zbrodnie przeciwko własnemu narodowi. Wydaje tyle pieniędzy na wojnę i resorty siłowe, że rosyjska infrastruktura się rozpada.

Nasze wiodące firmy technologiczne zobowiązały się zrobić wszystko, aby sztuczna inteligencja nie miała wpływu na nadchodzące wybory

Sikorski ostrzegał nas przed Putinem już dawno temu. Nie słuchając go wtedy, popełniliśmy błąd.

To wszystko brzmi jak najpiękniejsza melodia w uszach Środkowoeuropejczyka. Ale czy się wam uda, zważywszy, jak dobrze wypadła AfD w eurowyborach i jakie ma notowania w sondażach.

– Wierzę, że jest pewna granica poparcia, której nie pokonają. Mam ogromne zaufanie do naszej demokracji, do naszego systemu edukacji. Ludzie słyszeli o Holokauście, zdają sobie sprawę z dobrodziejstw, jakie niesie ustrój liberalny. Myślę, że wynik AfD to bardziej głos protestu, sygnał dla rządzących: jesteście sfrustrowani, nie wszystko idzie tak, jak powinno. Przecież z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia i w innych krajach europejskich.

Receptą na wyzwanie, jakim są sukcesy skrajnej prawicy, jest stabilny, skuteczny, poważny rząd. Jeśli wyborcy widzą, że ich problemy nie są rozwiązywane, obietnice nie są dotrzymywane, a politycy nawet w ramach koalicji rządowej stale się kłócą, wówczas zwracają się ku partiom skrajnym, które obiecują im łatwe rozwiązania. Nie dlatego, że są głupi, tylko skoro system i tak nie działa, to co szkodzi spróbować? ●



FOT. MSC/KUHLMANN / CC BY 3.0 DE

Christoph Heusgen

• przewodniczący Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa – powołanego w latach 60. przez Ewalda-Heinricha von Kleista, członka antyhitlerowskiego ruchu oporu w III Rzeszy i uczestnika nieudanego zamachu na Hitlera, największego na świecie forum dyskusyjnego spotkania szefów państw, liderów opinii publicznej, najbardziej wpływowych wojskowych, intelektualistów, naukowców i kapitałów przemysłu (w tym roku wśród gości byli im. sekretarz generalny ONZ António Guterres, wiceprezydentka USA Kamala Harris i prezydent Wołodymyr Zełenski). W latach 2017-21 ambasadorem Niemiec przy ONZ, od 2005 r. do końca jej kadencji doradca kanclerz Angeli Merkel ds. polityki zagranicznej i bezpieczeństwa.



• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEJĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Sondaż europejski przed szczytem NATO

UKRAIŃCY WIERZĄ W ZWYCIĘSTWO

Chcemy zwycięstwa Ukrainy w wojnie z Rosją. Tylko jakiego?

Tu opinie mieszkańców najechanego przez Putina kraju i ich sojuszników wyraźnie się różnią.



• Prezydent Wołodymyr Zełenski i premier Danii Mette Frederiksen w myśliwcu F-16 w bazie lotniczej w Vojens. To jedna z maszyn, które zostaną przekazane Ukrainie. FOT. MADIS CLAUS RASMUSSEN / REUTERS

Dominik Uhlig

Wyniki najnowszego badania Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych „Poglądy Ukraińców i Europejczyków na rosyjską wojnę w Ukrainie”, przeprowadzonego w 15 europejskich krajach wskazują na niezmiennie poparcie dla zapewnienia Ukrainie broni i amunicji, ale ukazują podziały w sprawie tego, jak zakończy się wojna i jaki jest cel europejskiej pomocy dla Kijowa.

Publikowane są tuż przed szczytem NATO. Od 9 do 11 lipca w Waszyngtonie spotkają się delegacje 32 krajów. Podczas spotkania można spodziewać się dalszych kluczowych ustaleń w sprawie Ukrainy, europejskiej obronności i odstraszenia Rosji.

Autorzy badania wskazują na międzynarodowy kontekst i kluczowe wydarzenia ostatnich miesięcy: opóźnienie kluczowego amerykańskiego pakietu wsparcia dla Ukrainy na początku tego roku; wzrost populistycznych partii skrajnej prawicy w Europie; nasilenie rosyjskich ataków wojskowych na krytyczną infrastrukturę na Ukrainie.

Jednym z najważniejszych wyzwań dla zachodnich przywódców będzie pogodzenie sprzecznych stanowisk Europejczyków i Ukraińców w kwestii zakończenia wojny. Jedni i drudzy uznają potrzebę kontynuowania dostaw wojskowych, aby pomóc Ukrainie odeprzeć rosyjską agresję. Istnieje jednak głęboka niezgoda co do tego, co właściwie stanowi zwycięstwo Kijowa – podsumowuje Mark Leonard, dyrektor ECFR i współautor badania.

Autorzy oceniają, że rosnące podziały opinii między europejską i ukraińską opinią publiczną mogą sprawić, że osiągnięcie konsensusu w sprawie tego, jak wojna powinna się zakończyć, będzie niezwykle

trudne – i będzie miało poważny wpływ na proces przystąpienia Kijowa do NATO i UE.

Co myślą Ukraińcy?

Większość Ukraińców jest przekonana o możliwości zapewnienia sobie zwycięstwa na polu bitwy. Nie są gotowi do zaakceptowania terytorialnych kompromisów w zamian za przystąpienie do NATO. Nie są też skłonni zaangażować się w ideę „finlandyzacji”, w której wprawdzie zachowaliby swoje terytorium, ale zrezygnowaliby z członkostwa w UE i zwłaszcza w NATO.

Utrzymuje się wysokie poparcie Sił Zbrojnych Ukrainy i prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Zaufanie do armii jest na bardzo wysokim poziomie: 79 proc. ma „duże”, a 17 proc. „dość duże”. Prawie dwie trzecie stwierdziło, że popiera działania Zełenskiego i jego administracji.

Tylko 1 proc. mieszkańców Ukrainy uważa, że Rosja wygra wojnę, podczas gdy 58 proc. jest zdania, że to Ukraina odniesie zwycięstwo na polu bitwy. Mniej niż jedna trzecia uważa za najpewniejszy scenariusz negocjacje pokojowe. Biorąc pod uwagę zwiększenie dostaw broni, samolotów i amunicji od sojuszników, liczba osób, które uważają ukraińskie zwycięstwo militarne za najbardziej prawdopodobny wynik, wzrasta do niemal 70 proc.

Europejczycy wydają się bardziej sceptyczni co do zdolności Kijowa do pokonania Rosji na polu bitwy. Znaczna liczba jest zdania, że wojna rosyjsko-ukraińska zakończy się negocjacjami. Dotyczy to nawet państw takich państw jak Wielka Brytania, Polska i Szwecja, które są najsilniejszymi zwolennikami Ukrainy. W Polsce taki pogląd popiera 34 proc. badanych. Najbardziej skłonni do przyjęcia takiego rozwiązania są respondenci w Grecji (49 proc.), Włoszech (48), Bułgarii (46) i Hiszpanii (45). Spośród badanych krajów tylko w Estonii przeważał pogląd, że to Ukraina wygra wojnę.

W Polsce 8 proc. badanych jest zdania, że wojna na Ukrainie zakończy się „w ciągu najbliższego roku”, ponad połowa, uważa, że zakończy się ona

„w ciągu 1 do 5 lat”. Zdaniem 14 proc. Polaków „Rosja wygra wojnę”, podczas gdy co piąty uważa, że Ukraina może odnieść sukces na polu bitwy.

Broń – tak, natowscy żołnierze – nie

W całej Europie panuje silne poparcie dla zwiększenia dostaw broni i amunicji dla Ukrainy od jej sojuszników. Takie stanowisko jest szczególnie widoczne wśród ankietowanych w Estonii (gdzie 74 proc. uważa to za „dobry pomysł”), Szwecji i Polsce (po 66), Wielkiej Brytanii (59), Holandii (58) i Portugalii (57).

Spośród piętnastu badanych krajów tyłko większość w Bułgarii, Grecji i Włoszech – odpowiednio 63, 54 i 53 proc. – uważa, że zwiększenie dostaw wojskowych na Ukrainę jest „złym pomysłem”.

Europejczycy są jednak wyraźnie przeciwni wysłaniu wojsk na Ukrainę. W każdym badanym kraju większość respondentów – od 54 proc. w Szwecji do 90 proc. w Bułgarii – sprzeciwia się zaangażowaniu ich armii w taki sposób. Także w Polsce przeważająca część obywateli (prawie 70 proc.) sprzeciwiała się wysłaniu wojsk do walki na Ukrainie. Europejczycy są na ogół bardziej skłonni popierać zaangażowanie wojsk krajowych w wojnę na inne sposoby – np. poprzez zapewnienie pomocy technicznej ukraińskim siłom zbrojnym lub patrolowanie granicy ukraińsko-białoruskiej.

Co ciekawe, większość Europejczyków nie jest gotowa na zwiększenie wydatków na obronność w swoich krajach. Tylko w Polsce (53 proc.), Estonii (45), Szwecji (41) i Niemczech (40) znaczna część społeczeństwa popiera zwiększone wydatki, „nawet jeśli oznacza to konieczność cięcia pieniędzy w innych obszarach, takie jak zdrowie, edukacja i zapobieganie przestępczości”. W większości pozostałych krajów przeważa pogląd (we Włoszech, Grecji, Hiszpanii i Szwajcarii jest to pogląd większościowy), że pomimo wojny ich kraj nie powinien wydawać więcej na obronność. Postawy wobec wojny w Europie dzielą się na trzy kategorie.

Respondenci w Estonii (68 proc.), Szwecji (54), Polsce (50), Wielkiej Brytanii (46) i Portugalii (42)

najczęściej twierdzą, że „Europa powinna wspierać Ukrainę w walce o odzyskanie terytoriów okupowanych przez Rosję”. To „obóz sprawiedliwości”.

Osoby, które uważają, że „Europa powinna naciskać na Ukrainę w celu wynegocjowania porozumienia pokojowego z Rosją” przeważają w Bułgarii (61 proc.), Grecji (59) i we Włoszech (57). To „obóz pokoju”.

I jest jeszcze obóz krajów „wahających się”, do którego w Europie należą Francja (30 proc. Francuzów chce walki z Rosją do skutku, a 36 proc. oczekuje negocjacji), Hiszpania (32 do 31), Holandia (36 do 31), Niemcy (31 do 41), Szwajcaria (29 do 42) i Czechy (34 do 46).

Ukraińcy wciąż nam ufają

Wytrwałość i przekonanie Ukraińców co do zwycięstwa są również widoczne w poziomie zaufania Ukraińców do sojuszników. 72 proc. uważa, że UE jest wiarygodnym sojusznikiem. To zaufanie sięga 84 proc. w przypadku Wielkiej Brytanii, a nadal aż 78 proc. w przypadku USA. Również Niemcy i Francję, których wsparcie było nie tak pewne w pierwszych miesiącach wojny, odpowiednio 76 i 73 proc. Ukraińców postrzega je jako wiarygodnych sojuszników. Polskę jako wiarygodnego sojusznika wskazuje 60 proc.

Siła militarna Rosji jest traktowana jako główna bariera dla ukraińskiego sukcesu zarówno przez Ukraińców, jak i obywateli większości krajów europejskich. Przekonanie, że stanowi „dużą” lub „umiarkowaną” przeszkodę w odzyskaniu przez Ukrainę jej całego terytorium jest najbardziej widoczne na Ukrainie (ponad 80 proc.), w Grecji i Estonii (79), Bułgarii (76), Czechach (74), Polsce (73), Wielkiej Brytanii (72) i Hiszpanii (71).

Szwecja stanowi pod tym względem wyjątek – tylko 56 proc. ankietowanych uważa, że siła militarna Rosji stanowi główną przeszkodę w odzyskaniu przez Ukrainę jej terytorium.

Kto chce Ukrainy w UE?

Europejczycy są dodatkowo podzieleni w kwestii przyjęcia Ukrainy do UE. Badanie potwierdza wysokie poparcie dla członkostwa tego kraju w UE w Portugalii (59 proc. uważa członkostwo za „dobry pomysł”, a 20 za „zły”), Estonii (58 do 27), Szwecji (53 do 28), Hiszpanii (51 do 24) i Polsce (48 do 31).

Największy sceptycyzm wykazują respondenci w Niemczech (gdzie 54 proc. jest przeciwko, a 31 za), Bułgarii (odpowiednio 50 i 26), Czechach (48 i 36) i Francji (40 i 36).

Spośród samych Ukraińców prawie dwie trzecie jest zdania, że członkostwo w UE jest równie ważne dla przyszłości ich kraju, jak członkostwo w NATO. – Społeczne poparcie dla dalszego dostarczania amunicji na Ukrainę w Europie się utrzymuje, ale większość Europejczyków sprzeciwia się wysłaniu na Ukrainę zachodnich wojsk. Nadal panuje powszechne przekonanie, że wysyłając broń i pomoc finansową, wzmocnimy pozycję Ukrainy i zapewnimy jej najlepszą możliwą pozycję do negocjacyjnego zakończenia tej wojny – podsumowuje Ivan Krastev, współautor badania, szef Centrum Strategii Liberalnych w Sofii.

Co w kwestii Ukrainy zmieniają wybory we Francji

Celia Belin i Paweł Zerka, analitycy z ECFR, zwracają uwagę, że obecnie główne pytanie o wsparcie Zachodu dla Ukrainy dotyczy Francji, w której odbywają się wybory przyspieszone parlamentarne. Jeśli dojdzie do kohabitacji pomiędzy prezydentem Emanuelem Macronem a rządem skrajnie prawicowego Zjednoczenia Narodowego, istnieje duże ryzyko, że Ukraina na tym straci. Nie z powodu we Francji braku narodowego konsensusu w sprawie poparcia dla Ukrainy, ale dlatego, że istnieją rozbieżności co do tego, co robić dalej w związku z wojną. Francuski spór wewnętrzny w sprawie polityki ukraińskiej byłby wyjątkowo szkodliwy dla unijnej jedności, a w ostatecznym rozrachunku dla europejskiego bezpieczeństwa.

Przez ostatnie dwa lata obywatele Francji w zasadzie zaakceptowali proukraińską wolę Macrona, po jego nieudanych wysiłkach na rzecz ułożenia stosunków między Ukrainą a Rosją w lutym i marcu 2022. Poparcie dla Ukrainy i wysyłania jej broni stało się tak powszechne, że wszystkie trzy główne siły we Francji są zgodne. Zarówno lewicowy Nowy Front Ludowy, jaki i Jordan Bardella ze Zjednoczenia Narodowego oświadczyli, że Francja musi nadal zapewniać Ukrainie „środki do obrony”.

Ale Francuzi są podzieleni co do sposobu zakończenia tej wojny. Macron w lutym zasugerował, że NATO być może będzie musiało wysłać na Ukrainę wojska lądowe. Równocześnie odsetek Francuzów, którzy uważają, że ich kraj jest w stanie wojny z Rosją, wzrósł z 24 do 32 proc. w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy, co czyni Francję jednym z krajów, w których ta-

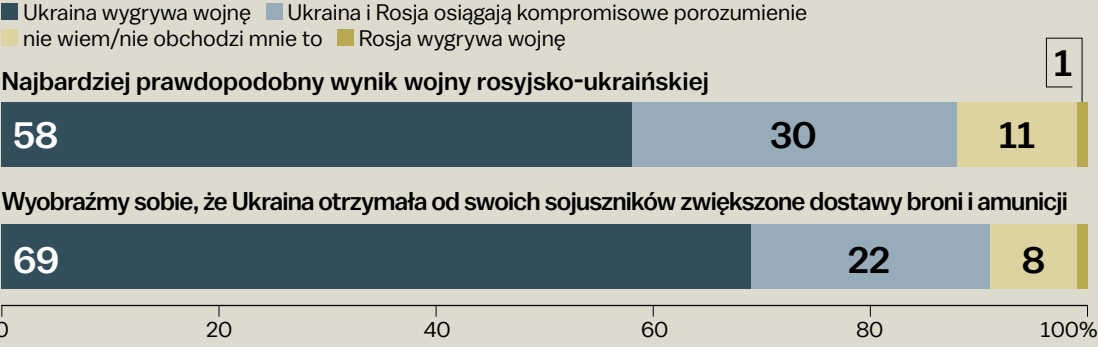
O badaniu:

Raport opiera się na badaniu opinii publicznej przeprowadzonym w maju w 15 krajach. Całkowita liczba respondentów to 19 566 osób. Badanie zostało przeprowadzone online przez Datapraxis i YouGov, a w Ukrainie przez Datapraxis i Rating Group (7-12 maja, 1500 osób) poprzez wywiady telefoniczne (CATI) z respondentami wybranymi przy użyciu losowo wygenerowanych numerów telefonów. Następnie dane zostały poddane pomiarowi pod kątem danych demograficznych. Trudno jest w pełni uwzględnić zmiany w populacji spowodowane wojną, ale dokonano korekt w celu uwzględnienia terytorium pod okupacją rosyjską.

Infografika
Paweł Lubowicz

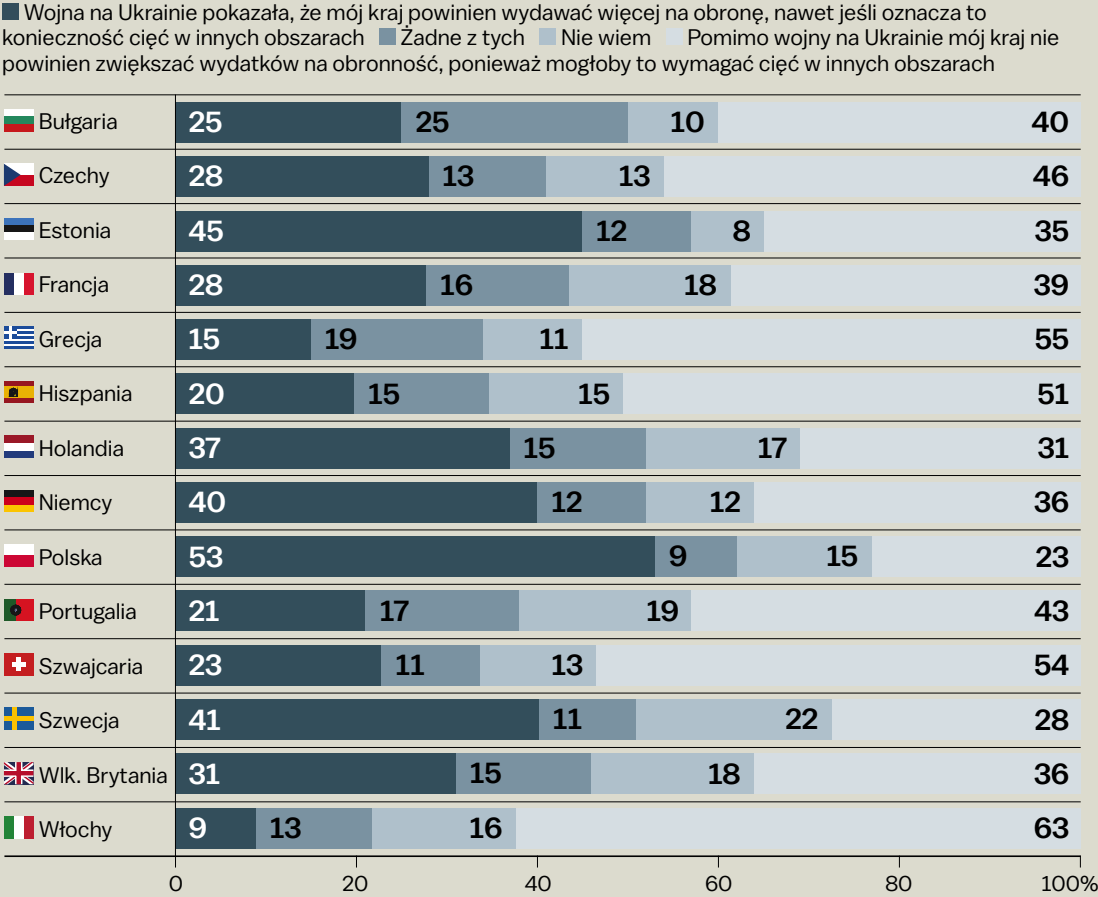
Poglądy Ukraińców na temat aktualnego prawdopodobnego wyniku wojny, jeśli Ukraina otrzyma zwiększoną ilość broni

DANE W PROC.



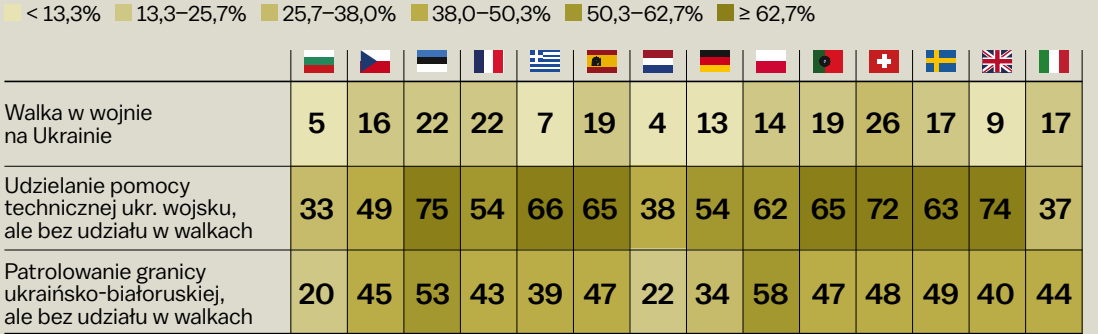
Poparcie dla zwiększonych wydatków na obronę w związku z wojną na Ukrainie

DANE W PROC.



Jaką aktywność twojego krajowego wojska dopuszczałbyś w Ukrainie?

DANE W PROC.



ŹRÓDŁO: RAPORT „ZNACZENIE SUWERENNOŚCI: UKRAIŃSKIE I EUROPEJSKIE SPOJRZENIE NA WOJNĘ ROSJI Z UKRAINĄ”
AUTORSTWA IVANA KRASTEVA I MARKA LEONARDA
© GAZETA WYBORCZA

kie przekonanie jest najbardziej rozpowszechnione. I obecnie 54 proc. obywateli Francji wyraża gotowość do wysłania wojsk w celu zapewnienia technicznej, niebojowej pomocy ukraińskim siłom zbrojnym.

Jeśli jednak Zjednoczenie Narodowe dojdzie do władzy 7 lipca, samodzielnie lub w koalicji, może ono ulec pokusie, aby krok po kroku przedstawiać francuskie wsparcie dla Ukrainy jako „wojnę Macrona”.

Jeżeli zaś żadna partia nie będzie w stanie utworzyć rządu większościowego przed wyborami prezydenckimi w 2027 r.? „Dla kandydatów prezentowanie odpowiedzialnego wizerunku podczas kampanii to jedno. Zupełnie inaczej wygląda kwestia oparcia się pokusie odwrócenia uwagi i zagrania kartami polityki zagranicznej w przypadku, gdy Francja wejdzie w okres przedłużającej się niestabilności politycznej. To byłby bardzo poważny błąd” – zauważają Belin i Zerka. „Ukraina nie potrzebuje skłóconych sojuszników; już ucierpiała z powodu opóźnień w ich działaniach”.

Jeszcze silniejszym testem dla europejskiego poparcia dla Ukrainy staną się wkrótce wybory w USA. Z rządem Bardelli w Paryżu i zwycięstwem Trumpa w Ameryce, z pewnością dojdzie do zmiany podejścia Francji do Ukrainy i Rosji. Być może Francja nie będzie osamotniona, gdy zdecyduje się naciskać na podjęcie negocjacji pokojowych – biorąc pod uwagę klimat polityczny we Włoszech, Grecji, Austrii czy na Węgrzech oraz sceptycyzm tamtejszej opinii publicznej co do zakresu wsparcia dla Ukrainy.

Ale Francja robi różnicę. To państwo, którego jednoznaczne wsparcie dla Ukrainy zainspirowało jedność i motywując inne kraje europejskie. Jeśli Paryż nie będzie już w stanie zapewnić tego przywództwa, niektóre stolicy powinny spróbować wypełnić pustkę – ale istnieje ryzyko, że osiągną zbyt mało i zbyt późno. Wiadomo, kto będzie w takiej sytuacji otwierał szampana – konkludują analitycy ECFR. ●



Nowa książka Andrzeja Friszkego

A MOŻE TAK WŁĄCZYĆ POLSKĘ DO ZSRR



• Radziecki plakat propagandowy z lat 20. XX wieku z hasłem „Niech żyje Trzecia Międzynarodówka komunistyczna!” FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Polski komunista.
Jak go zrozumieć?

Jan Kofman*

Prof. Andrzej Friszke wydał kolejną obszerną książkę, „Czekanie na rewolucję. Komunisci w II RP 1921-1926”. Obok obszernego wstępu i podsumowania jest w niej merytoryczne szersze wprowadzenie „Rzeczpospolita – państwo, naród, społeczeństwo”, a kolejne części to: „Budowanie Partii”, „W przededniu rewolucji – rok 1923”, „Tylko Moskwa ma rację”, „Ultraradykalizm w czasie stabilizacji 1924-1925”, „Przewrót majowy” i dodatek „Kto jest marksistą”.

Już same tytuły pozwalają uchwycić myśl przewodnią – „zrozumienie zjawiska, jakim był polski komunizm”. Ponieważ polem zainteresowania Friszke-

go jest ideologia i do pewnego stopnia praktyka polityczna Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (KPRP) / Komunistycznej Partii Polski (KPP), to źródłami rozprawy są dokumenty władz naczelnych partii oraz publicystyka, zwłaszcza pisma uznanych ówczesnie za wybitnych intelektualnie jej przywódców określanych jako 3W. Byli to Adolf Warski (Warszawski), Wera Kostrzewa (Maria Koszutska) i Henryk Horwitz-Walecki (Maksymilian Horwitz).

A do tego inni niewątpliwie ważni jej działacze: Henryk Lauer („Ernest Brand”), Władysław Kowalski („Grzech”), Jerzy Ryng (Jerzy Heryng), Jan Hempel, Julian Leszczyński („Leński”) czy swego czasu najwybitniejszy intelektualista partyjny Julian Brun („Bronowicz”). Poza Brunem wszyscy tu wymienieni zostali zgładzeni podczas Wielkiej Czystki.

Wykład skupia się na antynomii ideologii i praktyki politycznej dwóch odłamów ruchu robotniczego, odwołujących się do socjalizmu i marksizmu. Od lat 90. XIX wieku byli nimi naj-

pierw PPS i SDKPiL, a od odzyskania niepodległości – zjednoczeni socjaliści (PPS) i komuniści (KPRP).

Ów marksizm był zresztą przez obie partie różnie rozumiany, nie tylko w odniesieniu do ówczesnych problemów politycznych, ustrojowych, gospodarczych i społecznych, ale – jak to określa Friszke – wobec ich ówczesnego rozumienia istoty i celów postępu. Gdy dla jednych (PPS) państwo polskie było wartością najwyższą, dla drugich (KPRP) ważniejsze od tego, że się odrodziło, było to, że jest ono obszarowo zbyt... duże. Dlatego też komuniści opowiadali się za jego zmniejszeniem, a jeszcze lepiej – włączeniem Polski do państwa radzieckiego jako kolejnej republiki na prawach, jak głosili, autonomicznych.

O ile pierwsi bronili ewolucyjnej drogi do socjalizmu, to drudzy stawiali na rewolucyjną, a nawet zbrojny przewrót komunistyczny. A przecież ledwie kilka lat wcześniej zakończyła się wojna polsko-bolszewicka, w której klęska Polski oznaczałaby najpewniej koniec niepodległego państwa, co zresztą nie martwiłoby komunistów.

Proponowane przez Friszkego rozwiązanie konstrukcyjne książki jest logiczne, ułatwia bowiem uchwycenie punktów istotnych sporu między komunistami i socjalistami, umiejscowienie obu ruchów na scenie ogólnopolskiej i przedstawienie ich stosunku do kilku podstawowych zagadnień – niepodległości Polski, ustroju państwa, kwestii narodowościowej i mniejszości narodowych, sprawy robotniczej, miejsca Rosji bolszewickiej w Europie, wreszcie – do zasadniczego problemu wolności obywatela i jego powinności wobec ojczyzny.

Po odzyskaniu niepodległości fundamentalne stały się także kwestie socjalne, walka z wyzyskiem kapitalistycznym, a politycznie walka z silną prawicą i jej główną reprezentantką – narodową demokracją. Zrozumiałe jest więc, że w latach 1925-26 PPS popierała Józefa Piłsudskiego, w tym i przewrót majowy, licząc że Marszałek będzie chciał zachować demokrację. Dla PPS, zwolenniczki demokracji parlamentarnej, celem zatem był socjalizm w wersji, którą określiłbym jako bliższą dzisiejszemu socjalizmowi demokratycznemu.

Niewątpliwie istotny okazał się stosunek obu partii do ZSRR z jego coraz bardziej oczywistą totalitarną strukturą panowania, której następstwem była nie tylko fizyczna likwidacja jawnych przeciwników, ale unicestwienie wielu z tych, których przywódcy radzieccy uznali za wrogów.

Friszke zwraca specjalną uwagę na radziecki imperializm, który – dodam – szybko powrócił w koleiny rosyjskiego imperialnego panowania, tyle że przykrywanego hasłem rewolucji światowej. Pokazuje też, jak Międzynarodówka Komunistyczna (Komintern) stała się narzędziem ekspansji ideologii komunizmu, również w jej polskiej sekcji.

Charakteryzując konflikty ideowe w KPRP/KPP, Friszke pisze, że zmieniało się w pewnym stopniu, może bardziej taktycznie, stanowisko zarówno grupy 3W, jak i jej krytyków, skądinąd jeszcze dalej z lewa, czyli wręcz ultraradykalnych fanatyków rewolucji w stylu bolszewickim. Dodam, że traktowanych różnie przez partię radziecką, której polscy komunistyczni „ultras” też nie byli przez czas pewien pieszczochami, jak nie było nimi kierownictwo partii.

Friszke szeroko omawia formy aktywności KPRP, przeważnie nielegalnej lub pod przykryciem, prowadzonej wedle jej członków w obronie klasy robotniczej, choć niewątpliwie kierowanej także przeciw państwu polskiemu, które jako mu wrogą oczywiście partię zwalczało. Autor pokazał jej częste niepowodzenia i rzadkie sukcesy, w sumie – zawiłą drogę w okresie, który był ważny w dziejach KPP ze względu i na to, że w KPRP, mimo wyraźnych w jej ideologii i praktyce politycznej wątków dogmatycznych, występowały też poglądy, które można by określić jako względnie umiarkowane – oczywiście wedle jakiejś wyobrażonej sobie skali postaw komunistycznych.

Pisze Friszke: wybór „państwo czy rewolucja? – komuniści rozstrzygnęli na rzecz rewolucji, a więc wielkiej klasowej zmiany” – „obalenia struktur politycznych świata »burżuazyjnego«”.

Szli oni bowiem jak za panią matką za Rosyjską Komunistyczną Partią (bolszewików) i Kominternem, uznawanymi przez komunistów za „sztab rewolucji światowej”. Prawie dokładnie takie, jak zalecał Komintern, były poglądy przywódców KPRP i (formalnie od grudnia 1925 r.) KPP na zasadnicze kwestie ideologiczne, choćby na problem mniejszości narodowych, Ukraińców, Żydów czy Niemców.

W wielonarodowej Polsce międzywojnia tak czy inaczej miało to skutki – mimo rytualnych zaklęć o internacjonalistycznym braterstwie komunistów i formalnej od 1923 i 1925 r. dużej autonomii organizacyjnej w ramach KPRP jej oddnóg narodowościowych, dochodziło do napięć etnicznych między komunistami polskimi a tymi z mniejszości narodowych.

KPRP liczyła góra 4-5 tys. członków. Jej władze decyzyjne różnych szczebli obejmowały 150-200 osób, w tym kierownictwa stowarzyszeń i organizacji komunistycznych i kryptokomunistycznych, przywództwa stosunkowo niewielkiej części klasowych związków zawodowych czy „funków” (funkcjonariuszy) okręgowych i redakcje pism partyjnych. W większości byli oni tzw. nielegalami – zawodowymi, kiepsko wynagradzanymi funkcjonariuszami. Wymiana ludzi na szczeblu władz okręgów była częsta, a nieuchronny pobyt w więzieniu towarzyszył im jak cień.

Kontekst genezy partii był również przyczyną podskórnych starć wewnętrznych, m.in. o drogę do rewolucji – o tyle przecież wcześniej rozstrzygnię-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Urszula Koziół*

Fragmenty „W rytmie słońca 68”

Tej wiosny nie chodzimy na spacer
odwiedzamy w szpitalu chorych na sytuację
albo odprowadzamy na spoczynek rówieśników
którzy już dłużej nie mogli wytrzymać
– czy ten świat wart by go brać nadto do serca –
dostajemy od nieznajomych paczki z Niemiec
próżno moja pamięci robisz okrągłe oczy
kwestia niemiecka w coraz to innej formie
punktualnie wyskakuje u nas jak kukułka z zegara
i rwie twej opowieści raz oswojony wątek
inny dyktując jej koniec niż to zamierzał początek
pik-pik koło historii z drwiącym piskiem
na przestrzał serca zazwyczaj się toczy
przeto wolniej serduszko wolniej migać się staraj –
dostajemy więc paczki rozdajemy paczki
rozpakowujemy je zapakowujemy je
zrywamy nici wiążemy nici
wywiązujemy się zobowiązujemy się
zasupłujemy się w podawany z rąk do rąk węzeł
który grubieje z miesiąca na miesiąc
ów woli go rozplątać a tamten znów przeciąć
trzeba by się porozumieć ale jak
nie mam ruchu nie masz ruchu znowu stanął dzień
w bezruchu
tracę czas tracisz czas tracę czas

*Urszula Koziół - ur. w 1931 r., poetka, pisarka, autorka felietonów, wieloletnia redaktorka magazynu literackiego „Odra”. Wiersz za: Urszula Koziół, „Raptularz”, PIW, Warszawa 2023. Tom został nominowany do tegorocznej Nagrody Literackiej „Nike”.



FOT. KORNELIA GŁOWACKA-WOLF / AGENCJA WYBORCZA.PL

tych, że decydujące tu było i tak „Powstanie Kominternu i jego 21 warunków”. Komintern bowiem stał się „ośrodkiem ideologicznej i strategicznej dyspozycji”, przesuniętej „z partii krajowych do centrum ruchu komunistycznego, czyli do Moskwy”.

Sprzyjało to utrwaleniu tendencji anachronicznej i z ducha dogmatyczno-rewolucyjnej. KPRP chciała „rozsadzić” ustrój parlamentarny państwa, w którym „demokracja burżuazyjna jest jednym potwornym kłamstwem” – jak zechciał to nazwać (w lutym 1921 r.) Henryk Horwitz-Walecki, skądinąd guru formującej się KPRP. Choć, jak zauważa Friszke, wcześniej ani np. Róża Luksemburg, ani PPS-Lewica tak skrajnie nie odrzucały parlamentaryzmu.

Stanowisko Waleckiego wskazuje jednoznacznie, że nie byłby to bynajmniej skręt rozwoju myśli komunistycznej w stronę racjonalną, lecz jej degradacja i alokacja w głębsze jeszcze rejony dogmatyzmu i wąskiego utylitaryzmu.

Andrzej Friszke zwraca uwagę na trudności z przyciągnięciem do ruchu nowych uczestników czy choćby nieformalnych zwolenników. Partię odrzucała zdecydowana większość ludności. Reakcją na to były silne w niej tendencje „sekcjarskie”. Komuniści, nieufni wobec przaśnej rzeczywistości, sami spotykali się z szeroką nieufnością robotników, którzy zgodnie z doktryną mieli ich popierać. Zdecydowanie również przegrywali z legalną, przeciwną im PPS.

A byli jeszcze inni konkurenci, jak Narodowa Partia Robotnicza czy relatywnie silne związki zawodowe – pepeesowskie i chrześcijańskie, ale i żydowskie.

Komuniści, nieufni wobec rzeczywistości, sami spotykali się z szeroką nieufnością ze strony robotników, którzy zgodnie z doktryną mieli ich popierać. Zdecydowanie przegrywali z PPS

W odbiorze społecznym utrwalalo się też przekonanie, zresztą słuszne, że KPRP jest podporządkowana (także finansowo) Moskwie, partii bolszewickiej i Kominternowi. Tyle że komuniści nie uważali tego za obciążenie, przeciwnie – wierzyli w sprawczy mechanizm konieczności historycznej, co przekładało się na stale wyczekiwanie jakoby nieuchronnej rewolucji w Polsce.

Skuteczność agitacji KPRP była także mała wśród mniejszości narodowych. Istotnym tego powodem był uznawany za zdradę udział komunistów po stronie bolszewików w wojnie 1920 r.

Patrząc z innej jeszcze strony, była to przecież również droga Cezarego Baryki. Kraj był pełen biedy, niekiedy wręcz nędzy, wielkich różnic majątkowych, klasowych i grupowych, ale i narodowościowych – ponad jedną trzecią ogółu mieszkańców stanowiły mniejszości narodowe. Taka konfiguracja narodowościowa i społeczna (w tym wielka liczebna przewaga ludności wiejskiej nad miejską) była dzie-

dzictwem odległej, ale też całkiem niedawnej przeszłości – choćby dramatycznych skutków Wielkiej Wojny i tuż po niej wojny polsko-bolszewickiej.

Charakterystyczna była struktura narodowościowa partii – z dużym udziałem osób spośród mniejszości narodowych, zwłaszcza Żydów. Z tym jednak że, zauważa Friszke, wśród wszystkich wyborców żydowskich za komunistami opowiadał się nie wielki ich procent.

W tym kontekście ważne są uwagi o charakterze socjologicznym i kulturowym, dotyczące tej części żydowskiej młodzieży, która asymilowała się do polskości poprzez komunistyczne organizacje. Był to proces skomplikowany. Już w Królestwie Polskim wynikał on nierzadko z fascynacji zlaicyzowanych Żydów najpierw kulturą rosyjską, a w pokoleniu kolejnym... radziecką, ale też i polską. Co było pierwsze, trudno rozstrzygać. Zarazem jednak sprzyjało to atakowaniu (do dziś zresztą) KPRP i KPP za nihilizm państwowy i narodowy.

Znaczenie kwestii narodowościowej w partii unaoczniał fakt wymuszenia przez jej ukraińskich członków „internacjonalistycznej” z ducha uchwały o przyłączeniu Galicji Wschodniej do radzieckiej Ukrainy. Z kolei partia, pewnie w całości, podzielała przywołany przez Friszkego „równościowy” narodowościowo-klasowy pogląd Henryka Lauera (z połowy 1923 r.), że „Polska jest jednym wielkim więzieniem dla Ukraińców, Białorusinów, Żydów, Niemców i dla polskich robotników i biednych chłopów...”.

Zrozumiałe jest wyodrębnienie w osobny rozdział wydarzeń roku 1923. Rok ten, „z wielką inflacją niemiecką” (dodałbym, że także z polską hiperinflacją), był burzliwy i wydawało się, że korzystny dla komunistów. Jednak rola ruchu komunistycznego i kryptokomunistycznego (Niezależna Partia Chłopska) w tych wydarzeniach była prawie żadna w porównaniu z działalnością endeków, ludowców, socjalistów czy partii i stronnictw mniejszości narodowych.

Analiza dokumentów i poglądów polskich komunistów wskazuje, że również na II Zjeździe KPRP (1923) panował w partii schematyzm myślenia. Dodam, że podobnie było w lipcu 1924 r. na posiedzeniu specjalnie powołanej Komisji Polskiej Kominternu, kiedy to potępiono grupę 3W za reformizm i ugodowość.

Gdy PPS potrafiła po wypadkach krakowskich z listopada 1923 r. [walki między robotnikami oraz policją i wojskiem podczas ogłoszonego przez PPS strajku powszechnego; zginęły 32 osoby] jednoznacznie pokazać, że odgrywa w kraju istotną rolę, o tyle komuniści nie zaistnieli. PPS zapowiadała wtedy, że do kolejnych rządów Chjeno-Piasta nie dopuści. I w jakimś stopniu tak było, tyle że trzeba przypomnieć, że ważnym graczem był tu jednak także „samotnik z Sulejówka”.

Friszke zauważa, że na V Kongresie Kominternu (czerwiec-lipiec 1924) doszło do starcia Marii Koszutskiej ze Stalinem, z którym podjęła ona „zasadniczą polemikę”. Padły w niej jej głośnie wśród komunistów słowa, że III Międzynarodówka „może nam pogruchotać kości”, ale „niebezpieczni dla was są tacy ludzie”, którzy „w ogóle kości nie mają” (chodziło tu m.in. o Grigorija Zinowjewa). Naturalnie nie zapobiegło to czasowemu odsunięciu kierownictwa (jako „oportunistycznego”) i powołaniu nowego, którym faktycznie kierować miał już Julian Leński.

Na III Zjeździe KPRP pod Moskwą w styczniu-lutym 1925 r., już w następstwie rosnącej stalinizacji partii rosyjskiej, a w ślad za nią innych partii komunistycznych, w tym polskiej, do KC KPRP nie wszedł nie tylko żaden z przywódców spośród grupy 3W, ale też nikt, kogo uznawano za zbliżonego do nich poglądami.

Radziecki imperializm szybko powrócił w koleiny rosyjskiego imperialnego panowania. Tyle że przykrywanego hasłem rewolucji światowej

Friszke analizuje tzw. błąd majowy KPP, czyli w istocie poparcie partii dla przewrotu Piłsudskiego w 1926 r., co zdaniem jej ultraradykałów było winą jakoby mieniszewickiego 3W, które widziało w tym krok w stronę pierwszej fazy rewolucji. Moskwa postawiła partii polskiej zarzut popełnienia błędu wręcz zasadniczego.

Interesujące są różne konteksty tych wydarzeń, włącznie z przywoływaniem tego zarzutu w walce wewnątrzpartyjnej. Friszke zauważa, że wraz z działalnością Komisji Polskiej rozpoczyna się w III Międzynarodówce era Stalina, choć formalnie trwała jeszcze era Zinowjewa. Ten „garb” bywał maczugą jeszcze i kilkadziesiąt lat później w starciach wewnętrznych w PPR i PZPR.

Książka oparta jest w dużym stopniu na materiałach bardziej czy mniej źródłowych, które Friszke odczytuje często na nowo; dociekliwie, w sposób zdystansowany, nawet chłodny. To zresztą dobra cecha całości wykładu – inna sprawa, że przytaczane poglądy przywódców partii i jej intelektualistów dziś przeważnie zdumiewają i/lub uważane są za kuriozalne. Warto jednak pamiętać, że komuniści polscy nie tylko nie rządzą w kraju, ale najmniejszej szansy na to nie mieli, zatem zachwalana przez nich praktyka radziecka była jedynie projekcją ich marzeń i urojeń.

Narracja pracy jest płynna, język klarowny, całość czyta się świetnie. W każdym razie najnowszą rzecz Andrzeja Friszkego można traktować jako tom drugi, po książce „Państwo czy rewolucja. Polscy komuniści a odbudowa państwa polskiego 1892-1920”, ambitnego autorskiego zamysłu wydaniczego o dziejach polskich komunistów w międzywojniu. ●



FOT. JACEK LAGOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jan Kofman

• ur. w 1941 r., politolog, historyk, publicysta i wydawca. W PRL-u działacz opozycji demokratycznej, w stanie wojennym redaktor naczelny podziemnego Kwartalnika Politycznego „Krytyka”, w 1985 r. aresztowany. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. Po 1989 r. redaktor naczelny i wiceprezes PWN. Wieloletni członek jury Nagrody Historycznej im. Kazimierza Moczarskiego

• Andrzej Friszke, **„Czekanie na rewolucję. Komuniści w II RP 1921-1926”**, Krytyka Polityczna 2024.



Byle doczekać Trumpa

To może być ten nowy program PiS, na który czekają partia i wyborcy



Agnieszka Kublik

Partia to pieniądze, ludzie i program. Jarosław Kaczyński ma problem z każdym z tych elementów. I choć liczy, że sukces nacjonalistów we Francji i w Niemczech czy trumpizmu w Ameryce pomoże mu przełamać złą passę, może się bardzo rozczarować.

Prokuratura nie odpuści w sprawie Funduszu Sprawiedliwości. Będziemy zasypywani kolejnymi rewelacjami, jak wielką kasę ludzie Zjednoczonej Prawicy przewalili na wybory w 2019 i w 2023 r. Pieniądze, które miały pomagać ofiarom przestępstw, posłużyły przestępcom wyborczym i politycznym.

Rozliczyć Kaczyńskiego za wybory z 2019 r. już się nie da. Za te ostatnie, z 15 października 2023 r., tak. Cała nadzieja w PKW, że w obliczu żelaznych dowodów, że pieniądze na kampanię ludzi Kaczyńskiego szły pod stołem, ukarze jego partię. Chodzi o grube miliony – 30 mln zł za wybory i 23,5 mln z subwencji.

Dramatyczne historie walki o władze w Małopolsce pokazały, że są ludzie w PiS, którzy Kaczyńskiego nie słuchają. Już pięć razy już zlekceważyli jego nakazy i zakazy. Otwarcie. Czyli już nie boją.

Małopolska jest jedynym województwem, w którym nadal nie został wybrany marszałek. A PiS ma tu większość, po prostu Kaczyński nie jest w stanie zapanować nad walczącymi ze sobą politykami. Sytuacja bez precedensu.

To kolejny dowód, w jak złym położeniu jest prezes PiS. Jego partia od wyborów słabnie. W kolejnych sondażach to Koalicja Obywatelska jest najsilniejsza. Za to prowadzi w rankingu polityków, w którym nie ufamy, deklansując Tuska.

Prezes PiS liczy, że przejęcie władzy w Paryżu i Berlinie przez ugrupowania grające podobne melodie – migranci, wartości, Europa ojczyzn – da mu wiatr w żagle. Ale czy na pewno?

Jak podkreśla Christèle Lagier, wykładowczyni nauk politycznych na Uniwersytecie w Awinionie, badaczka elektoratu skrajnej prawicy, „Zjednoczenie Narodowe to partia antyrewolucyjna, która historycznie zbudowała się w kontrze do Republiki, która wpisuje się w linię nacjonalizmu z końca XIX w., partia zbudowana na nostalgii za reżimem Vichy”. Czy stara, choć niekoniecznie dobra, prawica, nie żadni antysystemowi „nowi ludzie”. Le Pen zapewnia, że nie myśli o Francexicie ani nawet o porzuceniu euro, a w szeregach ma ludzi o wszystkich kolorach skóry. No i jak wytłumaczyć Polakom, którzy faktycznie stanęli „murem za polskim mundurem”, sojusz z polityczką, która skrzętnie unika tematu pożyczek z Rosji i nie umierałaby za Białystok?

Z antyimigrancką AfD z pozoru bardziej PiS do twarzy. Radykałowie zza Odry postulują „remigrację”, czyli takie push-backi, tylko na masową skalę. Chcą po prostu wywalić z Niemiec wszystkich imigrantów, którzy się w Niemczech nie urodzili, nawet jeśli mają niemieckie obywatelstwo. Czyli takie nasze push-backi, tylko na serio, super! – mogą cieszyć się na Nowogrodzkiej. Tylko że kilka miesięcy temu członkowie AfD spotkali się potajemnie z neonazistami, aby obgadać wspólnie ten plan.

Czy Kaczyńskiemu takie towarzysztwo odpowiada? A nawet jeśli, jak wykręcić kota ogonem po dekadach wstawiania elektoratowi, że Tusk, wnuk „dziadka z Wehrmachtu”, to posłuszny wykonawca życzeń z Berlina, jeśli nie zdrajca?

W PiS to wiedzą, dlatego najbardziej liczą na wygraną Trumpa. To pomoże Kaczyńskiemu odzyskać zaufanie tych wyborców – a jest ich więcej niż czystych nacjonalistów, eurosceptyków czy rasistów – dla których sojusz z konserwatywną Ameryką oraz symboliczne uznanie w świecie są najważniejsze.

I z Trumpem da radę się dogadać charakterologicznie. Bo, jak powiedział przed laty Tusk, Kaczyński i Trump, „zachowują się jak najbardziej rozkapryszone bachory w piaskownicy”. – Zaangażowani są w jakieś bezsensowne konflikty. Dla nich agresja stanowi żywioł, a bezkarne kłamstwo jest uprawnionym sposobem uprawiania polityki – komentował.

I to może być ten nowy program PiS, na który przybocznicy prezesa i kadry w terenie czekają. ●

Jak wytłumaczyć wyborcom przyjaźń z niemieckimi rewizjonistami i z polityczną arystokratką pożyczającą pieniądze w Rosji

IGRZYSKA KRZYWD

Kobieta w lustrze widzi kobietę,
a mężczyzna – człowieka

Z DR HAB. KATARZYNĄ WOJNICKĄ,
SOCJOŁOŻKĄ*
ROZMAWIA AGA KOZAK



AGA KOZAK: Co sobie pomyślałaś, gdy zobaczyłaś informacje o Kongresie Męskości?

KATARZYNA WOJNICKA: Jako badaczka męskości jestem wielką zwolenniczką aktywizmu, który koncentruje się na mężczyznach – na ojcach, na chłopcach.

Z tej perspektywy jak najbardziej byłam entuzjastycznie nastawiona. Natomiast później zobaczyłam, które organizacje zostały zaproszone, jakie będą poruszane tematy...

I?

– I miałam poczucie, że nic się praktycznie nie zmieniło od momentu, gdy – już ponad 10 lat temu – obroniłam na Uniwersytecie Jagiellońskim doktorat „Męskie ruchy społeczne w Polsce. Socjologiczna analiza zjawiska”.

Gdy zaczęłam się wczytywać w agendę kongresu i zobaczyłam, o czym ma być dyskusja, pomyślałam: „znowu o tym samym”. Ciągłe są zadawane te same pytania i ciągle promowana jest narracja, że „nigdy wcześniej nikt nie pochylił się nad tą problematyką”.

A pochylili?

– Oczywiście! Jako naukowczynie jestem mocno rozczarowana taką postawą, bo w nauce, gdy wpadasz na jakiś pomysł, to najpierw sprawdzasz, czy ktoś przypadkiem danym tematem już się nie zajął przed tobą. Przede wszystkim robisz research.

Zapoznajesz się z dorobkiem wcześniejszych badaczy i badaczek i ewentualnie znajdujesz sobie niszę – jakieś pytanie badawcze, na które naprawdę nie ma jeszcze odpowiedzi.

A w działaniu ruchów społecznych?

– Powinno być analogicznie. Wystarczy wpisać w internetową wyszukiwarkę dwa słowa i się okaże, że ruchy, które zajmują się różnymi aspektami męskości, istniały już w Polsce w latach 90, w dwutysięcznych narodziły się ich nowe odmiany.

Aktywiści, którzy teraz zainteresowali się kwestiami męskości, mogliby odpracować przegląd tego, co zostało zaproponowane, co i jak zostało już zrobione. I pójść dalej. Nie wyważać otwartych drzwi.

Ale piarowo zażarło. Ileż z tego kliknięć!

– Podobnie było w 2016 r., kiedy powstała Fundacja Masculinum – mam wrażenie, że choć media były wtedy inne, to była wołała tego podobna dyskusja. W 2005 r. głośno było przez jakiś czas o Stowarzyszeniu Mężczyźni na rzecz Zmiany. Wtedy też coś się poruszyło, była jakaś dyskusja, po czym – no właśnie – niewiele się wydarzyło, dyskusja ucichła i za kilka lat powtórka z rozrywki.

A dlaczego nie ma tej ciągłości?

– Są różne teorie, które próbują opisać dynamikę ruchów społecznych. Jedną z nich jest teoria cyklu protestu: co jakiś czas zdarza się coś ważnego – w przypadku ruchu feministycznego to było to, co zrobił PiS z legislacją dotyczącą aborcji, czy #metoo – i widać poruszenie.

Wtedy dany ruch zaczyna być bardziej aktywny i bardziej widoczny. Ale w międzyczasie ruchy społeczne działają, tylko nie tak spektakularnie. Po prostu robią codzienną, nudną, żmudną pracę. Zajmują się ofiarami przemocy, homofobią etc.

Czegoś takiego nie widzę w przypadku ruchów męskich. Widzę cykle wzmożonej aktywności co kilka lat. Ktoś zakłada jakąś organizację i jest o tym głośno. Nie widzę pracy u podstaw.

Gdy słyszę o tych zrywach, od razu myślę o tym, jak bardzo Polacy są „dobrzy w powstaniu”. A w kontekście pracy u podstaw przypomina mi się to, co słyszałam na kongresie à propos edukacji. Paneliści narzekali, jak sfeminizowany jest zawód nauczycielski, ale nie zwracali uwagi na to, że to zawód niskopłatny, zbyt niskopłatny dla mężczyzn.

– Niskopłatne zawody zazwyczaj są uplcio-wione i zetniaczowane. Wykonują je raczej kobiety i osoby, które są przedstawicielami mniejszości etnicznych.

Mieszkam w Szwecji, gdzie opieka nad osobami starszymi zdominowana jest przez kobiety i mężczyzn z pochodzeniem migranckim.

À propos edukacji: nikt nie broni mężczyznom wstępu na studia pedagogiczne. Myślę, że jest wręcz odwrotnie. W socjologii pracy są takie dwie metafory: szklanego sufitu, którą już znamy, i szklanej windy czy szklanych ruchomych schodów. Kobiętom w zawodach zmaskulinizowanych trudno się przebić, ale mężczyźni w zawodach sfeminizowanych są bardzo doceniani i raczej ich się promuje, niż zniechęca.

Ja nie kwestionuję potrzeby różnorodności – też genderowej – wśród nauczycieli wczesnoszkolnych. Niepokoi mnie jednak diagnoza, która mówi o dyskryminacji mężczyzn czy chłopców, a nie widzi, że to kwestia strukturalna związana mocno z nierównościami ekonomicznymi.

To, na co zwracałam uwagę w tekście o Kongresie Mężczyzn, to to, że widziałam dużo szkicowanych zagadnień i problemów, dużo narzekania, ale brak propozycji rozwiązań. Paneliści mówili: „Mężczyźni nie chodzą do lekarza”, ale nie mówili, co można zrobić, żeby kobiety nie musiały wołami zaciągać ich na badania.

– Studia nad męskością opisują wszystkie te problemy od 50 lat. Jest dużo materiałów, do których można sięgnąć.

Polak w Szwecji na rynku randkowym, matrymonialnym nie jest w ogóle atrakcyjny. A z kolei Polki raczej mogą tu w partnerach przebierać

10 lat temu brałam udział w dużym projekcie badawczym na temat mężczyzn i równości płci w Unii Europejskiej, a nasz raport zatytułowany „Study on the Role of Men in Gender Equality” zawiera ponad 20 stron rekomendacji dotyczących kwestii takich jak edukacja, praca, opieka, zdrowie, polityka i przemoc oraz mnóstwo przykładów dobrych praktyk.

W Polsce z kolei bardzo dobre pomysły zawiera projekt prowadzony przez Instytut Socjologii UJ pt. „Mężczyźni i opieka”. Dr Michał Bomastyk z Instytutu Przeciwdziałania Wykluczeniom założył telefon zaufania dla mężczyzn.

I teraz pytam działaczy zajmujących się problemem męskości. Siegnęliście? Byłaś na kongresie – czy miałaś wrażenie, że ktoś przekopał się przez to, co zostało do tej pory opisane, i zrobił syntezę? Albo skrytykował dotychczas proponowane rozwiązania i – co ważne – zaproponował alternatywne?

Raczej słyszałam skargę.

– Jest taki termin w socjologii 'igrzyska krzywd', który proponowała w latach 90. Elizabeth Martinez. Kto ma gorzej.

Część ruchów społecznych skupia się przede wszystkim na licytowaniu się, recytowaniu swoich krzywd i podkreślaniu, jak bardzo dana grupa jest dyskryminowana. Bez próby zmiany tej sytuacji, budowania sojuszy czy koalicji z innymi grupami, które też są w jakiś sposób przez jakiś system poszkodowane.

Ta postawa do niczego nie prowadzi, tylko do większych rozłamów i negatywnego spojrzenia na zmianę społeczną.

Dodajmy, że bywa to też grzechem organizacji feministycznych czy queerowych. Czy twoim zdaniem jest jakiś ruch spo-

łeczny mężczyzn, który działa skutecznie?

– Ruch profeministów – mężczyzn, którzy identyfikują się jako feminiści, ale jednocześnie pracują nad męskością z mężczyznami i chłopcami, uważając, że patriarchyat jest wrogiem nas wszystkich, nie tylko kobiet. Patriarchyat jest bowiem systemem dobrym dla bardzo wąskiej grupy mężczyzn na szczycie hierarchii genderowych, którzy czerpią z niego korzyści. Natomiast większości osób, w tym większości mężczyzn – nie służy.

I to on sprawia, że mężczyźni rzadziej chodzą do lekarza, do psychologów czy psychiatrów – ponieważ patriarchyat narzuca im pewną rolę, w którą się muszą wpisać, bo inaczej ktoś im powie, że nie są wystarczająco męscy.

Oczywiście zniszczenie patriarchyatu jest bardzo abstrakcyjnym hasłem społecznym, ale musimy się zastanawiać, jak to zrobić w praktyce.

Mam wrażenie, że ludzie są już tym słowem znudzeni. I myślę, ile innych rzeczy jest pod tym patriarchyatem schowane – choćby turbokapitalizm, rozdźwięk między globalną Północą a Południem. Prof. Andrzej Leder opowiadał mi i Pawłowi Goźlińskiemu do naszej książki, że np. użyteczny jest konflikt między męskością a kobiecością, bo ukrywa inne napięcia społeczne.

– Znasz teorię Raewyn Connell o męskości hegemonicznej? Connell wyróżniła różne rodzaje męskości, które mają różne pozycje w systemie władzy. Męskość hegemoniczna

jest na ich szczycie – to ta najbardziej pożądana, ale niewiele osób jest w stanie ją zinternalizować, bo ona wymaga bardzo dużo kapitału – między innymi ekonomicznego, więc tak, tu chodzi o kapitalizm.

A jeżeli popatrzymy na społeczeństwo globalne, to na szczycie oczywiście są biali mężczyźni. I tak, wchodzi tu kwestia tego, czy ktoś pochodzi z Południa, czy z Północy. To wszystko się na siebie nakłada.

Jeśli popatrzymy w mniejszej skali – na przykład na Polskę – to nie powiedziałabym, że patriarchyat służy mężczyznom, którzy mieszkają na wsi i nie mogą znaleźć partnerki, bo kobiety wyjechały do miast. Raczej ich rani. Tak samo jest z mężczyznami bezrobotnymi, z problemami ze zdrowiem emocjonalnym – z którymi ze względu na patriarchalne wzorce nic nie robią.

Mam wrażenie, że kongres nie mówił o tych grupach, odnosił się raczej do mężczyzn z klasy średniej, którzy mieszkają w większych miastach. Oni się mogli nawet na tym kongresie pojawić i zapłacić za bilet. Natomiast problemy osób z terenów zmarginalizowanych nie za bardzo były dyskutowane.

Choćby te, które Patrycja Wierczokiewicz opisała w książce o „przegrywach”, czyli polskich incelach – ta grupa jest niesamowicie zmarginalizowana w naszym społeczeństwie i też wymaga pomocy. Jasne, że nie zgadzam się z ich bardzo antyfeministycznymi dyskursami, ale to właśnie nimi powinni się zaopeczkować inni mężczyźni. Czy sytuacja np. osób w kryzysie bezdomności była dyskutowana na kongresie?

Wspominano o nich, inceli raczej pomijając, ale ja tu widzę szerszy problem:

z badań wynika, że polski mężczyzna nie ma najbliższego przyjaciela mężczyzny, że jest samotny i niezaangażowany. I to, co słyszałam, to to, „żeby ktoś się tym zajął” – takie żądanie od uprzywilejowanej grupy facetów. Tylko ja się pytam: kto, skoro nie wy?

– No więc właśnie do tego zmierzam, że żądania Kongresu Mężczyzn są jak najbardziej okej, ale niech oni też coś zaproponują od siebie, bo mają do tego narzędzia, kapitał.

To nie są osoby, które nie potrafią znaleźć literatury z gotowymi rozwiązaniami choćby w internecie.

Co jest w takim razie waszym celem? Czy naprawdę zmiana społeczna? Czy to, żeby o was pisano w gazetach? Czy np. korzystają na tym liderzy tych ruchów, którzy chcą sobie zapewnić polityczny kapitał?

W późnych latach dwutysięcznych robiłaś badania ruchów męskich – doszłaś do wniosku, że są cztery różne typy tych ruchów, narysowałaś ich „mapę”.

– Profeministyczny, ruch obrony praw ojców, ruch maskulinistyczny i ruchy męskiej duchowości.

Oczywiście trochę już czasu minęło i teraz tych ruchów, a raczej organizacji profeministycznych – część z nich jest queerowa – jest więcej.

Przeglądałam się działalność niektórych osób, które naprawdę robią ważne rzeczy, głównie w kontekście zwalczania przemocy wobec kobiet poprzez pracę z mężczyznami, patrz Stowarzyszenie „Mężczyźni przeciw przemocy”.

Część z tych osób jest zaangażowana w organizację zajmującą się pracą ze sprawcami przemocy, co w konwencji stambulskiej – której Polska jest sygnatariuszką – jest po prostu wymagane jako część programów koncentrujących się na walce z przemocą ze względu na płeć.

I jest ich coraz więcej, tylko nie za dużo się o nich słyszy, bo one dużo robią, a nie mają za bardzo czasu na PR. Praca z mężczyznami w kryzysie nie jest superchodliwym tematem, prawda?

Mam wątpliwość, czy w czasach, kiedy mężczyźni zgłaszają, że są przede wszystkim zagubieni, chcieliby po odzyskanie poczucia męskości iść akurat do grupy, która ma queer i feminizm na sztandarach.

– A szkoda, bo są to organizacje o zdrowej męskości. Są też oczywiście inne, np. organizacje ojcowskie, wśród których są oczywiście też te w starym stylu, tj. konserwatywne, koncentrujące się na prawie ojca, a niekoniecznie na dobrostanie dziecka.

Jednak część tych organizacji naprawdę koncentruje się na tym, jak być fajnym tatą: w jaki sposób zarządzać tym nowym ojcostwem. Bo bycie ojcem zaangażowanym, opiekuńczym, troskliwym, który dzieli się z matką po równo, to też jednak nowość – ostatnie 10-20 lat?

I to nie znaczy, że tacy ojcowie wcześniej nie istnieli – mój był taki, kiedy byłam dzieckiem. Są więc grupy, do których można dołączyć, pogadać z innymi i podzielić się frustracją, że siedzisz z dzieckiem w domu przez sześć miesięcy i nie gadasz z nim dorosłym.

Tylko takie miejsca nie są jakoś specjalnie wyeksponowane. Bo nie ma w nich nic spektakularnego.

A taki zryw powstańczy jak Kongres Mężczyzn jest. I można, a nawet trzeba się zgadzać z jego postulatami...

– ...ale ja się z nimi zgadzałam już 20 lat temu! Tylko rozmawiajmy o rozwiązaniach!

A dlaczego ty się w ogóle zainteresowałaś tym tematem?

– Studia nad męskością są prowadzone od lat 60. ubiegłego wieku, chociaż pierwszą książkę o bezrobociu mężczyzn i jego wpływie na nich, socjolożka Mirra Komarovsky napisała w latach 40. To była książka, która po raz pierwszy nazywała mężczyzn mężczyznami – i to było rewolucyjne...

Dlaczego?

– Kobiety z kobiecością są pogodzone od początku swojego istnienia, bo są po prostu kobietami czy dziewczynkami, które mają rolę do wypełnienia. Większość twojego życia sprowadza się do treningu bycia matką.

Natomiast mężczyźni przede wszystkim są ludźmi i dla nich to jest bazowe i oczywiste.

Jest taka słynna anegdota, którą powtarzał amerykański socjolog, swego czasu jedna z ważniejszych postaci w studiach krytycznych nad mężczyznami – Michael Kimmel. Skończył, niestety, w niesławie, bo został oskarżony o nadużycia władzy.

W każdym razie anegdota jest dobra: Kimmel opowiadał, jak jeszcze na studiach socjologicznych poszedł na zajęcia z gender. Odbływały się tam różne dyskusje tożsamościowe i jedna ze studentek – biała – oświadczyła, że gdy patrzy w lustro, to widzi kobietę.

Studentka, która była czarna, powiedziała, że ona widzi czarną kobietę. Widzi nie tylko swoją pleć, widzi też swoją rasę, bo te dwa czynniki sprawiają, że jest dyskryminowana.

No i Kimmel opowiadał, że wtedy go oświeciło, bo on, gdy patrzył w lustro, to widział człowieka. I dopiero po tej konfrontacji rozumiał, że on nie widzi swojej płci, bo ta pleć daje mu przywilej, więc jest przezroczysta, i nie widzi swojej rasy – jest biały – bo jego rasa również jest przezroczysta.

Jak coś ci daje przywilej, to tego nie zauważasz. Obie jesteśmy białe. Myślę, że nasza refleksja nad naszą białością zaczęła się niedawno, nasza refleksja nad kobiecością wtedy już była bardzo zaawansowana, prawda?

I myślę, że podobnie jest z męskością. Dopiero w którymś momencie zaczynasz rozumieć, że masz też pleć, bo ta pleć nigdy ci do tej pory nie przeszkadzała.

A teraz zaczyna uwierać. Zewsząd atakuje jakaś toksyczna męskość, #metoo, opowieści o tym, jak to kobiety woła w lesie spotkać niedźwiedzia niż mężczyznę... Faceci zaczynają czuć się nieswojo w swojej skórze, mówią „not all men” czyli „nie wszyscy”, zaczynają od złości, sprzeciwu i oporu.

– No i oczywiście, że „not all men”, ale inny socjolog Michael Messner, który zajmuje się ruchami społecznymi mężczyzn, jedną ze swoich ostatnich książek – która jest właśnie o profeministach – zatytułował „Some men”, niektórzy mężczyźni.

Bo „some men” coś robią, „not all men” nic nie robią. Nie wszyscy mężczyźni są przemocowi, ale tylko niektórzy mężczyźni coś z tym robią. I masz rację, jesteśmy w momencie, w którym nagle się okazało, że męskość nie zawsze jest czymś pozytywnym, nie zawsze wiążą się z nią tylko przywileje.

Więc niektórzy mężczyźni czują, że grupowo, kolektywnie coś z nimi jest nie tak, i stąd to „not all men”, i stąd właśnie defensywa. A tu chodzi o przyjrzenie się temu, gdzie mamy przywileje – bo jest ich dużo – i temu, co jest kosztem naszej mękości, bo koszty mękości też istnieją.

Gdybyś miała wymienić te koszty mękości?

– Podstawowy koszt to podejście do swoich emocji – tę cenę płaci prawie każdy mę-

czyzna. Nie mają przestrzeni do wyrażania wszystkich emocji. Tylko niektórych – na przykład gniewu.

Gniew uznawany jest za tak zwaną męską emocję. Wszyscy ludzie mają go w sobie, ale tylko mężczyźni mają przyzwolenie na wyrażanie go. Za to nie mają przyzwolenia w większości społeczeństw na wyrażanie smutku, wrażliwości. Jasne, że to się zmienia, ale wciąż powoli i ten koszt się przekłada na wszystkie inne koszty mękości. Na niechodzenie do lekarza, na statystyki samobójstw.

A wracając do ciebie i twojego zainteresowania tematem...

– Już na studiach magisterskich zajmowałam się socjologią płci, tyle że wtedy naturalne było, że to socjologia związana z kobietami i dyskryminacją kobiet.

Napisałam pracę magisterską o małomiasteczkowych feministkach i w którymś momencie miałam taki przeblysł: właściwie dlaczego my nie rozmawiamy o mężczyznach? Nie da się osiągnąć równości genderowej, nie zajmując się mężczyznami.

Wtedy w Polsce na temat men's studies były trzy-cztery książki – albo teoretyczne, albo odwołujące się do badania dyskursu. A że zawsze metoda wywiadu indywidualnego była moją ulubioną metodą badawczą, więc pomyślałam sobie: zrobię badania terenowe.

W międzyczasie zainteresowałam się też androginią, przekraczaniem płci – wtedy jeszcze nie mówiono o niebinarności – i napisałam artykuł o Davidzie Beckhamie, an-

Wtedy się zastanawiam nad własnym statusem białej kobiety z klasy średniej. Mam dużo większą władzę niż oni, dużo większe zasoby. Żeby robić te badania, nie muszę być jedną z nich, ale muszę mocno się zastanowić, kim ja jestem w tym badaniu, co ja ze sobą przynoszę i jak moja pozycja w strukturze społecznej wpływa na to, jak interpretuję ich wyniki.

Robię to też przy badaniach nad męskosciami, chociaż tutaj jednak jestem z grupy mimo wszystko społecznie z niższym statusem. Gender wpływa na to, w jaki sposób robimy badania społeczne. I pozycja badaczki, badacza zawsze powinna być bardzo mocno przedyskutowana i wzięta pod uwagę.

Mówisz, że to, że jesteś kobietą, oznacza, że nie jesteś uprzywilejowana. Tymczasem część mężczyzn i kobiet mówi, że to już nieprawda, że kobiety i kobiece tematy są już wszędzie, i to w nadmiarze. Biznes jest kobietą, polityka jest kobietą, różowy miesiąc walki z rakiem piersi, dziewczyny na politechniki...

– Popatrzmy na statystyki. Sejm – ile mamy kobiet? Lista najbogatszych Polaków – podobnie. Wiadomo, że kobiet jest tam więcej, niż było kiedyś. Ale nie powiedziałabym, że głosy kobiece na przykład w dyskursie medialnym dominują. Zależy oczywiście, o jakich mediach mówimy...

Tam, gdzie są pieniądze i władza, kobiet nadal jest mało. Patrzę nawet na akademię, i to w Szwecji, jednym z najbardziej równościowych państw. Większość osób z tytułem profesorskim to mężczyźni.

Żądania Kongresu Mężczyzn są jak najbardziej okej, ale niech oni też coś zaproponują od siebie

drogynie i metroseksualności, który stał się głośny.

Okazało się, że jest potrzeba kursu socjologii mękości – musiałam go wymyślić praktycznie z niczego. Doktorat zrobiłam na UJ, ale wyjechałam na kilka stypendiów do Niemiec, bo okazało się, że jest tam dużo większe pole do działania – były organizacje, które zajmują się badaniami mękości, dużo literatury. A mówimy o 2009 r.

Uznałam, że łatwiej mi będzie robić badania tam, nie będę musiała udowadniać polskim grantodawcom, że w ogóle to ma sens. Ostatecznie wyładowałam w Szwecji, w Instytucie Socjologii i Nauki o Pracy Uniwersytetu Göteborgskiego, gdzie jestem dziś docentką, co jest odpowiednikiem polskiego samodzielnego pracownika naukowego po habilitacji.

Oprócz tego jestem też redaktorką naczelną czasopisma naukowego „NORMA. International Journal for Masculinity Studies” zajmującego się problematyką mężczyzn i mękości.

A czy kiedykolwiek słyszałaś heheszki, gdy mówiłaś, czym się zajmujesz?

– Na początku w Polsce, ale niewiele. Jednak przez ostatnie kilka lat dostaję czasami e-maile od różnych osób, zazwyczaj identyfikujących się jako mężczyźni, i oni mi na różne sposoby próbują udowodnić, że nie mam prawa mówić o męskościach.

Ja uważam, że mam, oczywiście również uważam, że naukowcy mężczyźni mogą robić badania na temat kobiet i feminizmu.

Tylko kiedy grupa dominująca wciąż jeszcze w społeczeństwie robi badania o grupie mniejszościowej, to musi się bardzo poważnie zastanowić nad swoją pozycją. Ja to robię, badając osoby imigranckie, które przyjeżdżają do Europy.

No właśnie, czy taki proces uświadamiania sobie przez mężczyzn mękości jest czymś wyjątkowym w skali Europy i świata? Czy idziemy w tym jakoś ręką w rękę z innymi krajami?

– W wielu krajach ten proces zaczął się wcześniej, a w bardzo wielu – w ogóle jeszcze nie wystartował. Szwecja radzi sobie z tym procesem całkiem dobrze, a na przykład w takiej Arabii Saudyjskiej w ogóle nie ma takiej refleksji. Co wiemy z literatury, na przykład ze świetnej książki Madavi Al-Rasheed „A Most Masculine State. Gender, Politics and Religion in Saudi Arabia”.

Myślę, że czeka nas wiele różnych dyskusji o tym, skąd czerpiemy przywileje – właśnie ukazała się książka Afropolki Oliwii Bosomtwe na ten temat, która może rozpocznie dyskusję nad naszą białością. W tym wszystkim chodzi o chęć konfrontacji, o przemyślenie, jakie jest w tym moje miejsce i co chcę z tym zrobić.

Myślę sobie o twoim doświadczeniu badań z osobami migranckimi. Polska zaczyna być wielokulturowym społeczeństwem. To, że do naszego kraju napłyną mężczyźni z innym sposobem myślenia i kolorem skóry, też dużo zmieni...

– Dojdzie właśnie ów przywilej etniczny, z którym też trzeba będzie się skonfrontować. Opowiem o tym na przykładzie polskich migrantów, bo badałam migrantów mężczyzn zarówno w Berlinie, jak i tutaj, w Szwecji.

Bardzo trudna jest dla nich konfrontacja z innością. Mają zresztą pozycję nie do pozazdroszczenia. Tracą swój status mękości hegemonicznej – bo nie są tu uznawani za najbardziej pożądaną typ. Polak w Szwecji na rynku randkowym, matrymonialnym

nie jest w ogóle atrakcyjny i to powoduje dużo frustracji.

Wielu Polaków jest samotnych. Nie znajdują sobie partnerki, bo Szwedki nie są nimi zainteresowane, a z kolei Polki – inaczej niż mężczyźni – raczej mogą tu w partnerach przebierać.

Tracą więc dostęp nawet do rodaczek, które wybierają Szweda, dla którego dzieło nie się obowiązkami domowymi jest większą oczywistością niż dla przeciętnego Polaka.

Frustracja naszych rodaków przekłada się na ich stosunek do innych mężczyzn, np. Szwedów, którzy często w narracjach polskich migrantów, z którymi rozmawiałam – nie mówię, że wszystkich – są uznawani za „sfeminizowanych”, czyli pozbawionych mękości mięczaków, którzy żyją pod butem agresywnych szwedzkich kobiet.

Natomiast innych migrantów – na przykład niebiałych – uznają za niebezpiecznych, agresywnych i czują się od nich lepsi. Uważają, że lepiej orientują się w naszych europejskich wartościach.

To ciekawy paradoks, bo z jednej strony równościowe praktyki Szwedów są oceniane negatywnie jako bycie mięczakiem. Natomiast w kontekście mężczyzn spoza Europy, imigrantów nagle Polacy są wręcz obrońcami gender equality.

Są tymi, którzy bronią kobiet przed niebezpiecznymi – innymi – mężczyznami. Oczywiście trochę przerysowuję, ale uważam, że część z tych procesów niebawem się przeniesie do Polski.

To zapytam cię na koniec, czy w ogóle w perspektywie tego, o czym mówimy, możemy się dogadać? Mężczyźni i kobiety?

– Oczywiście, tylko to wymaga też szczerzej refleksji nad sobą samym. Jest masa mężczyzn, którzy są normalnymi, opiekuńczymi, emocjonalnie stabilnymi osobami. Zdają sobie sprawę z tego, że jako mężczyźni mają pewne przywileje i czasami z nich korzystają, ale też, że przywilej oznacza koszty. My – kobiety i mężczyźni – naprawdę nie jesteśmy wrogami.

A gdybyś miała męskim ruchom, patrząc na swoje badania, dać jakąś radę...

– Poczytajcie, co już zostało zrobione. Nie wymyślajcie pomysłów na osobne klasy dla dziewcząt, osobne dla chłopców, bo to dawno zostało zdyskredytowane. Zobaczcie, co działa w innych krajach. Zobaczcie, jakie są sieci mężczyzn: jest taka wielka sieć globalna Men Engage – ciągle coś robią i są bardzo otwarci na nowych członków. Rozejrzyjcie się wokół siebie i przestańcie podkreślać, że nikt nigdy się tym nie zajmował, bo to nie jest prawda.

To wymaga pokory. A jeżeli nadal tam będzie myślenie: „my to chcemy zrobić po swojemu”?

– No to życzę powodzenia. ●



dr hab. Katarzyna Wojnicka

● – socjolożka, badaczka mękości, naukowiec Uniwersytetu w Göteborgu. Ukończyła socjologię i gender studies na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest redaktorką naczelną pisma naukowego „NORMA. International Journal for Masculinity Studies”, które publikuje artykuły na temat mężczyzn i mękości w strukturach społecznych.

Z DR **EWĄ RUMIŃSKĄ-ZIMNY**,
EKONOMISTKĄ ROZMAWIA **NATALIA
WALOCH**

NATALIA WALOCH: Luka płacowa jest jak potwór z Loch Ness: jedni wierzą, że istnieje, inni, że nie. Tymczasem to przecież nie jest kwestia wiary. Powiedz, jak to z tą luką jest naprawdę.

DR EWA RUMIŃSKA-ZIMNY: Wszyscy o luce mówią. Przedstawiciele rządu – obecnego, ale też poprzedniego – podkreślali, że to problem. Tymczasem mamy kłopot, by precyzyjnie określić, jak duża ta luka jest.

Rzeczywiście, trudno ją dokładnie wyliczyć. Powinno się porównywać kobiety i mężczyznę wykonujących tę samą pracę, gdzie zgadzają się wszystkie parametry: oboje mają to samo wykształcenie, staż pracy oraz inne elementy, które decydują o ich zaszerogowaniu na liście plac.

Natomiast dane, które najczęściej dostajemy – liczy to nasz GUS, liczy Eurostat – bazują najczęściej tylko na średnim wynagrodzeniu godzinowym.

I na tych danych swego czasu bazował rząd PiS, chwając się, jak dobrą sytuację mają Polki, gdyż wobec średniej europejskiej luki wynoszącej 17 proc., u nas jest to zaledwie 7-8 proc.

– Dokładnie tak. Dane Eurostatu to średnia godzinowa praca kobiet i mężczyzn. Liczy się to tak, że bierze się pulę mężczyzn, pulę kobiet i ich wynagrodzenia dzieli się przez ilość godzin pracy. To nam zupełnie nic nie pokazuje, bo nie wiemy, jakich osób to dotyczy.

Polska miała według tych badań dobre parametry, ale zupełnie inaczej sytuacja wygląda, jeśli zobaczymy, jak wygląda tzw. luka skorygowana, którą liczy m.in. Instytut Badań Strukturalnych. Tu okazuje się, że mamy lukę płacową wyższą niż inne kraje Unii.

Wszystkie te dane można znaleźć w raporcie Kongresu Kobiet na temat rynku pracy. Tam widać, że badania uwzględniające skorygowaną lukę pokazują, że w 2011 r. wynosiła dla nas 12 proc., podczas gdy w UE było to 11,2 proc. Zatem luka bez wątplenia istnieje i jest spora.

Obstawiam, że jest to głównie podatek od macierzyństwa.

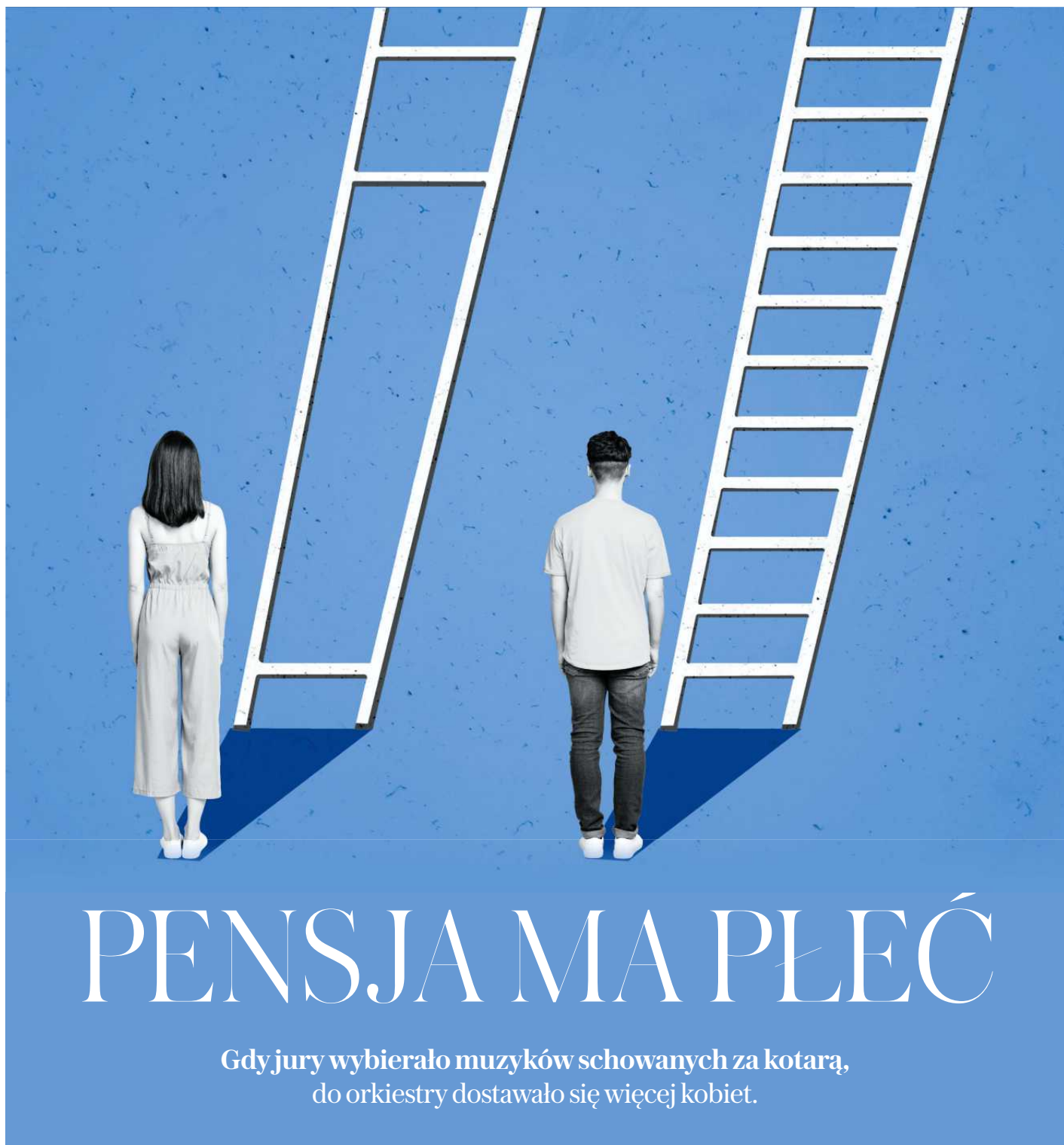
– Słusznie. W naszym raporcie jest pozycja „Obowiązki rodzinne i związane z prowadzeniem domu”. Okazuje się, że aż w 33 proc. przypadków przyczyną bierności zawodowej kobiet jest właśnie obciążenie obowiązkami domowymi, podczas gdy dotyczy to tylko bardzo niewielkiej ilości mężczyzn, którzy z kolei bierni zawodowo są głównie z powodu chorób, niepełnosprawności czy zniechęcenia.

Zbadałyśmy też, jak wygląda kwestia opieki nad dziećmi chorymi. W grupie kobiet 30-39 lat to w większości matki idą na zwolnienie. Kobiety są na dwóch etatach: domowym i zawodowym, co odbija się na możliwości awansu czy lepszego zarabkowania.

W publicznym dyskursie pojawia się zawsze kwestia tzw. kobiecych zawodów, które są po prostu nisko opłacane. Jaką odgrywa to rolę w istnieniu luki płacowej?

– To jej bezpośrednia i główna przyczyna: kobiety pracują w sfeminizowanych, nisko płatnych zawodach. Zobaczmy, że pomoc domowa czy pani sprząająca zarabia dużo mniej niż kierowca czy operator jakiegoś pojazdu. Liczby są bezwzględne: 90 proc. osób sprząających to kobiety, a 98 proc. kierowców to mężczyźni.

Podobnie wygląda sytuacja w informatyce, gdzie tylko 15 proc. pracowników to kobiety. Jeśli więc zatrudnienie kobiet koncentruje się w gorzej opłacanych zawodach, to siłą rzeczy ich średnia stawka godzinowa jest niższa.



PENSJA MA PŁEĆ

Gdy jury wybierało muzyków schowanych za kotarą,
do orkiestry dostawało się więcej kobiet.

Należałoby więc myśleć o tym, co zrobić, żeby wyrównać poziom zatrudnienia kobiet i mężczyzn w pewnych profesjach, mając na uwadze to, że kobiety są często świetnie do nich przygotowane.

A jak wygląda kwestia wykształcenia?

– W Niemczech jest mniej więcej równowaga między płciami, natomiast w Polsce na każdych 100 mężczyzn z wyższym wykształceniem przypada aż 186 kobiet. Zajmujemy drugie miejsce w Unii Europejskiej po Łotwie. I tutaj wjeżdża nam ta wspomniana skorygowana luka płacowa, bo jeśli weźmiemy pod uwagę kobiety i mężczyznę o porównywalnym wykształceniu, to widać, że kobiety są wynagradzane zdecydowanie gorzej. Szukając przyczyn, warto się skoncentrować na dyskryminacji i stereotypach.

Szwedzka dziennikarka Katrine Marcal pisze, że mężczyznom płacono za pewne naturalne predyspozycje np. za fizyczną siłę, natomiast kobietom nie – ich małe, zwinne palce, dzięki którym mogły wykonywać w fabrykach wymagające precyzji prace, nie były tak doceniane. Podobną jawną niesprawiedliwość widzimy dzisiaj w tym, że niania jest wynagradzana gorzej niż



*Liczby są bezwzględne:
90 proc. osób sprząających
to kobiety, a 98 proc.
kierowców to mężczyźni*

kafelkarz, choć żadną miarą nie da się powiedzieć, że opieka nad dzieckiem jest łatwiejsza czy mniej ważna niż równo położone płytki.

– Podstawą tego jest to, jak myślimy o opłacalności danego zajęcia dla gospodarki. W minionych czasach górnik zarabiał dobrze, bo tworzył podwaliny gospodarki, a pielęgniarka, cóż, opiekuje się chorymi w sumie dlatego, że to lubi. Wartości przypisywane do różnych prac to wielki problem.

Należałoby zmienić siatkę plac i dowartościować zawody opiekuńcze, bo ich niska wycena nie jest podyktowana niczym sensownym.

Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego jednym z najgorzej płatnych zawodów jest opiekunka w DPS-ie, ktoś, kto opiekuje się ludźmi obłożnie chorymi, haruje fizycznie i ponosi koszty emocjonalne.

– Dodajmy, że jest to praca szalenie ważna społecznie, ktoś taki przecież zajmuje się naszymi bliskimi.

Ale uciekł nam trochę wątek, dlaczego stereotypowe myślenie przeszkadza w wyrównaniu plac. W naszym raporcie widać, że szefowie-mężczyźni rzadziej w ogóle dostrzegają problem. Aż 44 proc. z nich uważa, że problem jest niesłusznie rozdmuchany. Natomiast 42 proc. uważa, że kobiety zarabiają tak samo, jak mężczyźni.

Ważne jest też, w jaki sposób kobiety i mężczyźni widzą możliwości manewrowania przy wynagrodzeniach. Pracodawcy często uważają, że kobiety nie będą zaangażowane w pracę z powodu dzieci. Jedną piątą mężczyzn uważa, że nie angażują się w pracę tak samo jak oni, co

nie jest prawdą, bo badania pokazują, że kobiety pracują bardzo rzetelnie i mimo zwolnień na dzieci wywiązują się z obowiązków.

W naszym sondażu pytaliśmy też, czy respondenci zgadzają się ze stwierdzeniem, że kobiety zarabiają mniej, bo są słabiej wykształcone. Tak uważał co dziesiąty mężczyzna, a już wiemy, że to przecież danym. To silnie zakorzeniony stereotyp, o którym mówił eksperyment opisany przez Claudię Goldin, która w ubiegłym roku jako pierwsza kobieta dostała samodzielną Nobla za pracę w obszarze ekonomii feministycznej.

Kiedy pracodawca nie wie, czy ocenia aplikację kobiety czy mężczyzny, jest dużo mniej skłonny odrzucać kandydatki. Goldin przytacza dane z przesłuchań orkiestr. Gdy jury wybierało muzyków schowanych za kotarą, do orkiestry dostawało się więcej kobiet.

To namacalny dowód: są pewne przekonania, że kobieta jest gorszym pracownikiem, więc, idąc dalej, można jej zaproponować niższe wynagrodzenie, bo w ramach tego rozumowania jest to sprawiedliwe.

Z kolei Cordelia Fine w „Urojeniach płciowych” pisze, że kobieta niemal nie ma możliwości odnaleźć się w pracy. Jeśli jest stereotypowo kobieca, czyli konciliacyjna, łagodna, miękka, uważa się, że nie może być szefową, bo sobie nie poradzi. Z kolei jeśli ma cechy uważane stereotypowo za męskie: jest władczą i zdecydowaną, uważa się, że jest trudna i jako taka też się nie nadaje, by kierować ludźmi.

Przywiązanie do niejawności płac jest w Polsce bardzo silne

– To bardzo dobrze podsumowuje, jak bardzo wciąż mamy niewłaściwe przekonania. Chcę jednak powiedzieć teraz o tym, jak zachowują się kobiety na rynku pracy.

Otóż kobiety zawsze mają niższe oczekiwania finansowe niż mężczyźni. W Polsce jest to różnica tysiąca, nawet dwóch tysięcy złotych.

Jest to bardzo na rękę pracodawcy, który najczęściej na wejściu i tak uważa, że kobieta jest pracownikiem drugiej kategorii, więc można zaproponować jej niższą stawkę.

W Polsce nie mamy porządných zaseregowań, dobrej siatki płac. Duże korporacje, owszem, mają to uporządkowane, ale generalnie jest olbrzymie pole do uznaniowości.

Mamy szalenie mało jawności, w ogłoszeniach o pracę firmy bardzo rzadko podają widelki wynagrodzenia, jakiego można się spodziewać, aplikując na stanowisko. To wszystko ugruntowuje stereotypy i niewątpliwie należałoby coś z tym zrobić.

A da się? Czego my, Polki, mogłybyśmy oczekiwać od państwa w sprawie luki płacowej?

– Zaczniemy od tego, że sytuacja jest inna w sektorze publicznym, inna w prywatnym. Gros przypadków, w których widzimy dyskryminację, jest zlokalizowanych w tym drugim.

W sektorze publicznym jest dużo mniejsza możliwość manipulowania płacami. Ale ze zdumieniem przeczytałam duży artykuł, z którego wynikało, że i tam jest spora uznaniowość, a dzieje się tak dlatego, że obowiązujące widelki są bardzo szerokie.

W jednym z ministerstw rozstrzał płacy na tym samym stanowisku był od 4,5 tys. zł do prawie 13 tysięcy! To znaczy, że kierownik takiego departamentu może w dużej mierze uznaniowo zaoferować wysokość zapłaty.

Co można zrobić? Na pewno trzeba oddziaływać na sferę miękką, czyli zmieniać sposób myślenia o kobietach-pracownikach. Potrzebne jednak są też regulacje, które by uniemożliwiały utrzymywanie tak dużych dysproporcji płacowych.

Mamy tu nie tylko przykłady innych państw, ale też ubiegłoroczną dyrektywę Unii Europejskiej, mówiącą, że należy zwrócić uwagę na lukę płac w przedsiębiorstwach.

Jak to zrobić, skoro w wielu firmach jest zakaz rozmawiania o wysokości zarobków?

– Owszem, często nawet podpisuje się klauzulę poufności. Moglibyśmy powiedzieć: co to za bezprawie w państwie prawa, gdzie nie mamy zapisów o sprawiedliwych wynagrodzeniach? Otóż my takie zapisy mamy i w Konstytucji, i w kodeksie pracy. Mamy nawet ustalone kary za nierówne traktowanie kobiet i mężczyzn. Co jednak z tego, jeśli kobieta, która by może i chciała dochodzić swoich praw, nie wie, jaka w jej firmie jest luka?

Powoli przybywa firm, które mają równościową politykę, ale większość uważa, że to własność prywatna: ja tu rządzę i nikt mi nie będzie mówił, co mam ujawniać. Przywiązanie do niejawności płac jest w Polsce bardzo silne.

Dyrektywa unijna, o której wspomniałam, wprowadza obowiązek informowania pracowników, ale też świata zewnętrznego – bo to powinno być opublikowane na stronie internetowej przedsiębiorstwa i przesyłane do odpowiedniego ministerstwa – o strukturze zarobków i tym, ile wynosi luka płacowa. Problemem jest to, jak ta dyrektywa będzie u nas realizowana.

Kongres Kobiet, wyprzedzając ją nieco, przygotował z zespołem ekspertów projekt ustawy, która zobowiązałaby pracodawców zatrudniających określoną liczbę osób, do liczenia i sprawozdawania luki z uwzględnieniem dodatków i premii.

– Do tego na firmie spoczywałby obowiązek podjęcia działań naprawczych w celu zmniejszania luki. Należałoby zrobić audyt, sprawdzić, na jakim szczeblu luka powstaje, wprowadzić możliwości awansu dla kobiet, jeśli są one niewielkie.

Czy dobrze pamiętam, że ta ustawa została złożona w Sejmie jeszcze za poprzedniej władzy?

– Tak, ale oczywiście poszła do zamrażarki. Ma nadany numer, mam nadzieję, że za moment jednak trafi pod obrady parlamentu.

Myśmy ją zaktualizowały, uwzględniając dyrektywę UE. Proponujemy, żeby na początek zmiany objęły przedsiębiorstwa zatrudniające minimum 250 osób, bo mniejszym firmom jest trudniej zarówno wyliczyć lukę, jak i ją zmniejszać. Ale oczywiście będziemy myśleć o tym, żeby z czasem objąć jak największą część sektora publicznego i prywatnego.

Od kiedy zapisy dyrektywy zaczną obowiązywać Polskę?

– Powinniśmy wdrożyć jej zapisy do 2026 r., to bardzo mało czasu na realizację wymogów, więc należy zacząć nad tym pracować.

Dobrym początkiem byłoby przyjęcie naszej ustawy, a po roku możemy zobaczyć, co trzeba poprawić czy uściślić. Wtedy będziemy mogli myśleć o dogonieniu krajów, które mają już dobre rozwiązania. Świetnym przykładem jest Islandia...

...która równouprawnienie kobiet i mężczyzn ma na sztandarach.

– Polityka równych płac jest tam traktowana jako wymóg techniczny, żeby firma w ogóle mogła funkcjonować. Nie ma równości – firma jest eliminowana z rynku. Od 2019 r. wszystkie firmy państwowe eliminowały lukę płacową, a potem przeszli do sektora prywatnego i od 2020 r. przepisy obowiązują też tam.

Przedsiębiorstwa dostały narzędzia do sprawdzania, czy płace są równe, a wszystko obejmuje audyt państwowej instytucji. Co ważne: wyliczenia obejmują całość wynagrodzeń łącznie z premiami i różnymi innymi dodatkowymi świadczeniami.

Czy dobrze rozumiem, że tak jak u nas Sanepid sprawdza poziom higieny, a inspekcja pracy bezpieczeństwo, tak w Islandii jest instytucja publiczna, która kontroluje firmy pod kątem równości płac dla kobiet i mężczyzn?

– Dokładnie tak. Oczywiście to był proces, który wymagał przygotowań, wszystko w sumie trwało około 15 lat. Ale wyprzedzili większość krajów unijnych, które też powoli zaczynają podejmować pewne kroki, weźmy choćby Francję, Hiszpanię, Austrię. Tam coraz częściej pracownicy mają prawo do informacji o luce płacowej w swojej firmie.

Natomiast tylko w Islandii prawo do prowadzenia firmy jest zintegrowane z równością płac. Za jej brak jest grzywna, a sankcje mogą sięgnąć nawet za mknięcie biznesu.

– Będziemy musieli zrobić to samo, bo zobowiązuje nas dyrektywa. Jej realizacja pewnie się przesunie w czasie, ale jest to nieuchronne. Polska będzie musiała przyji-

mować odpowiednie ustawy i rozporządzenia.

Zawsze, gdy mówimy o luce płacowej, mówimy też o zmianie modelu rodziny ze szczególnym uwzględnieniem urlopów ojcowskich oraz placówek opiekuńczych.

– Nie jest przypadkiem, że mamy trzy dyrektywy unijne wprowadzone niemal w jednym czasie. Pierwsza to dyrektywa work-life balance, która wprowadzała urlopy ojcowskie, niestety u nas przepisy niechęcą do ich brania, bo mamy rozwiązania krzywdzące mężczyzn finansowo.

To poprzednia władza wprowadziła przepisy, które dyskryminują ojców, którzy chcieliby zostać z dziećmi. Na urlopie będą dostawali tylko 70 proc. swojego wynagrodzenia, podczas gdy matka dostają 80 proc.

– I na to były skargi. Zachętą dla kobiet do wracania na rynek pracy jest dyrektywa o kwotach, czyli o udziale kobiet w zarządach i radach nadzorczych firm, która za moment powinna być realizowana w Polsce.

Widzimy więc, że podejmowane są działania prawne, które mają wyegzekwować równość zapisaną i w naszej konstytucji i w różnych międzynarodowych traktatach. Mamy je na papierze, ale w realu niekoniecznie są realizowane.

Ostatnich osiem lat było marszem do tyłu z promowaniem koncepcji matki Polki, która wycofuje się do domu póki nie odchowaa dzieci.

Do przodu natomiast ruszyły dobre praktyki biznesu. Duży międzynarodowy biznes według mnie połapał się, że to się po prostu opłaca. Nie wydaje mi się, żeby zapalał nagłą wielką miłością do równości, raczej wynikało to z kalkulacji, że społeczeństwa się starzeją i bez kobiecych rąk nie da się dalej działać.

Mamy już całkiem sporo firm w Polsce, które przyglądają się nie tylko siatce płac i luce, ale też ścieżkom kariery kobiet i mężczyzn, które wyjściowo są podobne, ale potem kobiety zostają w tyle z powodu macierzyństwa.

Te firmy proponują kobietom różne bonusy po powrocie do pracy, np. dostają podwyżki, które zespół dostał podczas ich nieobecności albo mają możliwość pracy zdalnej na urlopie macierzyńskim, żeby nie wypaść z drogi ku awansowi.

Myślę, że motywacja jest merkantylna: żeby dobrze wyglądać, mieć dobry PR, realizować cele zrównoważonego rozwoju, bo to jest w przypadku spółek giełdowych raportowane. Niemniej efekt końcowy jest dla kobiet korzystny. Przykład powinny dawać duże spółki państwowe jak na przykład Orlen.

W jakim momencie jesteśmy dziś w Polsce? Na ile jesteśmy mentalnie gotowi na zmianę?

– Trochę się o to martwię, zwłaszcza jeśli chodzi o gros pracodawców w małych i średnich przedsiębiorstwach.

Myślę, że wprowadzenie ustawy o jawności i wyrównaniu płac powinno się obudować szeroką kampanią społeczną, któ-

ra by pokazała wartość kobiet jako pracujących tak samo efektywnie jak mężczyźni oraz, że uczciwe płacenie kobietom się po prostu opłaca.

Jest przed nami dużo pracy, ale powinno się udać. Mamy dziś zupełnie inną atmosferę w kraju niż w ostatnich latach, co daje nadzieję. Należałoby w to włączyć różne organizacje, stowarzyszenia pracodawców, rady dialogu społecznego, związki zawodowe i one powinny stworzyć wspólną platformę, która by zaczęła publiczną debatę o tym, że te zmiany są po prostu korzystne dla gospodarki.

Jeśli firma chciałaby się nazywać prokobiecą, co musiałaby zrobić?

– Powinna stworzyć całościową politykę równości. Czyli przyjąć jasną strategię postępowania, zasady i narzędzia polityki równościowej, a następnie realizować ją w obszarze rekrutacji i awansów, równości płac, równowagi praca-dom oraz zdrowia.

Polecam II edycję konkursu Równowaga, gdzie można sprawdzić, gdzie jesteśmy jako firma. Świetny jest też poradnik „Na drodze do równowagi”, gdzie pokazane są gotowe i sprawdzone rozwiązania, jak taką politykę realizować. ●

RównoWaga w pracy

• Samo mówienie o równości w miejscu pracy nie wystarczy. Trwa właśnie druga edycja konkursu na Prokobiecą Firmę Roku RównoWaga, zainicjowanego przez Dominikę Kulczyk, wspólnie z Konfederacją Lewiatan i Stowarzyszeniem Kongresem Kobiet, w partnerstwie Instytutu Badań Strukturalnych i Fundacji Share the Care. Konkurs skierowany jest do pracodawczyń i pracodawców, którzy angażują się w działania na rzecz równości kobiet w miejscu pracy oraz w kompleksowy sposób przeciwdziałają dyskryminacji. W konkursie nagradzane są postawy wyrównujące szanse kobiet i mężczyzn w karierze. Do projektu wciąż mogą zgłaszać się małe, średnie i duże przedsiębiorstwa, samorządy i NGOsy. Każda organizacja dostaje wsparcie merytoryczne i dyplom. Zgłoszenia przyjmowane są do 26 lipca. Wystarczy wypełnić ankietę na stronie RównoWaga.org.pl.

• Szczegóły i zapisy: [Rownowaga.org.pl](https://rownowaga.org.pl)

Czułość. Wolność. Równowaga

• Luka płacowa, menstruacja i menopauza w pracy, rynek dla kobiet 50+. Sztuczna inteligencja a kompetencje przyszłości. Ciałopozytywność, macierzyństwo, związki. Z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, męskości, niebinarności, tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim.

• „Czułość. Wolność. Równowaga” to akcja społeczna, „Wysokich Obcasów” i „Gazety Wyborczej”.

OGŁOSZENIE

Kraj/34324698

Czułość. Wolność.
RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY

SPONSOR

wyborcza.pl

wysokieobcasy.pl

KULCZYK
FOUNDATION

„Puszczalska” boi się wendetty

„Przecież my nie zarzucamy, że nasi wykładowcy stawiali nam piwo...”. Molestowanie na uczelniach. Wyjaśnijmy raz jeszcze, o jak poważnym problemie mówimy

Marta Danielewicz

Piątek, 28 czerwca. Odbieram telefon. Dzwoni jedna z bohaterek mojego reportażu „Znani artyści, młode studentki, a w tle seks i używki”.

Tekst o nadużyciach na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu ukazał się trzy tygodnie wcześniej. Opisałam w nim poważne zarzuty o molestowanie, używanie stosunku zależności pracowników uczelni wobec studentek. Rzecznik dyscyplinarny uczelni od ponad roku prowadzi postępowanie wyjaśniające wobec jednego z wykładowców.

– Widziałas artykuł w obronie wykładowców? Powołujący się na twój? – pyta roztrzęsiona rozmówczyni po drugiej stronie słuchawki. I odsyła do felietonu Magdaleny Czyż w „Wolnej Sobocie”.

Zaglądam. A tam autorka opisuje swoje seksualne podboje sprzed lat i romanse z wykładowcami. Czytam o sobie, że jako autorka reportażu jestem inkwizytką seksu, rozkręcającą histerie z powodu romansów. Dostaje się też Renacie Kim, która w „Newsweeku” również opisała sytuację na UAP.

Naszym bohaterkom Czyż zarzuca, że mają mentalność zakonnicy, są zazdrosne, by stwierdzić, że „same siebie tego rodzaju podejściem pozbawiają tego, co w studentkich latach najfajniejsze”.

– Przecież my nie zarzucamy, że nasi wykładowcy stawiali nam piwo. To są poważne zgłoszenia groomingu, molestowania, stalkingu... A ktoś pisze, że my z zazdrości. To nieprawda. To obraźliwe – oburza się kolejna bohaterka mojego reportażu, z którą rozmawiam po ukazaniu się zdumiewającego felietonu.

Nie mam wątpliwości, że Czyż próbuje swoim tekstem zamknąć usta osobom uwikłanym w opresyjny mechanizm zależności, który sam w sobie zmusza do milczenia. Uderza we wszystkie osoby doświadczające zachowań, których ofiary niosą w sobie przez całe życie poczucie krzywdy i traumy. Autorka felietonu zdaje się tego zupełnie nie dostrzegać.

Zdumiewającą treść felietonu Czyż – której nie powstydziliby się sympatycy Konfederacji, a przed laty także mizoginiczny odłam Samoobrony – bardzo trafnie omówiły i podsumowały moje redakcyjne koleżanki: Emilia Dłużewska i Natalia Waloch.

Mnie pozostaje wyjaśnić, o jak poważnym problemie mówimy i jak ważne jest dla mnie zapewnienie ofiar nadużyć, że jestem po ich stronie, gotowa wsłuchać się w ich historie.

– Wszystkie uczelnie, a uczelnie artystyczne w szczególności, pełne są toksycznych osób z problemami z ego. A problemy z ego bardzo często manifestują się przemocą, przekraczaniem granic i manifestowaniem władzy – powiedziała mi jedna z bohaterek tekstu o seksizmie i molestowaniu na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu.

Nadużycia, które mają mieć miejsce w murach poznańskiej uczelni, opisuję na łamach poznańskiej „Wyborczej” od grudnia 2022. Do sprawy wróciłam kilka tygodni temu. Opisałam intymne relacje wy-

kładowców ze studentkami. Powodem był list ofiar nadużyć. Ich głosy zebrala i zdecydowała się skierować do władz uczelni Fundacja Czas Kobiet. W środowisku akademickim zawrzało, bo problem nadużyć w środowisku akademickim jest poważny i badany od lat.

Z opublikowanego w 2018 r. raportu Rzecznika Praw Obywatelskich dotyczącego molestowania seksualnego w uczelniach wyższych wynikało, że takie doświadczenia ma prawie połowa ankietowanych studentek i jedna trzecia studentów. W badaniu udział wzięło 4284 osób studiujących na uczelniach w Polsce.

Liczyby wskazujące na nadużycia nie przekładają się niestety na oficjalne zgłoszenia, którymi mogłyby zajmować się władze uczelni. Z raportu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka wynika, że w latach 2010-18 było tylko 50 studenckich skarg na zachowania, które zostały zakwalifikowane jako potencjalnie dyskryminujące bądź przybierające formę molestowania lub molestowania seksualnego i przekazane do zbadania przez odpowiedni organ.

Osoby doświadczające takich zachowań czy przemocy ze strony wykładowców wskazują, że nie dokonują oficjalnych zgłoszeń, bo obawiają się wendetty, łatki osoby „puszczalskiej”. Podejrzewają, że uczelnia

w podziale na pleć, można jednak zauważyć, że to kobiety istotnie częściej wskazywały, iż kiedykolwiek w życiu doświadczyły zachowań tego typu. Wynik ten jest spójny z rezultatami wcześniejszych badań na ten temat, pokazującymi, że ofiarami molestowania seksualnego znacząco częściej są kobiety” – czytamy w badaniu.

Lecz molestowania doświadczają także młodzi mężczyźni. Zgodnie z badaniem najczęściej deklarowali, że poczuli się nieswojo w związku z tym, że ktoś komentował ich wygląd lub robił seksualne aluzje.

Podobne zjawiska, jak te na Uniwersytecie Artystycznym w Poznaniu, dotyczyły także innych wyższych uczelni. Głośno było m.in. o zdarzeniach na Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza, Łódzkiej filmówki, Akademii Sztuki w Szczecinie, Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie.

Wskazywano na przemoc psychiczną, poniżanie, molestowanie, seksistowskie zachowania, przymuszanie do podejmowania działań wbrew sobie, przekraczania granic, także dobrego smaku, nadużycie stosunku zależności, stosowanie figury mistrza, świadome wykorzystywanie przewagi psychicznej, moralnej lub fizycznej, budowanie swojego autorytetu jako świetnego specjalisty, wybitnego wykładowcy.

Z opublikowanego w 2018 r. raportu Rzecznika Praw Obywatelskich wynika, że doświadczenie molestowania seksualnego ma prawie połowa ankietowanych studentek i jedna trzecia studentów

Istnieje zjawisko romantyzowania autorytetu, zakochiwania się w nim i przez to osłabiania granic u osoby zakochanej. Która i bez tego jest na słabszej instytucjonalnie pozycji, z tej przyczyny podatna na wykorzystanie

sprawę zamiecie pod dywan. Ofiary odczuwają bezradność i lęk. Na tym polega dodatkowa toksyczność mechanizmu przemocy.

Nieliczni szukają pomocy w zewnętrznych instytucjach. – Zgłosiłam się do fundacji, by już żadnej innej studentki nie skrzywdził – mówi o swoim wykładowcy moja rozmówczyni w tekście, który opublikowaliśmy w „Wyborczej” w czerwcu.

Raport RPO wśród najczęściej wskazywanych aktów molestowania wymienia kolejno: zaczepianie poprzez gwizdanie, sprośne komentarze lub natarczywe przyglądanie się, komentarze na temat wyglądu, ciała lub życia prywatnego. Dalej są: seksualne aluzje, w wyniku których osoby badane czuły się nieswojo oraz zbliżenie się bez wyraźnego powodu lub nachylenie nad daną osobą, odczuwane jako nachalne.

„Przyglądając się kwestii doświadczeń o charakterze molestowania seksualnego

Helsińska Fundacja Praw Człowieka sprawdziła, ile z tych kilkudziesięciu zgłoszeń zakończyło się ukaraniem osób dopuszczających się molestowania czy mobbingu. Okazało się, że zaledwie kilka przypadków.

Czytelnik ma prawo zapytać, dlaczego w ogóle zdecydowaliśmy się relacje studentek z wykładowcami opisać. Odpowiadam: bo zjawisko nadużyć w relacji, gdy ktoś ma więcej władzy (jest wykładowcą akademickim), a ktoś mniej (jest jego studentem/ktą), nie powinno być dłużej romantyzowane. Taka zależność powinna być regulowana odpowiednimi zapisami. Tak, jak regulowane są intymne kontakty pracodawcy z pracownikami.

Wyjaśnia to świetnie dr hab. Julia Kubisa. Socjolożka z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego przygotowała m.in. Informator Uniwersytetu Warszawskiego, w którym znajdują się zapisy

o przeciwdziałaniu molestowaniu seksualnemu. W nim znajdziemy też fragmenty dotyczące relacji o charakterze emocjonalno-intymnym, które uznano za niewłaściwe i niedozwolone, by chronić osoby studiujące i pracujące przed zarzutem molestowania.

Jak mówi Kubisa: – Autorki i autorzy »Informatora...« wychodzą z założenia, że punktem wyjścia jest ochrona osób będących na pozycji słabszej i zależnej – czyli osób studiujących. Nie tylko tych, które wchodzą w relacje emocjonalno-intymne, ale także pozostałych osób uczestniczących w zajęciach. Są to zwykłe osoby rozpoczynające dorosłość, a relacje na uczelni mają przede wszystkim charakter pedagogiczny i kształtujący.

Dlatego ograniczenie tego rodzaju relacji prywatnych jest również wyrazem odpowiedzialności. Z nauk społecznych i praktyki wiemy, że istnieje zjawisko romantyzowania autorytetu, zakochiwania się w autorytecie i przez to osłabiania granic przez osobę zakochaną, która sama jest na słabszej instytucjonalnie pozycji i z tej przyczyny podatna na wykorzystanie. Takie sytuacje mają miejsce, a uniwersytet ma za zadanie chronić przed nimi – dodaje.

Badaczka przekonuje, że relacje emocjonalno-intymne między osobami pracującymi a osobami studiującymi nacechowane są różnego rodzaju ryzykami. Mogą np. przekształcić się w molestowanie seksualne, gdy jedna z osób zacznie wykorzystywać swoją pozycję zawodową/uczelnianą. Są też tematem plotek, pomówień ze strony osób trzecich. Niosą też ryzyko nierównego traktowania innych.

– Przypominamy jeszcze raz, że relacje te nie dzieją się w próżni społecznej, tylko w określonym kontekście społeczno-instytucjonalnym, w którym uczestniczą inne osoby studiujące i pracujące – pisze dr hab. Kubisa.

Podkreślając, że w relacjach, w których są stosunki zależności i różnica statusów, nie ma pewności czy zgoda osoby stojącej niżej w hierarchii była konsensualna, czy też wymuszona przez okoliczności.

Magdalena Czyż zdaje się tego nie pojmować. Z dumą opisuje własne romanse z żonatym wykładowcą, nie czując, by skrzywdziła lub została skrzywdzona. Jej szczęście.

Minimum empatii pozwala jednak zrozumieć, że ktoś może inaczej czuć się po zakończeniu podobnej relacji. Nawet gdy na tę relację się zgadzał.

– Miał taki flirciarski sposób bycia. Dużo pił na tych imprezach. Początkowo pisałam z nim po zajęciach o rzeczach typowo uczelnianych, pomagał mi przy projektach. Było wtedy jeszcze dla mnie nie do pomyślenia mieć romans z wykładowcą. Za przyjaźniliśmy się. Ale on szybko zacierał tę granicę między nami. Traktował mnie jak równolatkę. Nasze rozmowy zaczęły inaczej wyglądać, spotkania były częstsze – mówi mi jedna z kobiet, która dziś uważa, że została w ten sposób skrzywdzona i wykorzystana.

Ma prawo się tak czuć. Podobnie jak i inne bohaterki, którym oddałam głos w tekście o nadużyciach na UAP.

Na koniec moje bohaterki i moich bohaterów – przeszłych, obecnych i przyszłych – chciałabym zapewnić, że pokazując traumatyzujące zjawiska, będę chroniła prywatność osób skrzywdzonych, szanując ich już raz naruszone granice. ●

mojego wykładowcy” z poprzedniego wydania Wolnej Soboty

Nie wymyśliłyśmy sobie #MeToo

Nie jest tak, że albo radośnie witamy każde klepięcie w pupę, albo jesteśmy niedotykalskie. Niektóre z nas po prostu lubią decydować, kto może im świntuszyć do ucha i wsadzać rękę w majtki

Natalia Waloch

WYSOKIE OBCASY

Polska debata publiczna przyzwyczaiła mnie do tak wielu kuriozów, że nie spodziewałam się, że zaskoczyć może mnie głos kobiety, w dodatku na łamach „Wyborczej”, w której pracuję. Magdalena Czyż napisała felieton, który Janusz Korwin-Mikke zapewne oprawi sobie w ramki. Autorka odnosi się w nim do afery na poznańskim Uniwersytecie Artystycznym, jaka wybuchła po tym, gdy kilka byłych studentek ujawniło niewłaściwe zachowania wykładowców. Sprawę opisały Marta Danielewicz z poznańskiej „Wyborczej” oraz Renata Kim z „Newsweeka”.

Czyż nie bierze jeńców i wali równo w bohaterki tekstów wspomnianych dziennikarek, jak i w feministki, przez które powstał ruch #MeToo. Wspiera się długimi cytatami z książki „Kobieta postfeministyczna. Dyktatura kobiet” Marii Anny Potockiej, skądinąd wybitnej krytyczki sztuki i wieloletniej dyrektorki krakowskiego MOCAK-u

Tekst zaczyna się od wspomnień Czyż ze studenckich czasów, kiedy to bezskutecznie próbowała poderwać wykładowcę ekonomii, który, głupi, nie zorientował się, że powinien zaprosić ją na drinka. Z wykładowcą filozofii poszło – jak pisze autorka – lepiej: zaliczyli obiad, drinki, a potem liczne numerki na parapecie i stosie naukowych periodyków, co Magdalena Czyż nie tylko świetnie wspomina (razem z piątką z filozofii, jaką dostała na koniec roku), ale też poleca. Komu? Felietonistka twierdzi, że istnieją „dwa typy mentalności studentek i w ogóle kobiet, które raczej nigdy się ze sobą nie zgodzą. Jeden to typ o zdystansowanym i – nie bójmy się tego słowa: zdrowym – podejściu do swojej kobiecości, ciała i seksu. Są świadome zalet swojej płci i świadomie z niej korzystają. I drugi, o mentalności bliskiej zakonniczy”.

Tu też pada jedyne zdanie tekstu, z którym mogę się zgodzić: Czyż przyznaje, że jej podział jest „daleko idącym uproszczeniem”. Niestety niejedynym.

Dalej mamy cytaty z Potockiej, która dowodzi, a Magdalena Czyż za nią podąża, że w świecie, gdzie kobiety mają pełnię praw, postfeministki (cokolwiek to znaczy) zamiast się z tego cieszyć, wymyśliły sobie #MeToo. Napędzane chorą energią zemsty i nienawiści do mężczyzn dzięki naracyjnej sprawności, nakłaniają kobiety „do świadczenia przeciwko mężczyznom i eksponowanie ich zepsucia”. Otóż nie: #MeToo nie jest wymierzony w mężczyzn *en général*, jest wymierzony w krzywdzące zachowania wobec kobiet (a także wobec mężczyzn), od molestowania począwszy, na gwałtach skończywszy.

Żeby było uczciwie: Czyż nie ma nic przeciwko „prawdziwym ofiarom gwałtów”, ale sprawa molestowania sięgnęła jej zdaniem zenitu. Słowami Potockiej przekonuje nas: „Nie tylko nie można dotknąć piersi czy klepnąć w pupę, nie wolno również tych miejsc wskazywać i nazywać”.

Co więcej – pisze felietonistka już własnymi słowami – historia z Poznania pokazuje, że wykładowca już nawet nie może postawić studentce drinka, „nie wspominając mówienia komplementów czy, o zgro-

zo, strzelania w plecy ze stanika”. I dalej: „Gdy przeczytałam o tej ostatniej zbrodni któregoś z poznańskich artystów, pomyślałam, że jeśli to ma być przestępstwo, to z mojego liceum w zasadzie wszystkich chłopców z klasy powinienam wsadzić za to do pierdła!”

Autorka zdaje się nie tylko nie ważyć słów (nikt nigdy nie nazywał molestowania zbrodnią), ale też zupełnie nie rozumieć rzeczy, które są standardami w cywilizowanym świecie. W tymże świecie, o ile się orientuję, nikt nie wsadza chłopców z podstawówki czy liceum do więzienia za strzelanie ze stanika, ale owszem, czasy się zmieniły i tego rodzaju „końskie zaloty” często szczęśliwie kończą się rozmową z wychowawcą, ujemnymi punktami z zachowania czy spotkaniem z dziewczyną i jej rodzicami w gabinecie dyrektora lub dyrektorki. Czymś zupełnie innym jest relacja erotyczna wykładowcy i studentki (oraz wykładowczyni i studenta itd.). Nie bez kozery wiele firm niechętnie patrzy na romanse wśród pracowników, a jeszcze więcej zakazuje seksualnych relacji szefów z podwładnymi.

Wydawałoby się, że nie trzeba już tłumaczyć, czym jest stosunek zależności oraz jak działa władza.



Jeśli kobiecie mówi się, że jest idiotką, bo nie widziała, że drink obejmuje też wsadzanie ręki w majtki, a jak się jej nie podobało, to trzeba było dać po pysku albo iść do dziekana, to jakim cudem ma uwierzyć, że zgłoszenie gwałtu nie skończy się pytaniem, po co włożyła tak krótką spódniczkę?



Nikt nie wsadza chłopców z podstawówki czy liceum do więzienia za strzelanie ze stanika, ale owszem, czasy się zmieniły i tego rodzaju „końskie zaloty” często szczęśliwie kończą się rozmową z wychowawcą, ujemnymi punktami z zachowania czy spotkaniem z dziewczyną i jej rodzicami w gabinecie dyrektora lub dyrektorki

Czyż bardzo w swoim tekście krzywdzi poznanianki, które wniosły skargi na wykładowców, pisząc niemal pogardliwie, że chodziło tylko o stawianie drinków na imprezach, na które dziewczyny przecież przychodziły dobrowolnie i mogły z nich wyjść, oraz że ich coming out jako ofiar po latach jest motywowany rozczarowaniem, że wykładowcy związali się z innymi kobietami. W rzeczywistości skargi, jakie dotyczą profesorów Uniwersytetu Artystycznego mówią o obławianiu, licznych niechcianych seksualnych aluzjach, a nawet próbach dyskredytowania byłych kochanek jako stalkerek (kobieta wygrała sprawę w sądzie z byłym wykładowcą, sąd nie dopatrzył się stalkingu w tym, że chciała od niego odebrać swoje rzeczy po tym, jak zerwali).

Czyż kpiąco pyta, jak to możliwe, że 20-letnie kobiety nie wiedzą, co robią: „Jeśli w wieku 20 lat kobiety pozostają nieświadome swoich działań i to ma być ich usprawiedliwieniem, to może nie powinny mieć

wtedy jeszcze praw wyborczych?”. A jeśli bały się, że odrzucając zaloty, dostaną złą ocenę, „zawsze mogły pójść do dziekana i poprosić o innego egzaminatora. Z jakiegoś powodu nie zrobiły tego. Może dlatego, że nie było takiego strachu, bo nie było zależności”.

Nie wiem, w jakim świecie żyje Magdalena Czyż. Ja żyję w takim, w którym co rusz życie udowadnia mi, że nie ma prostych odpowiedzi. Tak, 20-letnia studentka może świadomie wejść w romans z wykładowcą. Może też nie odrzucać zalotów profesora ze strachu, że to wpłynie na jej ocenę (na marginesie: dlaczego to studentka ma iść do dziekana z prośbą o zmianę egzaminatora? Skoro seksualne relacje ze studentkami są OK, niech to profesor idzie do szefa i wyłączy się z oceniania studentki, z którą sypia). Może być zwyczajnie nieśmiała i nie umieć dać odporu.

Może jej pewne zainteresowanie dojrzałego mężczyzny doświadczonego w dziedzinie, do której ona dopiero aspiruje, imponować, ale kiedy długie spojrzenia zamieniają się w niechciane dotykanie pupy i piersi, czuje się już tak uwikłana, że nie potrafi nic z tym zrobić?

To wszystko nie znaczy, że niemoc w trudnych sytuacjach jest domeną 20-let-



Jeśli kobiecie mówi się, że jest idiotką, bo nie widziała, że drink obejmuje też wsadzanie ręki w majtki, a jak się jej nie podobało, to trzeba było dać po pysku albo iść do dziekana, to jakim cudem ma uwierzyć, że zgłoszenie gwałtu nie skończy się pytaniem, po co włożyła tak krótką spódniczkę?



Nikt nie wsadza chłopców z podstawówki czy liceum do więzienia za strzelanie ze stanika, ale owszem, czasy się zmieniły i tego rodzaju „końskie zaloty” często szczęśliwie kończą się rozmową z wychowawcą, ujemnymi punktami z zachowania czy spotkaniem z dziewczyną i jej rodzicami w gabinecie dyrektora lub dyrektorki

nich kobiet, którym należy odebrać prawa wyborcze. Ludzie wiele starsi też bardzo często nie zdają sobie sprawy z mechanizmów, które nimi kierują, gdy pakuja się w trudne sytuacje. Dlatego mamy tabuny bardzo dojrzałych kobiet, które nie potrafią wyjść z przemocowych związków. I mężczyzn, i kobiety szukających miłości tak rozpaczliwie, że dają się naciągać na gigantyczne kwoty matrymonialnym oszustom i oszustkom. Mężczyzn, wpadających w spiralę długów zakreconą tak mocno, że zaczynają pożyczać do szemranych typów. Oczywiście, każdy z tych ludzi jest za siebie i swoje czyny odpowiedzialny, jednak tam, gdzie możemy, regulujemy pewne sprawy, by krzywdy było jak najmniej. Dlatego właśnie to psychoterapeuta ma problem, gdy wejdzie w intymną relację z pacjentką, nie pacjentką. To on bowiem ma większą orientację i władzę w tej sytuacji, ona natomiast jest w dużej mierze bezbronna, bo na kozetkę przyszła z problemami, których sama nie rozumie i których częścią

może być wikłanie się w niezdrowe relacje z mężczyznami.

Dlatego też to szefowie i wykładowcy mają odpowiedzialność w relacjach z podwładnymi i studentkami: bo to oni mają długopisy, którymi zatwierdzają podwyżki, awanse oraz wpisują noty do indeksu.

Zdaniem Czyż „postfeministki”, które wstawiają się za osobami, takimi jak poznańskie studentki, traktują kobiety jak „wiecznie zamulone, głupie geśi” i to ją, jako feministkę, oburza. Mnie zaś oburza wmawianie kobietom, że nie miały prawa czuć się źle, gdy ktoś obmacywał ich piersi czy składał seksualne propozycje podczas dyżuru na uczelni. Jeśli Magdalena Czyż, która, jak zapewnia, współczuje „prawdziwym ofiarom gwałtów”, chciała by wiedzieć, dlatego te ofiary nie zgłaszają owych gwałtów na policję, odpowiadam: właśnie przez taki dyskurs. Jeśli kobiecie mówi się, że jest idiotką, bo nie widziała, że drink obejmuje też wsadzanie ręki w majtki, a jak się jej nie podobało, to trzeba było dać po pysku albo iść do dziekana, to jakim cudem ma uwierzyć, że zgłoszenie gwałtu nie skończy się pytaniem, po co włożyła tak krótką spódniczkę?

Zdaniem Czyż i przywoływanej przez nią Potockiej kobieta stała się „niedotykalaska” przez wściekle „postfeministki”. Mizogini i seksiści nie muszą już nic robić, oto dwie kobiety sięgają wprost do wokabularza różnych panów, którzy, gdy kobieta reaguje oburzeniem na „żarty” o fajnych cymbałach czy klepanie po tyłku, z miejsca rzucają tekst o „cnotce-niewydymce”.

Wedle obu pań „postfeministki” chcą wmówić kobietom wstręt do seksu, który one – jako osoby o mentalności zakonnic – podnoszą do rangi religii. Więcej: Czyż nazywa je inkwizytorkami, które przekonują kobiety, że „seks jest wyłącznie interesem mężczyzn. Kobiety z tego żadnej przyjemności nigdy nie mają”. Cóż, ja akurat mam dokładnie przeciwne obserwacje i widzę bardzo dużą dyskusję w łonie feminizmu o tym, że kobiety mają takie samo prawo do przyjemności z seksu jak mężczyźni.

Deklaruje też, że jako feministka nie pozwoli „pseudofeministkom, siostrzyczkom rzucać się do gardła każdemu samcowi w mojej obronie”, gdyż „w rzeczywistości chcą podbudować swoje ego i zemścić się moimi rękami na innym facecie, skoro na swoim już nie mogą”. Znam takie gadanie z forów incel, dla nich też feministka jest zawsze „niedopchniętą babą, która nienawidzi wszystkich mężczyzn, bo mąż ją zostawił dla młodszej”. Gratuluję Magdalenie Czyż przyłączenia się do chóru, ale mam złą wiadomość, którą trzeba będzie jakoś przetrawić.

Kobiety nie dzielą się na dwa typy. Nie jest tak, że albo radośnie witamy każde puszczenie do nas oka, klepięcie w pupę czy propozycję numerka na parapecie, albo jesteśmy niedotykalskie i przeczulone na punkcie seksu. Są wśród nas kobiety – w tym ja – które po prostu lubią decydować, kto może im świntuszyć do ucha i wsadzać rękę w majtki.

Dziwię się, że dwie wykształcone kobiety silniej bronią prawa mężczyzn do wolności strzelania ze stanika niż prawa kobiet do wyznaczania własnych granic. Na marginesie sobie myślę, że Maria Anna Potocka pewnie nie pozwala w MOCAK-u zwiedzającym dotykać eksponatów, a napisała całą książkę w obronie prawa do obławiania kobiet. ●

Papusza

ZGUBIONA W TŁUMACZENIU

Z EMILIA
KLEDZIK*
BADACZKĄ
LITERATURY

ROZMAWIA
VIOLETTA
SZOSTAK

Jej wiersze,
które znaleźliśmy,
to głównie
falsyfikaty
skonstruowane
przez Jerzego
Ficowskiego



FOT. ZBIGNIEW STASZYSZYN/PAP

1 RP

VIOLETTA SZOSTAK: Na ile wiersze, które znaleźliśmy dotychczas jako napisane przez Papuszę, są jej tekstami? EMILIA KLEDZIK: – Ich związek z rękopisami jest często bardzo odległy.

Pisze pani w swojej książce „Perspektywa poety. Cyganologia Jerzego Ficowskiego”, że to w większości falsyfikaty skonstruowane przez tłumacza. „Falsyfikat” to mocne słowo. – Niekoniecznie. W historii literatury to nic nowego, choćby „Pieśni Osjana” – autor opublikował je w XVIII w. jako angielskie tłumaczenie utworów celtyckiego barda, tymczasem specjalna komisja udowodniła, że to falsyfikaty.

Jerzy Ficowski, tworząc wiersze Papuszy, wykorzystywał fragmenty jej listów. Tak jak „Pieśni Osjana” zainicjowały romantyzm, tak „Pieśni Papuszy” zdaniem wielu wyznaczają początek współczesnej literatury romskiej. Użyłam słowa „falsyfikat”, bo skala zmian nie pozwala nazwać tych tekstów po prostu przekładami.

Rękopisy tekstów Bronisławy Wajs, nazywanej Papuszą, do niedawna były znane nielicznym. Pani do nich dotarła. Dlaczego dopiero teraz je poznajemy, ponad pół wieku po ich powstaniu?

– Najpierw były u Jerzego Ficowskiego. Pisząc jeden z rozdziałów mojej pracy, znalazłam dokument mówiący o tym, że w 1996 r. Ficowski sprzedał je Stowarzyszeniu Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej w Gorzowie Wlkp. To były 134 listy Papuszy zawierające oryginały wierszy, a także jej pamiętnik. Nie wiedziałam o tym wcześniej. Mocno mnie ta informacja zelektryzowała.

Z dokumentu i rozmów wynikało, że rękopisy miały być przekazane przez stowarzyszenie do biblioteki publicznej w Gorzowie Wlkp., ale tak się nie stało. Mówiono mi, że są kontrowersje, gdzie powinny się znajdować. Że biblioteka systematycznie podejmowała starania, żeby je odzyskać. Że szefem stowarzyszenia jest bratanek Papuszy i – eufemistycznie mówiąc – szanse na to, żeby do nich dotrzeć, są zerowe.

Dlaczego?

– Ja sobie nie zadałam pytania „dlaczego nie można?”, tylko postawiłam cel, że muszę do nich dotrzeć. To była bardzo długa droga przez urzędy, instytucje, prośby, a nawet groźby pod moim adresem.

1 grudnia 2020 r. zadzwonił do mnie dyrektor gorzowskiej biblioteki i wzruszony powiedział, że ma to wszystko w rękach. Pozwolił mi jako pierwszej przejrzeć dokumenty. Następnego dnia byłam w Gorzowie i do 5 nad ranem wertowałam listy.

Pamiętam uczucie absolutnego zdumienia, że jest tego aż tyle. Spodziewałam się, że zobaczę ze sto kartek, a było ich niemal tysiąc. Okazało się, że niektóre listy są 30-stronicowe, pamiętnik Papuszy ma blisko 200 stron, a zeszyt zawierający jej poemat o rzezi wołyńskiej – kilkadziesiąt.

Miałam świadomość, że dotykam czegoś naprawdę niezwykłego, co zmieni sposób myślenia o Papuszy, a być może w ogóle o kulturze polskich Romów. A jednocześnie pomyślałam: to znaczy, że moją pracę będę pisać jeszcze kilka lat...

Mam przed sobą pani książkę. To blisko 700 stron analizy tekstów Ficowskiego dotyczących ludzi nazywanych Cyganami. A w tle PRL z przebraną za Cyganek Marylę Rodowicz śpiewającą „Jadą wozy kolorowe” i z akcją osiedleńczo-produktywizacyjną, która miała te wozy zatrzymać. Rozdział o Papuszy to punkt dojścia pani pracy. Z jaką myślą pani zaczynała? – Moją wyjściową ambicją było stworzenie „przypisów” do książek Ficowskiego „Cyganie polscy” i „Cyganie na polskich drogach”, które uznawane są w Polsce za najważniejsze prace opisujące tę społeczność.

Miałam poczucie ich nieprzydatności do tworzenia dzisiejszych relacji z Romami czy naukowej refleksji nad kulturą romską w Polsce. Wiedza w nich zawarta wy-

dawała mi się nieaktualna, zaczerpnięta z XIX-wiecznych i starszych źródeł. A zarażem wiedziałam, że wszystkie opracowania związane ze współczesnym życiem Romów czerpią z Ficowskiego i traktują jego książki jako źródła naukowe.

Ukoronowaniem jego działalności cyganologicznej jest twórczość Bronisławy Wajs. Świat zna go jako tłumacza i odkrywcę Papuszy. Interesowało mnie, jak wyglądała ich relacja, proces powstawania tekstów i tłumaczenie. Szłam po śladach. Przede mną Magdalena Machowska napisała książkę o Papuszy i konstruowaniu jej biografii. Pierwsza pokazała, że gdy się prześledzi te same wiersze Papuszy publikowane przez Ficowskiego w latach 50., 70. i 90., są to inne teksty. Kanonicznym przykładem jest wiersz „Na dobrej drodze”. W latach 50. w tłumaczeniu Ficowskiego ma wymowę propagandową – jest apelem do Cyganów, żeby się osiedlili. A w latach 70. staje się nostalgicznym wspomnieniem czasów wędrownych. Jak to się ma do oryginału? Machowska zadała to pytanie, nie miała jednak dostępu do rękopisów.

Już wcześniej pytano o oryginały wierszy. Przytacza pani te głosy w książce. Niektórzy wątpili nawet, czy Papusza umiała pisać.

– Szczególnie gorzowscy pisarze, którzy mieli z nią kontakt, gdy tam mieszkała, podkreślali jej niezwykłą wrażliwość, ale wątpili, czy mogła napisać takie wiersze.

Ficowski publikował fragmenty rękopisów. – Niewiele. Trzy utwory w jego przekładzie są takie jak w listach i – jeśli pokazywał manuskrypty – to właśnie tych tekstów.

Opublikował 30 przekładów wierszy Papuszy. W listach znalazła pani pierwotwzory 25 z nich. Pisała je tylko po romsku? – W listach jest więcej utworów po polsku i romsku. Ficowskiego interesowały tylko romskie. Papusza umieszczała teksty na osobnych kartkach, tytułując je „gili romani”, czyli „pieśni cygańska”, albo „wierszyko”. Poetyckie fragmenty bywają też wplecione w listy.

Jak i kiedy te listy powstały?

– Najwięcej w latach 1949-52. Ficowski poznał Papuszę, gdy dla Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich poszukiwał świadectw związanych z zagładą Romów w czasie II wojny światowej. Dawał ogłoszenia w gazetach, a ludzie wysyłali mu swoje wspomnienia. Odezwał się do niego Edward Czarnecki, przyjaciel Romów, którzy przeżyli rzeź wołyńską. To był tabor Papuszy. Ficowski spędził z nimi trzy tygodnie latem 1949 r., gdy zatrzymali się w okolicach Stargardu. Później mówił, że to spotkanie trwało miesiące, a nawet lata.

Dodajmy, że tematem zaczął się interesować już wcześniej. W wywiadzie, który w 1950 r. przeprowadził z nim Julian Tuwim, opowiadał: „Początek moich zainteresowań Cyganami to rok 1941. Dotarli do mnie wówczas pierwsze wiadomości o masowych mordach dokonywanych przez hitlerowców na Cyganach, o zamierzonej całkowitej zagładzie tego narodu. W czasie wojny studiowanie spraw cygańskich było jednak bardzo trudne, niemal zupełnie niemożliwe. Pomimo to już wówczas poznałem grupę polskich Cyganów, już wtedy udało mi się dotrzeć

do paru dzieł naukowych o języku cygańskim”. Podkreśla pani w książce, że świadectwa o zagładzie, które potem zebrał, były niezwykle cenne.

– Gdyby Komisja opublikowała jego raport, byłaby to pierwsza taka praca na świecie. Okoliczności polityczne, a prawdopodobnie także to, że Ficowski nie miał warsztatu naukowego, sprawiły, że go odrzucono. Później umieścił fragmenty świadectw w swoich książkach cyganologicznych.

Poznaje Papuszę, o której mówią mu, że „składa pieśni z własnej głowy”. Namawia ją, by je spisała. W rozmowie z Tuwimem po raz pierwszy o niej opowiada, a potem publikuje jej wiersze w czasopismach. W 1953 r. wydaje książkę „Cyganie polscy” z przekładami jej tekstów. A trzy lata później – tom poetycki „Pieśni Papuszy”. Jak go skonstruował?

– Każdy z wierszy dostajemy w trzech wersjach: „tekst oryginalny” w języku romskim, „przekład dosłowny” i „przekład poetycki”.

„Filologowi służyć będą przekłady dosłowne będące ścisłym tłumaczeniem wierszy Papuszy” – pisze we wstępie. „Teksty cygańskie sąsiadują z ich poetyckim przekładem, dokonanym ze szczególnym staraniem dochowania wierności

oryginałowi, zarówno co do treści, jak i co do kształtu utworu”.

– Można mieć złudzenie autentyczności. Jednak to, co podawał jako „teksty oryginalne”, znacznie różni się od rękopisów. Widać, że wersje romskie były konstruowane przez tłumacza post factum, dopasowywane do polskiej wersji.

Chciałabym dobrze zrozumieć: z tekstów, które Papusza przysłała po romsku, skonstruował wiersze po polsku i dopiero ich romski przekład podał jako „tekst oryginalny”?

– Na to wskazuje porównanie z rękopisami. Modyfikacje w stosunku do oryginałów są znaczne – wersologiczne, stylistyczne, kompozycyjne. Najczęściej z długiego tekstu wybierał kilka fragmentów, które łączył i formował swoimi poetyckimi sposobami. Np. z wiersza „Ziemio moja, jestem córką twoją” wybrał 18 z 36 strof, a z poematu „Krwawe lzy” o rzezi wołyńskiej usunął ponad połowę tekstu.

Ale najważniejsze wydarzyło się później. Relacja listowna urwała się w 1953 r., kiedy Papusza znalazła się w szpitalu psychiatrycznym. Potem, w połowie lat 50., wymienili jeszcze kilka listów związanych z przyjęciem jej do Związku Literatów Polskich. Natomiast jej wiersze ukazały się w czasopismach także pod koniec lat 50. – tłumacz wyjął wtedy fragmenty z wcześniejszych listów, przetworzył je i skonstruował z nich nowe wiersze. Można odnieść wrażenie ciągłości tej twórczości, choć jej nie było.

Kolejny moment, gdy Ficowski nawiązał kontakt z Papuszą, to przełom lat 60./70. Prosił ją o nowe wiersze. Zastanowiło mnie, dlaczego właśnie wtedy, chociaż już wcześniej także on stwierdzał z zalem, że Papusza już nie pisze. Moje przypuszczenie: opolska kariera piosenki „Jadą wozy kolorowe”, do której tekst napisał Ficowski. Myślę, że na fali tej popularności postanowił odświeżyć twórczość Papuszy.

To już była inna Papusza, chora. Jej listy często mają charakter psychotyczny. Podkreślała, że lekarze zabraniają jej pisać, że to jej szkodzi, że boli ją głowa. A jednak robiła to dla niego, pisała kolejne strony. On wyjmował z tych listów zaledwie kilka wersów.

Ficowski, poeta, sam był wtedy na etapie pisania poezji o zagładzie Żydów. Pisał dużo bardziej oszczędnie niż wcześniej, ascetycznie, po różewiczowsku. I właśnie w tak skondensowany sposób konstruował nowe wiersze Papuszy.

Chyba największym przeżyciem, a właściwie ciosem dla mnie było to, że wiersz „Lesie, ojcze mój” przez wielu uważany za arcydzieło jest drobnym wyimkiem z 27-stronicowego listu.

„Lesie, ojcze mój/ czarny ojcze...” – ta fraza jest w oryginale?

– Tak. Ale tylko pierwszą część wiersza udało mi się znaleźć w liście.

Skąd jest druga?

– Być może z rękopisu, którego nie ma w tym zbiorze. Łączenie fragmentów z różnych tekstów Papuszy to częsty zabieg Ficowskiego.

Pisał we wstępie do pierwszego tomu, że starał się dochować wierności, ale zarazem sygnalizował: „Są pośród pieśni Papuszy takie, z których wybrałem tylko celniejsze fragmenty, opuszczając przewlekłe i puste partie”. We wstępie do tomu „Lesie, ojcze mój” z 1990 r. dodawał: „(...) Papusza prawie nie zna poprawek

czy skreśleń w swych rękopisach. Stąd dłuższy, omyłkowe powtórki, «puste» treściowo i artystycznie miejsca, rozwlekości... Tak więc tłumacz wziął tu na siebie odpowiedzialność za selekcję wersji, pomijał w przekładzie to, co uznał za zbędny balast, dokonywał swoistego wyboru”. Wskazywał, że zmieniał.

– To jego odpowiedź na zarzuty, które się pojawiały już od lat 60., że to w zasadzie wiersze Ficowskiego. Myślę, że większość czytelników nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo obszerne są te zmiany. Że większość tekstów Papuszy była o 50-70 proc. dłuższa. Że z jednego robił dwa, z dwóch jeden.

Zmieniał ich wymowę. Dostosowywał do własnej poetyki. Wybierał fragmenty, które wpisywały się w to, co według niego składało się na tożsamość cygańską, pomijał inne. Zamazywał wielojęzyczność tych tekstów.

Papusza oddawała na piśmie oralny charakter swoich utworów. Ficowski tę oralność uważał za nieporadność, chciał ją zatrzeć. Uważam, że całkowicie zmienił istotę twórczości Papuszy.

Publikuje pani fragmenty dosłownych tłumaczeń. Zapętlone, transowe, wieloznaczne. Wydają mi się niezwykle ciekawe. Np. taki fragment pominięty przez tłumacza: „(...) moje lasy błogie łaskawe i bogate/ tam są żywe różne serca małe i duże/ różne jagody czarne i czerwone/ różne kwiaty jakie w lesie/ rosły a lzy cygańskie które/ nad rzeką przynosi ognisku się/ pochowały/ mchem i ziołami porośnięte i już/ nie powróci ani jedna do tego/ miejsca czarnego/ jagody jak lzy zbieraliśmy wszyscy/ razem Cyganie i gadziowie/ w moich lasach rosną z wiatrami/ pieśni daleko unoszą je rzeki/ jak piękne prace w zielonych/ szczęściach w maju moje/ kochane lasy/ ach kochane moje lasy jak bajkę/ cygańską śpiewa piosenkę/ dziewczyna cygańska/ chociaż zielone życie ale boli / serce ona widzi słoneczne zajaczki na wodzie (...)”.

– Też myślę, że jest w tych tekstach coś niesamowitego. Coś, co z pewnością oddaje charakter kultury Romów polskich. Coś, co pewnie trudno było zaakceptować kilkadziesiąt lat temu.

Nie byłoby czytelne dla większości? Ficowski chciał nam Papuszę przybliżyć, ale przesunął granice tłumaczenia za daleko?

– Możemy go na różne sposoby tłumaczyć. Ale zdanie, które usłyszałam, że nie byłoby Papuszy, gdyby nie Jerzy Ficowski, mnie zdziwiło. Papusza byłaby, choć pewnie nie usłyszelibyśmy o niej.

Jak ona przyjmowała te zmiany?

– W odpowiedzi na egzemplarz czasopisma, w którym znajdowały się przypisane jej wiersze, znalazłam zabawny komentarz Papuszy. Pisała, że chce jej się śmiać, że Ficowski sam sobie wydrukował piosenkę. Trzeba powiedzieć, że było na to jej przyzwolenie.

Ale potem chciała wycofania książki „Cyganie polscy”.

– Przeżyła wtedy załamanie nerwowe. Przyjechała do Ficowskiego do Warszawy, poszła do Związku Literatów Polskich. Prosiła, żeby wycofali książkę z obiegu, co było oczywiście niewykonalne.

Ficowski przedstawiał to tak, że została napiętnowana i wykluczona ze swojej społeczności, bo uznano, że zdradziła mu jej tajemnice. To nie jest jednak takie jednoznaczne, bo w tle jest też akcja osiedleńcza, której Papusza stała się twarzą. Wywiad, który Tuwim przeprowadził z Ficowskim, miał wydźwięk propagandowy, Papusza została w nim przedstawiona jako zwolenniczka akcji, która wtedy się zaczynała.

Za pośrednictwem Ficowskiego została zaproszona do ministerstwa nadzorującego tę akcję i – jak mówił w tym wywiadzie – po powrocie postanowiła napisać wiersz „Na dobrej drodze”, który jest kwintesencją poetyki socrealistycznej, ale też deklaracją wspólnotową: my, Cyganie, poddajemy się tej polityce i chcemy się osiedlić.

To mogło się nie podobać jej społeczności. Już po tym wywiadzie Papusza napisała do Ficowskiego, że jak teraz będzie do niej przysyłał list, to niech nie podpisuje się na kopercie swoim nazwiskiem.

Ficowski tłumaczył po latach, że Tuwim właściwie sam napisał tamten wywiad. Ale na początku chyba wierzył w sens akcji osiedleńczej?

– Tak, bo jej założenia wyglądały sensownie: mieszkanie, edukacja, opieka zdrowotna. Choć trzeba zauważyć, że społeczność romska w Polsce liczyła wtedy ok. 20 tys. osób, to niewiele w 25-milionowym społeczeństwie. Ale to właśnie do tej grupy władze skierowały szczególnie program.

Wytyczne – jak pani opisuje – wyszły z ZSRR. Podobne akcje prowadzono m.in. w Rumunii, na Węgrzech, gdzie przybierały brutalne formy. W Polsce na początku przebiegało to łagodniej.

– Akcji osiedleńczej w PRL miały towarzyszyć działania edukacyjne, równościowe. Ficowski był jednym z cyganologów zaproszonych przez władze do współpracy, a razem z nim Tuwim i prozaik Jerzy Kornacki, którzy wspierali jego karierę cyganologiczną.

Potrzebny był ktoś, kto wytłumaczyłby społeczeństwu większościowemu, kim są Cyganie. Ficowski odmówił zasiadania w radzie naukowej akcji osiedleńczej, ale jego teksty i książka pełniły taką funkcję. Wpisywała się w to także twórczość Papuszy. Wspaniale było pokazać, że Cyganie mają swoją poe tkę.

Ficowski szybko jednak zrozumiał, że ta akcja to szczytne założenia, za którymi niewiele idzie. W gruncie rzeczy została scedowana na milicję. A w drugim etapie, w 1964 r., kiedy Mieczysław Moczar został ministrem MSW, do głosu doszły pobudki nacjonalistyczne i przemoc. Konfiskuje się mienie, wlepia mandaty, działa środka mi przymusu. Stawiam hipotezę, że Moczar z drugiej akcji osiedleńczej zrobił sobie poligon przed 1968 rokiem.

A chwilę później opolska publiczność będzie się bawić przy cygańskich piosenkach. W fascynujący sposób pokazuje

pani ten splot nacjonalistycznej polityki i antyromskich nastrojów z karierą cygańszczyzny w PRL.

– PRL to czas, gdy tzw. kultura cygańska podbijała salony. Od pierwszej edycji festiwalu w Opolu Ficowski był autorem i promotorem piosenek związanych z cygańskością. Gdy występowały tam zespoły Romów, były jednak przyjmowane chłodno. Ale gdy w 1969 r. na scenę weszła przebrana za Cyganek Maryla Rodowicz i zaśpiewała „Jadą wozy kolorowe”, publiczność oszalała.

W tym czasie dochodziło do aktów agresji przeciwko ludności cygańskiej. W archiwach znalazłam teczkę ze skargami, żeby zatrzymać akcję osiedlania Cyganów, bo nikt nie chce obok nich mieszkać. A z drugiej strony – oj, jak my tęsknimy za tą cygańską wolnością!

Dotarła pani też do teczki wydawniczej pierwszego tomu wierszy Papuszy. Co w niej jest?

– Korespondencja, z której wynika, że propozycję wydania jej wierszy Ficowski wysłał do Ossolineum zaraz po tym, gdy w 1953 r. ukazała się jego książka „Cyganie polscy”.

Trudno powiedzieć, co o tym myślała Papusza. Chwilę później znalazła się w szpitalu psychiatrycznym i rolę osoby do kontaktu miał odgrywać jej mąż. Ale nie ma też śladów, by wydawnictwo pisało do Dionizego Wajsa. Równocześnie między Ficowskim a Wajsem toczyła się wymiana listów, w których Dionizy informował o stanie zdrowia Papuszy. Dopytywał, co wydarzyło się w Warszawie, że jego żona wróciła chora. O tym, że ma dojść do wydania jej wierszy, jest w tych listach mowa rok po złożeniu propozycji w wydawnictwie.

Ossolineum konsultowało kształt tomu wyłącznie z Ficowskim. Podpis na umowie wydawnictwa z Bronisławą Wajs nie przypomina jej pisma z listów, to pismo dziecięce, być może syna Papuszy.

Co poza wierszami znalazła pani w listach Papuszy?

– Był moment, gdy musiałam sobie przypominać, że nie piszę biografii. Że mnie interesują pierwowzory wierszy. Ale kiedy czyta się tak osobiste listy, trudno nie być przejętym. Uderzająca była dla mnie niewspółmierność ich relacji. Ficowski stał się dla Papuszy kimś, komu opowiada się całe swoje życie. Widać, że w pewnym momencie bardzo wyczekiwała jego listów, potrafiła napisać do niego dwa razy w tygodniu, czasem dzień po dniu. Prosiła, żeby dał jakikolwiek znak o sobie, przysłał zdjęcie.

Ficowski namawiał Papuszę do spisania dziennika-pamiętnika z czasów, gdy przed wojną mieszkała na Wołyniu. Domyślałam się – bo nie znam listów Ficowskiego do niej – że dziennik miał być źródłem wiedzy o tym, jak Cyganie żyli tam w społeczności taborowej. Dopytywał o szczegóły obyczajowe, interesowały go sprawy związane z małżeństwem, życiem płciowym – to fetysz cyganologii, że tam się lokuje kwintesencja cygańskości. I Papusza mu to obiecała, bo ona by mu wszystko obiecała.

Powstało prawie 200 stron najintymniejszych wspomnień. Ficowski zacytował z tego w książkach pół strony.

To ten fragment, gdzie Papusza opowiada, jak sama nauczyła się czytać?

– Tak, sam początek jej historii. Rozumiem, dlaczego nie wykorzystał reszty. Ale ten pamiętnik jest dowodem na to, jak bardzo Papusza nie pojmowała pragmatycznej istoty znajomości z Jerzym Ficowskim.

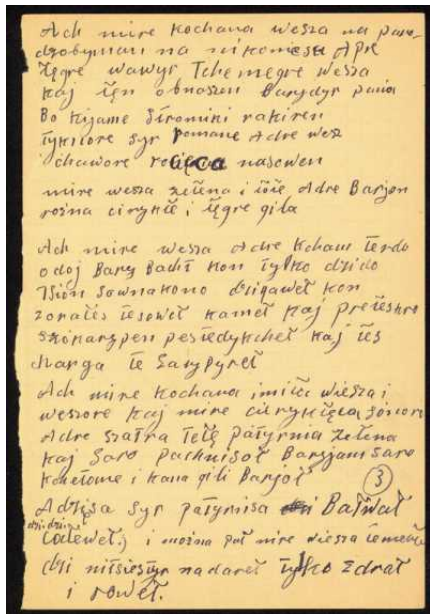
Dla mnie to historia, która rozrywa serce. Kiedy śledzi się list po liście Papuszy, ma się poczucie wchodzenia w intymną relację, w której nikogo innego nie powinno być.

Może więc nie powinniśmy ich czytać?

– Tutaj trzeba naprawdę dużej delikatności badacza.

Dlaczego właściwie Ficowski je oddał?

– Sprzedał za niemałe pieniądze pośrednikom – członkom rodziny Papuszy, być może



• **Materiały opublikowane w książce „Perspektywa poety. Cyganologia Jerzego Ficowskiego”**

134 listy Papuszy zawierające oryginały wierszy, jej pamiętnik. Miałam świadomość, że dotykam czegoś naprawdę niezwykłego

z nadzieją, że tam zostaną. Z drugiej strony miał świadomość, że te dokumenty są unikatowe. Dobrze, że ich nie zniszczył i że możemy nadal je badać.

Gdy zabiegałam, by znalazły się w bibliotece, miałam świadomość, że to wyjątkowe świadectwo kultury romskiej, które za chwilę może przepaść. Byłam w trzech archiwach, które skupiają spuściznę Ficowskiego – jest tam niewiele śladów Bronisławy Wajs, ale wszędzie te dokumenty są pieczołowicie chronione. Kiedy wchodzi się do Działu Rękopisów Biblioteki Narodowej, trzeba nałożyć maseczkę, rękawiczki. A tutaj mieliśmy ogromny materiał, nie wiadomo gdzie przechowywany. Na szczęście wygląda na to, że listy są w niezłym stanie.

Rozmawiała pani o rękopisach z bratanikiem Papuszy?

– Rozmawiałam najpierw z żoną Edwarda Dębickiego, powiedział, że udostępnienie nie wchodzi w grę, bo Edward sam pisze książkę o ciotce i – zanim skończy – listy nie mogą zostać upublicznione. I że kiedyś pokazał je jednej badaczce i efekt był niezadowolający.

Ale jeszcze wtedy nie wiedziałam, że pieniądze na zakup rękopisów stowarzyszenie dostało ze specjalnej dotacji Ministerstwa Kultury, co łączyło się ze zobowiązaniem, że przekaze dokumenty do biblioteki.

W 2015 r. po różnych apelach i artykułach w prasie wojewoda lubuska poprosiła o zwrot. Stowarzyszenie oddało na płycie CD wyłącznie pamiętnik Papuszy.

Spotkałam się z obecnym i poprzednim dyrektorem biblioteki. Byli przekonani, że te listy powinny być udostępnione do badań. Rozmawiałam też z sekretarzem wojewody, był gotów pomóc. Wtedy zadzwoniłam do Edwarda Dębickiego. Poznałam go wcześniej, gdy organizowałam spotkanie promujące przekład jego książki „Ptak umarłych” na język niemiecki. To wspomnienia z czasów ucieczki z Wołynia, ważny tekst dla historii Romów. Powiedział, że rękopisów nie pokaże, mogą iść na policję.

Skontaktowałam się z ówczesnym wiceprezesem stowarzyszenia. Kiedy doszło do zakupu listów, był pracownikiem wydziału w urzędzie wojewódzkim, który przekazywał ministerialną dotację. Na koniec rozmowy zapytał mnie, czy słyszałam o „kłatwie Papuszy”. Zasugerował, że ludziom zajmującym się tym tematem zawsze się coś przydarzało. Uznałam, że to wyczerpuje temat.

Znalazłam prawnika. Napisałam listy do kilku ministerstw, do prezydenta miasta, wojewody. MSWiA, któremu podlegała mniejszości, odpowiedziało, że wspólnie z wojewodą będą działać.

Rozmawiałam z 89-letnim Edwardem Dębickim. Powiedział, że ma już prawie gotowe własne tłumaczenie rękopisów Papuszy. I że Ficowski, z którym się przyjaźnił, przekazał mu je, mówiąc, żeby przetłumaczył to, czego on sam nie zdążył. O tłumaczeniach Ficowskiego mówi, że oddają w języku polskim sens tego, co Papusza chciała wyrazić. O pani książce ktoś mu powiedział, że lepiej jej nie czytać.

– Ficowski nie sprzedał listów Papuszy do prywatnego archiwum, ale do biblioteki publicznej – by były podstawą badań i tłumaczeń. Nie dziwię się, że Edward Dębicki nie chce czytać mojej książki. Niechęć do konfrontacji z trudnymi pytaniami jest typowa dla tradycyjnej cyganologii.

Teraz, kiedy te rękopisy są już dostępne, nie wszyscy się cieszą. Papusza stała się ikoną niezależnej literatury romskiej – pierwsza genialna pisarka, która udowadnia, że Romowie też potrafią pisać ambitną poezję. Jej wiersze czytane były na całym świecie i właściwie tylko jeden francuski badacz – Rom Marcel Courthiade – widział w nich mocno zmodyfikowane teksty. Pozostali uznawali je za autentyczne, nie pytali, co jest podstawą do tłumaczenia wierszy Papuszy na niemiecki, japoński czy szwedzki.

Zgłosiłam się z moim odkryciem na konferencję organizowaną przez Gypsy Lore Society – najstarsze stowarzyszenie skupiające cyganologów, należał do niego Ficowski. Moje wystąpienie zostało przyjęte chłodno, wręcz z wrogością. Pierwsze pytania: „Dlaczego to robisz? Chcesz pozbawić Romów fundamentu ich literatury? Pokazać, że to wszystko wymyślone?”. I znów: „Nie byłoby Papuszy, gdyby nie Ficowski. On był przyjacielem Romów. Kultura mniejszościowa potrzebuje promotora...”.

Mówiłam, że otwiera się nam nowe pole do badań. Mamy teksty, zobaczmy, co w nich jest. Nikogo to nie interesowało. To, co mówiłam, czyniło ze mnie nawet osobę naiwną. Usłyszałam: „Emilio, ty nie wiedziałas, że tak było?”. Nie, nie wiedziałam.

Środowisko związane z Gypsy Lore Society wysłało list do wydawnictwa Poznańskie Studia Polonistyczne na UAM w Poznaniu, domagając się wycofania mojej książki z druku. Absurdalne oskarżenia, które redaktor naczelna i pani rektor UAM oddaliły.

Rozumiem, że dla części cyganologów ta książka może być obrazoburcza. I że jej odbiór w bańce cyganologicznej może być bolesny, bo pokazuje bezkrytyczne akceptowanie pewnych faktów, które tworzą korpus wiedzy cyganologicznej.

Może być trudna do przyjęcia dla wielu.

Ficowski – ceniony poeta, który jako jeden z pierwszych opisywał w poezji zagładę Romów, a później Żydów. Rozumiem ten lęk, miałam go przed tą rozmową: jak mówić o tym, by nie podważyć wszystkiego cennego, co zrobił. Czy pani też ta obawa towarzyszyła?

– Kiedy zaczynałam pisać książkę o cyganologii Ficowskiego, chciałam po prostu odświeżyć lekturę jego prac i nie przypuszczałam, że zderzę się z czymś takim.

Oczywiście pojawiły się wtedy obawy, że mogłam coś ważnego przeoczyć, pominać. W takich chwilach wracałam do rękopisów i mówiłam sobie: nie masz halucynacji, tu są wersje Papuszy, a tu Ficowskiego. Bardzo się starałam nie pisać ahistorycznie, przytaczać szeroki kontekst powstawania tych utworów.

Kilkoro czytelników mojej książki powiedziało mi: tłumaczysz go. Nawet tytuł mojej książki „Perspektywa poety” można czytać jako rodzaj usprawiedliwienia.

W minionym roku prowadziła pani na UAM podyplomowe studia dotyczące Romów. Ale jest pani spoza cyganologicz-

nej bańki. Dlaczego właściwie zajęła się pani tematyką romską?

– Zaczęłam się nią zajmować trochę obok moich zainteresowań krytycznoliterackich i historycznoliterackich.

Zawsze jednak pociągały mnie tematy związane z dyskryminacją. Z dyskursem, który działa wykluczająco wobec całych nacji, etniczności. Napisałam doktorat o teorii postkolonialnej w Polsce. Ciekawiło mnie, w jaki sposób mechanizmy, które znamy z literatury kolonialnej, antykolonialnej i postkolonialnej, odzwierciedla i powiela literatura polska.

To spłotło się z drugim obszarem moich dydaktycznych pasji, jakim jest nauka języka polskiego jako obcego. W latach 2010-II wspólnie z koleżanką prowadziłyśmy projekt edukacyjny dla nauczycieli uczniów romskich.

Polska szkoła nie zawsze umiała zdiagnozować ich potrzeby. Np. z powodu nieznamomości języka polskiego dzieci były kierowane do szkół specjalnych. Dzisiaj już dużo więcej o tym wiemy, są środki zaradcze, ale wtedy był to jeszcze nierozpoznany problem. Projekt zakładał ankietowanie dużej grupy Romów. Odwiedzaliśmy ich w domach. To było dla mnie doświadczenie formacyjne.

„Nie może pani brać się do badań wśród społeczności romskiej bez przeczytania książek Ficowskiego” – usłyszałam od jednego z naukowców, z którym się konsultowałam. Przeczytałam je z zapartym tchem. Jako coś, czego szukałam, rodzaj podręcznika, całościowego ujęcia tej kultury. Dziś myślę, że byłoby mi łatwiej, gdybym tych książek nie знаła. Nie chcę powiedzieć, że nic z nich nie wyciągnęłam. Ale ich lektura spowodowała, że odczuwałam jeszcze większy stres, gdy wchodziłam w tę społeczność.

Wydawało mi się, że to obszar egzotycznej, zamkniętej, trudnej kultury, która jest właściwie nie do pogodzenia z kulturą większościową. Miałam przekonanie, że spotkam się z niechęcią, bo Romowie nie akceptują inności. Jakież było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że w rzeczywistości jest zupełnie nie tak jak u Ficowskiego. Że Romowie widzą swoją kulturę inaczej.

Wchodziła pani w romską społeczność kilkadziesiąt lat później niż on.

– Tak też to sobie wyjaśniałam, że to są jednak stare książki. Zaczęłam śledzić kolejne ich wydania aż po lata 80. W tym czasie na świecie bardzo dużo się wydarzyło, jeśli chodzi o krytyczną analizę wiedzy o ludziach nazywanych Cyganami. U Ficowskiego nie ma śladu tego przełomu.

Zastanowiło mnie, dlaczego nikt inny w Polsce tego nie odświeżył. Ficowski został okrzyknięty autorytetem naukowym i bardzo trudno było z tym dyskutować.

Ale też cyganologia, budując wizję hermetycznej kultury, stworzyła wrażenie, że pisanie o tym jest sprawą dla wybranych, odważnych, wymaga poświęceń.

Cyganolodzy z innych krajów, którzy wcześniej pisali podobne książki jak Ficowski, twierdzili, że sami stali się „Cyganami”. Ficowski mówił o sobie „król cygański”, który wiele lat spędził w taborach.

Uczył swoją marką to, że pisze na podstawie doświadczenia kontaktów z Romami. Dużo jednak zaczerpnął z książek. Gdy zaczęłam kopać głębiej, zobaczyłam, że cała dziedzina wiedzy nazywana cyganologią jest zbudowana na powtórzeniach, niezwyfikowanej wiedzy, którą uznaje się za naukową, a która jest przepisywana z tekstu na tekst.

Wydawało mi się, że ktoś, kto dokonuje opisu historii Cyganów od wyjścia z Półwyspu Indyjskiego aż po dziś, musi wykonać kolosalną pracę źródłową. Okazuje się, że nie, bo to jest wszystko załatwione anegdotą, bez przypisów. Tryb naukowej nieufności – że jeżeli mówisz coś o jakiejś grupie etnicznej, to pokaż, skąd to wiesz – w tej dziedzinie nie obowiązuje.

Wzorec opisywania ludzi nazywanych Cyganami powstał w Europie w XVIII w. – to wyglądająca na naukową książka, z opisem

ludu, który uznajemy za egzotyczny z powodu jego historii, zwyczajów, pożywienia... Punktem dojścia jest rozdział poświęcony polityce, którą wobec tych ludzi należy zastosować w danym kraju.

Ficowski napisał rozprawę na wzór książek z tamtych czasów, w duchu cyganologii, która kazała mu ignorować wszystko to, co jest punktem stycznym z kulturą większościową, a kłaść nacisk na to, co inne.

Paradoksalne, że prace cyganologiczne zwykle mają intencję równościową – ale jednak wyrażają ją przy pomocy całego bagażu egzotyzujących opisów, które powodują, że jednak widzimy w opisywanych ludziach bardziej obcych niż swoich.

Ficowskiemu też przyświecała idea, że by mówić, że ludzie nazywani Cyganami są w gruncie rzeczy tacy sami jak my, tylko inni, bo mają inną obyczajowość, inną historię. I tę nieredukowalną inność opisywał.

Część Romów przyjęła tę książkę jako własną. W najnowszym wydaniu „Cyganów na polskich drogach” (z 2024 r.) czytamy we wstępie aktywistki pochodzenia romskiego: „Nie poznałam osobiście Jerzego Ficowskiego, ale to on był moim przewodnikiem po romskim świecie”. Widać więc, że taka synteza, choć pełna naukowych półprawd i uogólnień, nadal znajduje czytelników.

To historia, która rozrywa serce. Kiedy śledzi się list po liście Papuszy, ma się poczucie wchodzenia w intymną relację, w której nikogo innego nie powinno być

Uderzającym odkryciem było dla mnie to, że „Cyganie polscy” mają niemal identyczną strukturę jak książka Martina Blocka „Zigeuner” wydana w 1936 r. w Lipsku, w nazistowskich Niemczech. Block prowadził badania na Bukowinie, robił zdjęcia w stylu starej, ale też nazistowskiej etnografii: zebrzący ludzie, obdarte dzieci, z rasistowskimi komentarzami.

Te same fotografie z innymi podpisanymi znalazły się w książce „Cyganie polscy”. W jednym z artykułów w prasie pod koniec lat 40. Ficowski opisał swoją wizytę w obozowisku romskim: rozmawia z Cyganką, pokazuje pracę Blocka i tłumaczy, że to „ładna książka z fotografiami Cyganów z całego świata”, o ich życiu i mowie.

Ficowski bierze na wzór taką książkę?

– Dla mnie to było zaskakujące. Powstańcie warszawski kopiuje wzorec nazistowskiej etnografii. Ale to nie Block wymyślił tę strukturę. Pojawia się już w XIX- i XVIII-wiecznych pracach cyganologicznych.

Model konstruowania wiedzy na temat ludzi nazywanych Cyganami był niezależny od doświadczeń historii. Myślę, że cyganologii nadal obce jest przekonanie, że to między innymi sposób przedstawiania ich inności doprowadził do zagłady. W przypadku Żydów wiemy, że tak było. Tutaj ciągle ten język wydaje się niewinny.

Myślę, że Ficowski okazał się bezradny wobec tego dyskursu. W latach 50., kiedy pisał „Cyganów polskich”, miał niecałe 30 lat. Młody człowiek, pracował w trudnych warunkach, nie miał studiów, opiekunów naukowych. Sam przyznawał, że się wtedy miotał. Chciał napisać coś literackiego o Cyganach, był poetą, nie czuł się naukowcem. Miał jednak potężnych mentorów – Tuwima i Kornackiego – którzy podsunęli mu pomysł książki naukowej. Chciał się dopasować do ich oczekiwań, zobaczył w tym szansę. Wykonał i tak ogromną, pod wieloma względami pionierską pracę, w szczególności jeśli chodzi o kwestie związane z zagładą.

Natomiast nie był w stanie przekroczyć sposobu patrzenia na ludzi nazywanych Cyganami poprzez szukanie tego, co nas od

nich różni, a nie z nimi łączy. To cecha, którą wyniósł z literatury cyganologicznej, a także z literatury pięknej. Tuwim napisał przecież „Biblię cygańską”, która jest powtórzeniem romantycznych obrazów życia taborowego.

Wskazuje pani, że nawet pomarańczowa okładka wydania „Cyganów na polskich drogach” jest podobna do książki Blocka. – To niemal dokładna kopia okładki, która wyszła w Niemczech w 1936 r.

Wykorzystała pani te motywy na okładce swojej książki.

– Z intencją przeczarowania tego dyskursu. W projekcie okładki zawiera się trochę koncept całej mojej książki. Autorką tych motywów jest artystka Małgorzata Mirga-Tas, Romka. Jej projekt „Przeczarowując świat” mogliśmy oglądać w Pawilonie Polskim na Biennale w Wenecji dwa lata temu.

Wzięła tam na warsztat m.in. XVII-wieczne grafiki Jacquesa Callota, które przedstawiają Cyganów w scenkach rodzajowych. Z dzisiejszej perspektywy nazwalibyśmy je rasistowskimi. Wyjęła stare ubrania z szaf bliskich i uszyła z nich wielkoformatowe grafiki w stylu Callota. Anonimowym postaciom narysowała twarze. Mnie ten projekt zachwycił.

To samo zrobiła na okładce mojej książki – z motywami z książki Ficowskiego. Wycięte są z tkanin, tak jak litery tytułu. Ktoś mnie zapytał: „Pani się to podoba? Przecież to się siepie!”.

Bo brzegi się siepią. Pani książka jest o tym strzępieniu się dawnego cyganologicznego języka, obrazów. I także sposobu opowiadania o Papuszy. „Cygańska poetka Papusza” to produkt cyganologii Jerzego Ficowskiego – pisze pani. Nie tylko jej wiersze, ale także biografia.

– Jerzy Ficowski modyfikował jej biografię, dostosowywał do zmieniającej się sytuacji politycznej i do tego, co według niego składało się na tożsamość cygańską.

Na pewno biografię Papuszy trzeba napisać na nowo. Pytanie, czy jesteśmy gotowi na historię, która nie będzie o tym, jak wyobrażamy sobie Cygankę, ale o kobiecie z krwi i kości. Moim zdaniem żadna z biografii, które powstały już po Ficowskim, taką opowieścią nie była.

Niedawno zadzwoniła do mnie autorka scenariusza spektaklu o Papuszy, który powstał w teatrze w Gorzowie. Ktoś ją do mnie skierował. Zapytałam, jaką historię opowiada. Usłyszałam, że zaczyna od sceny, gdy Papusza cytuje fragmenty baśni z tomu Ficowskiego „Gałązka z Drzewa Słońca”. Ficowski śmiał się z odbioru tej książki, że jest brana za dokument kultury cygańskiej, a przecież to jego baśnie.

Przesłałam im do spektaklu fragmenty oryginalnych wierszy, listów Papuszy. Wykorzystali je symbolicznie, w jednej scenie.

Czy jesteśmy w stanie zobaczyć w Papuszy kobietę bez całego sztafażu inności kulturowej? Mam poczucie, że sceniczna, romantyczna aura cygańskości jest tak silna, że nadal na nas działa.

„Miałem szczęście poznać Papuszę, ucho-dzę za jej »odkrywcę«. Papusza miała nie-szczęście poznać mnie” – napisał Ficowski w książce „Demony cudzego strachu. Wspominki cygańskie”, która ukazała się w 1986 r. Wyznawał, że nie wiedział, jakie będą dla niej konsekwencje jego książek. Kończy zdaniem: „Wybacz mi, jeśli mo-żesz”. Jak pani to czyta?

– Nie mogę kwestionować intencji, ale w tym samym tekście pyta też, czy miał prawo nie pokazywać światu poezji Papuszy. A przecież tak bardzo ją zmieniał.

„Zdradzone cygańskie tajemnice”, czyli język i obyczaje, to zdaniem Ficowskiego – główna przyczyna wykluczenia Papuszy i jej załamania nerwowego. Więc znów winni są zacofani Cyganie i ich dziwaczna kultura. Tymczasem z listów Papuszy wynika, że Romowie całkiem przytomnie krytykowali przede wszystkim jej uwikłanie w politykę

osiedleńczą. Nie wiem, czy można to skwitować: nie wiedziałem, nie miałem wyboru. Ficowski miał wybór.

A ten list Papuszy, późny, z 1979 r., który opublikowała Machowska? „I ja niegdy pana niezapomnie proszę wiezec mi choc pan duzo czegos dlamnie z dzialal dobrego i niedobrego Bozes pan wszestko zmiszal zlo i dobro pot moj Adres wszstkie teksty pan pozbiral otroznych warstw i wliepil pan w moja kszazeczke. ilie ja uciepialam ot niemodrech cyganow”. I dalej: „niech się pan niepszejmoje to wszystko pszeszło”. Jak pani go czyta? – Papusza miała czuły i oddany stosunek do Ficowskiego. Do końca życia pozostał dla niej onieśmielającym „braciszkiem”, do którego nie miała odwagi zwracać się na „ty”. Przyjaźń z nim była dla niej jak wejście do lepszego, cudownego świata. Była dumna, że ktoś taki pisze do niej listy.

Co teraz z tekstami Papuszy?

– Pracuję nad polskim przekładem tekstu o rzezi wołyńskiej. Chciałabym go wydać w tym roku. Przedstawiałam już fragmenty na spotkaniach naukowych. Reakcje były różne. Jedni mówili: „Musisz z tego teraz zrobić poezję. Nie możesz zostawić w tak surowym stanie”. Inni: „Musisz to tak zostawić, bo inaczej zrobisz to, co Ficowski”.

Przekład z komentarzami?

– O takim myślę. Z drugiej strony myślę, że może to powinien przetłumaczyć ktoś ze społeczności romskiej, żeby wreszcie wykluczyć rolę pośredników.

Chciałabym przeczytać najpierw „suro- wy” przekład.

– Też tak uważam. Problem w tym, że bezpośredni przekład z języka romskiego to nadal rodzaj interpretacji. Język romski jest przede wszystkim oralny, duża część sensu rodzi się nie w samych słowach, ale w kontekście pozawerbalnym – gestykulacji, mimice, ciszy, tembrze głosu. Do części zna-czeń nie mamy już więc dostępu.

Czasem dochodzę do wniosku, że to jest tekst nieprzetłumaczalny.

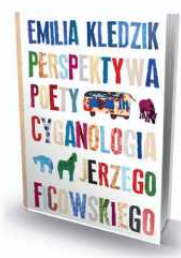
Czy nie z tym zderzył się Ficowski?

– Oczywiście. Tyle że dokonał rozstrzygnięć, które budzą moje wątpliwości. Żyję w innych czasach, mam inną świadomość, lektury, ale teraz, kiedy przygotowuję tłumaczenie, lepiej rozumiem dylematy Ficowskiego. Może mogłabym teraz napisać nie-naukowe postscriptum do mojej książki, coś w rodzaju jego „Demonów cudzego strachu” (uśmiech). ●



*dr hab. Emilia Kledzik

● adiunkt w Pracowni Komparatystyki Literackiej i Kulturowej na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Redaktorka naczelna czasopisma komparatystycznego „Porównania”. Jej książka „Perspektywa poety. Cyganologia Jerzego Ficowskiego” ukazała się pod koniec 2023 r. w wydawnictwie Po- znańskie Studia Polonistyczne.



JAREK SZUBRYCHT: Jak zostaje się członkiem takiego zespołu jak Scorpions? Gdzie można wysłać CV?

PAWEŁ MĄCIWODA-JASTRZĘBSKI:

W 2001 roku wróciłem ze Stanów Zjednoczonych po 11 latach emigracji. Moja kariera muzyczna utknęła w martwym punkcie. Od 2001 roku do początku 2003 grałem w Oddziale Zamkniętym, ale na tym koniec. Jestem człowiekiem wierzącym, więc pytałem Opatrzność, dlaczego mi nie idzie. Mam talent, wiedzę i doświadczenie, więc czemu nic się nie dzieje? Parę miesięcy później siedzę na krakowskim Kazimierzu, jem zupkę za parę groszy i dostaję telefon, że Scorpionsi chcą mnie przesłuchać.

Dlaczego właśnie ciebie?

– Wojtek Pogorzelski z Oddziału zarekomendował mnie Aleksowi Malkowi, Polakowi, który pracuje dla Scorpionsów, i zostałem zaproszony na przesłuchania. Nie miałem pieniędzy na dojazd, więc pewna firma ze Szczecina zapewniła mi transport do Hanoweru.

Jak wyglądało przesłuchanie?

– Odbywało się w domowym studiu Rudolfa Schenkera w obecności zespołu i Erwina Muspera, producenta muzycznego, który później pracował przy płycie „Unbreakable”. Zespół zagrał mi nową piosenkę, a ja dograłem do niej bas. Spodobało się. Zobaczyli, że jestem sprawny, szybko reaguję i mam dobre brzmienie. Moja pięciostrunowa gitara Music Man ma głęboki, niski dźwięk i Matthias później w wywiadach mówił, że brzmiałem, jakbym się naestroił o oktawę niżej od innych basistów.

Cofnijmy się ze dwie dekady, do twojego nastoletniego pokoju. Jakie plakaty wisiały na ścianach?

– Pink Floyd. Piękny, kolorowy plakat z sylwetkami muzyków, jedyny, jaki miałem. Pokój dzieliłem z babcią słuchającą kołchoźnika, czyli radyjka z jedną galką, które odbierało tylko Program 1 Polskiego Radia. Na szczęście sąsiad za ścianą był rockandrollowcem, zaprosił mnie i puścił AC/DC. Muzyka piekiel! Nie spodziewałem się takiego uderzenia. Miałem wtedy sześć, może siedem lat i to mnie powaliło.

Zacząłem grać dość wcześnie. Ze starszymi kolegami z Wieliczki miałem zespół Poziom 5. A koledzy mieli gramofon i świetną kolekcję płyt. Zaczynaliśmy od progresywnego rocka, byliśmy zafascynowani takimi grupami jak Rush, King Crimson, Camel czy Jethro Tull. Słuchaliśmy winyli, zachwycaliśmy się brzmieniem i wykonaniem, próbowaliśmy grać podobne rzeczy.

Co z cięższymi brzmieniami?

– Mój ojciec mieszkał osobno, w drugiej części miasta. Kiedyś dorwał mnie jego sąsiad, miał ksywę Kicha: „Chodź tu, mały”. Pokój miał zaciemniony, zasłonięte firany. Zaświecił świeczki, położyłem się na kanapie, a on odpałił pierwszą płytę Black Sabbath. Tak doświadczyłem prawdziwego hard rocka, w połączeniu z odpowiednią oprawą wizualną.

Ojciec też był fanem muzyki?

– Tak, był zafascynowany muzyką jazzową i jazzrockową. Dał mi pierwszą gitarę i uczył mnie pierwszych dźwięków. „Nie graj tego brytyjskiego big-beatu, graj jak Jaco Pastorius, szesnastki na basie” – namawiał. Płacząc się pomiędzy tymi światami.

W latach 80. grałeś w kilku kluczowych grupach ówczesnej krakowskiej sceny.

– Zacząłem grać jako 14-latek, już dwa lata później jeździłem na próby do Dworcu Białoprawnickiego. Grałem w jazzrockowej grupie Project. Kiedy kończyliśmy, próbę rozpoczynał zespół Düpa prowadzony przez świętej pamięci Piotra Marka, legendę polskiego undergroundu. Oni mnie przyzywali i stąd ta ksywka Bejbi, bo taki jeszcze byłem młody. W Düpa na basie grał Franz Dreadhunter, ale zastępowałem

NIE BOJĘ SIĘ JUŻ NICZEGO

– Chłopcy chcą pokazać, że są równie mocni jak Rolling Stonesi
– basista Paweł Mąciwoda-Jastrzębski opowiada o swojej krętej drodze do Scorpions.



go, kiedy był zajęty z innymi zespołami. To było dla mnie poważne przeżycie, Piotr Marek był wyjątkowym artystą. Muzyka jazzrockowa była radosna, a tu trafiłem w klimaty tak ciemne jak obrazy Piotra.

Po jego samobójczej śmierci powstał zespół Püdeli, z którym pojechaliśmy do Jarocina. Dostaliśmy nagrodę dziennikarzy, ale też zostaliśmy obrzuceni pomidorami, cytrynadą i śmierdzącymi jajkami za utwór „Hoża moyra”. Polscy pseudorastafarianie źle go odebrali. Nie chwycili żartu.

W 1986 r. w Jarocinie byłeś ledwie pełnoletni, niezły początek kariery.

– Chwilę później grałem już w zespołach Little Egoist i Walk Away, a więc zacząłem skłaniać się ku jazzowi. Rocka jednak nie porzuciłem, bo nagrywałem z Piotrem Zanderem, gitarzystą Lombardu, jego solową płytę. Z nim również występowałem w Jarocinie.

Nadciągają lata 90., pojawiają się nowe możliwości. Ty wyjeżdżasz.

– W 1988 roku usłyszałem Milesa Daviesa na Jazz Jamboree i to zmieniło moje życie. Po koncercie graliśmy z Walk Away jam session w klubie Remont i muzycy Daviesa przyszli nas posłuchać i trochę pograć, m.in. klawiszowiec Adam Holzman, basista Benny Rietveld i pianista Michel Petrucciani. Będąc na scenie o krok od tych muzy-

ków, stwierdziłem: „Pierdolę to, wyjeżdżam z tego kraju, tu nie ma groove’u! W Ameryce jest groove”. Udało się w 1990 roku – wyjechałem z Urszulą i Staszkiem Zybowskim do Stanów Zjednoczonych.

Wyruszyłeś tam na poszukiwanie groove’u, a trafiłeś do industrialno-metalowego projektu Genitorturers. W Polsce mało znanego, ale równie interesującego, co kontrowersyjnego.

– Siła wyższa działa w przedziwny sposób... Wiesz, jak się nazywa muzyk bez dziewczyny?

Nie.

– Bezdomny. Ale wtedy mieszkalem w Orlando, na Florydzie, u pewnej amerykańskiej niewiasty. Mówiła mi: „Dobrze grasz, więc chociaż sprawdź jakieś ogłoszenia”.

Rzeczywiście, znalazłem ogłoszenie: zespół szuka basisty. Odpowiedziałem i przyjechała mnie przesłuchać Gen Zimmerman, liderka Genitorturers. Jej zespół okazał się czymś, czego nie wyobrażałem sobie nawet w snach! Gen pracowała wtedy na pogotowiu, przy transplantacji oczu – jeździła do wypadków i ze świeżych trupów wydobywała galki oczne do przeszczepów. Może dlatego jej muzyka była tak drastyczna? Bardzo niskim, charczącym, przesterowanym głosem śpiewała teksty o naprawdę ciężkich tematach.

Częścią show był krzyż św. Andrzeja, do którego przymocowane były kajdanki. Gen wybierała ochotników z publiczności, przykuwała ich do krzyża kajdankami i przebiwała tym ludziom wszystko, cokolwiek sobie zażyczyli. My do tego graliśmy instrumentalny podkład.

Genitorturers było dla mnie olbrzymim szokiem kulturowym. Pochodziłem z katolickiej rodziny, w Polsce nawet muzyka rockowa była grzeczna. A w Stanach trafiłem do totalnego undergroundu, za chwilę pojechaliśmy w trasę z Gwar. Jestem szczęściarzem, że mogłem tego wszystkiego doświadczyć.

To jednak nie była twoja muzyka.

– Ciągnęło mnie do funku, jazzu i bluesa. Zostawiłem Florydę i pojechałem do Nowego Jorku. Tam znalazłem skład, które bardziej odpowiadały mi stylistycznie.

Czemu więc wróciłeś do Polski?

– Odwiedziłem Polskę w 1998 roku, po ośmiu latach przerwy. Grałem wtedy koncerty z TSA. Byłem zachwycony! Nowy Jork jest miastem, które nie rozpieszca. Jeśli nie potrafisz oprzeć się jego sile, padasz. Ja padłem, wypaliłem się, miałem go dość. Tymczasem Polska szybko zmieniała się na lepsze. Miałem w Stanach żonę, więc musiałem wrócić, ale podświadomie już czułem, że coś się zmieniło i chcę do domu. Przyjechałem więc do Polski i trafiłem do Oddziału Zamkniętego.

Tu wracamy do chwili, w której dołączasz do Scorpions. Dobrze znałeś zespół? Jak sobie wyobrażałeś jego funkcjonowanie?

– Scorpions znałem z radia, głównie „Wind of Change”, „Rock You Like a Hurricane”, „Still Loving You” i kilka innych utworów. Zawsze byli obecni, ale nie zasłuchi-

Jem zupkę za parę groszy
i dostaję telefon, że Scorpionsi
chcą mnie przesłuchać



wałem się w ich płytach, poza pierwszymi dwoma, w młodości. Przygotowując się do przesłuchań, zauważyłem jednak, że Scorpions mają sporo wspólnego z tymi polskimi zespołami rockowymi, w których grałem, choćby z TSA. Natychmiast poczułem się komfortowo.

Natomiast moi obecni koledzy z zespołu... No cóż, to starsi panowie, którzy całe to rockandrollowe szaleństwo mają już za sobą i są skoncentrowani wyłącznie na muzyce. Lubią grać i tworzyć, chcą nagrywać nowe płyty, ciągle mają energię niezbędną do występowania na scenie. Trafiałem do bardzo profesjonalnego zespołu z niemiecką organizacją i skupionego na konkretnych celach.

Ledwie zdążyłeś się zaaklimatyzować, gdy Scorpions zaczęli rozglądać się za wyjściem. Byłeś rozczarowany informacją, że w 2010 roku rozpoczyna się pożegnalna trasa grupy? Dzisiaj już wiemy, że nie było się czego bać, od tamtej pory wydaliście nawet kilka albumów studyjnych.

– Z jednej strony muzycy chcieli odpocząć od sceny, z drugiej ówczesny menedżer, dziś już nieżyjący, zaproponował taki chwyt marketingowy. Od 12 lat jestem niepijącym alkoholikiem, więc nie boję się już niczego, ale wtedy jeszcze piliem i powiem ci szczerze: tak, trochę się bałem. Nadzieja wracała z każdym kolejnym zapowiadającym koncertem, aż w końcu dowiedziałem się, że gramy dalej.

Scorpions to zespół, który przeżył nie drugą, ale już trzecią i czwartą młodość. Koncerty gracie świetne, nowe płyty są udane, publiczność to docenia, więc po co wstawać od stołu, skoro idzie karta? – To prawda. Znam ich już na tyle, żeby ci powiedzieć, że te chłopaki nigdy się nie poddadzą. Oni mają tyle energii! Nie lubią

siedzieć w domu, uwielbiają grać przed publicznością. Jasne, to wyzwanie, bo koncertowanie w tym wieku nie jest łatwe, ale jak tu nie wchodzić na scenę, skoro gramy już dla trzeciej generacji, dla wnuków, którym bardzo się to podoba.

Co właściwie im się podoba?

– Scorpions ma dobry, szczyry, prosty przekaz. Tu nie ma żadnej filozofii. Siłę tego zespołu można streścić trzema słowami: peace, love & rock'n'roll. Ale jest coś jeszcze... Mam wrażenie, że chłopcy chcą pokazać, że są równie mocni jak Rolling Stones. Czuję lekką, podskórną, zdrową rywalizację. Cóż, niedługo 60-lecie naszego zespołu!

Mówisz, że Rudolf i Klaus wciąż czują radość, wychodząc na scenę? A nie ma w tym też strachu przed życiem, które mogliby mieć, gdyby nie było tej sceny?

– Czasem padają takie pytania, ale odpowiedź zawsze jest jedna: Jesteśmy takimi szczęściarzami, że możemy robić to, co kochamy, że niczego więcej nam nie trzeba. Każdy muzyk o tym marzy.

I granie setki, tysiące razy z rzędu takiego „Wind of Change” nie wychodzi wam bokiem?

– Nie, to się nie nudzi. Każdy koncert jest inny, bo jest inna publiczność. A ludzie nie lubią niespodzianek. Jak idziesz do kina na „Gwiezdne wojny”, to nie oczekujesz innego zakończenia, chcesz zobaczyć oryginał. Przyznaję, jako słuchacz byłem kiedyś zmęczony „Wind of Change”, bo słyszałem to w radiu tyle razy... Z drugiej strony ta piosenka pojawiała się zawsze, kiedy miałem jakieś wahania. Zatrzymałem się na stacji benzynowej, źle się czuję i nagle słyszę, że leci „Wind of Change”. Aha, dziękuję Opatrzności za znak. Trzeba myśleć pozytywnie, nie jest tak źle.

Odgrywanie znanych hitów to jedno, ale Scorpions wciąż tworzy. W dodatku na ostatniej płycie, czyli „Rock Believer”, znalazła się piosenka twojego autorstwa – „Peacemaker”.

– Na etapie kompletowania materiału wysłałem Rudolfowi demówki pięciu czy sześciu utworów mojego autorstwa. Grałem w nich na gitarze, na basie Rafał Mazur, jazzowy muzyk, który gra świetnie rocka. Okazało się, że tekst „Peacemaker”, wcześniej napisany przez Klause, siadł z jednym z tych utworów bez żadnych korekt. To jest właśnie magia muzyki – okazuje się, że po 20 latach grania w zespole, kiedy komponuję rockową piosenkę, myślę jak Rudolf.

Twoi koledzy ze Scorpions są już dobrze po siedemdziesiątce, a przecież granie dwugodzinnych koncertów rockowych to duże fizyczne obciążenie. Jak sobie radzicie z tym wyzwaniem?

– Lekarz jeszcze z nami nie jeździ, ale korzystamy ze stałego wsparcia masażystów i chiropraktyków. Rudolf zawsze wbiega na scenę, a po koncercie z niego zbiega. To prawdziwy sportowiec.

Granie w zespole rockowym, w dodatku odnoszącym sukcesy, oznacza też pokusy, które nie były ci obce. Od lat nie pijesz, gratuluję. Niestety, twój były kolega ze Scorpions niedawno przegrał z nalogami.

– Z Jamesem Kottakiem, o którym mówisz, spędzałem bardzo dużo czasu, bo dzieliłiśmy garderoby i środki transportu. Dużo rozmawialiśmy, ale też dużo razem imprezowaliśmy. James był moim kolegą do picia. Miał fantastyczną, zabawową energię, więc szaleliśmy razem. Rzadko płacił rachunki, ale nawet to mi nie przeszkadzało. W 2013 roku poszedłem na spotkanie AA, przyznałem się przed samym sobą, że jestem alkoholikiem, i dostałem nowe życie. Narodził się nowy, lepszy Paweł. Strasznie żałuję, że James nie poszedł tą drogą, często o tym rozmawialiśmy. Podał mi nawet swoją „Wielką księgę AA” po angielsku...

Skoro ją miał, to znaczy, że próbował.

– Wielokrotnie. Ale wręczył mi ją z komentarzem, że życie bez alkoholu jest dla niego zbyt nudne. Nie przyznał się nigdy sam przed sobą, że ma prawdziwy problem, nie zrobił tego pierwszego kroku. Jeśli więc mogę służyć jakąkolwiek radą ludziom, którzy mają problem z narkotykami lub alkoholem, chciałbym powiedzieć, że od tego właśnie trzeba zacząć – od pokory i przyznania się, że problem istnieje. I naprawdę można z tego wyjść, jestem tego najlepszym przykładem.

W dodatku tak otwarcie o tym mówisz.

– To kolejny etap trzeźwienia. Dojrzałem do tego, że jeżdżę z posłaniem do młodzieży, spotykam się z nimi w szkołach, odpowiadam na pytania. Nikogo nie nawracam, nie namawiam do abstynencji, ale być może opowiadając o własnych doświadczeniach, będę w stanie uratować chociaż jedną duszyczkę. Może choć jeden młody człowiek przed sięgnięciem po jakąś używkę powie sobie: „Pamiętam rozmowę z Mąciwodą, nie zrobię tego”. To byłby prawdziwy sukces.

Twój zawód, niestety, sprzyja nalogom. Nie sama muzyka, ale to, co dzieje się wokół – z jednej strony straceńczy, rockandrollowy mit, z drugiej pokoncertowa codzienność, znajomi w każdym mieście, którzy zawsze chętnie postawią.

– Dopóki byłem nietrzeźwy, nie potrafiłem regulować swojej energii, traciłem mnóstwo czasu na rzeczy nieważne, choćby niepotrzebne imprezy, nadużywanie alkoholo-

lu i narkotyków. Zawsze chciało się więcej i więcej, ego nietrzeźwego Pawła ciągle nie mogło osiągnąć satysfakcji. Dokładnie tak jak śpiewa Mick Jagger: „I can't get no satisfaction”. Popelniałem błędy, brakowało mi równowagi, zacząłem chorować. Miałem stany depresyjne, nie wstawałem z łóżka całymi dniami. Chciałem nawet popełnić samobójstwo. Brakowało mi zrozumienia tego, co się dzieje wokół, szacunku dla siebie, miłości. Teraz już wszystko mam i wybieram dla siebie i mojej rodziny rzeczy zdrowe, i robię to świadomie. Panuję nad swoim życiem, stwarzam swój świat i w pełni go kontroluję. Wszystkim tego życzę – to prostsze, niż się wydaje. Mówisz, że muzycy piją? Przecież w Polsce piją wszyscy, rozejrzyj się.

Granie w Scorpions dało ci dostęp do miejsc i ludzi, o których wielu z nas marzy.

– Rzeczywiście, poznałem wspaniałych muzyków, choćby Lenny'ego Kravitz, Aerosmith czy Lemmy'ego Kilmistera z Motörhead, bo sami jesteście gwiazdami podobnego formatu. Chociaż ja się śmieję, że nie jestem gwiazdą, tylko gram z gwiazdami w jednym zespole. Kiedyś byłem zafascynowany tymi wszystkimi idolami, stawiałem ich na piedestale, a to przecież normalni ludzie. Teraz to rozumiem i już nie szukam towarzystwa, nie gonię za splendorem. Przed koncertem wolę się wyciszyć. Chyba że ktoś przyjdzie do nas – ostatnio odwiedzili nas w garderobach muzycy Iron Maiden i było bardzo miło.

Już nie ma takich gwiazd, które sam chciałbyś zacząć?

– Wiem, jak to jest, kiedy próbujesz zjeść w spokoju śniadanie i nagle ktoś podbiega, wołając: „Oooo, can I have a picture with you?!”. To może być irytujące, dlatego nie przeszkadzam. Kiedyś widziałem Stinga na śniadaniu, bo nocowaliśmy w tym samym hotelu, ale nie podszedłem, nie zwracałem mu głowy, chociaż go uwielbiam. Może poznam go innym razem?

Nie zaprzepaściłem za to szansy poznania Steviego Wondera. Nagrywaliśmy w Los Angeles płytę „Humanity – Hour I” i w sklepie muzycznym, w sekcji klawiszy, natknąłem się na Steviego. Bałem się jednak do niego podejść. Kilka dni później zobaczyłem go w hotelu, w którym mieszkalem. „Tym razem nie zmarnuję okazji!” – powiedziałem sobie. Podszedłem do jego ochroniarza, przedstawiłem się i zapytałem, czy mogę uściśnąć Steviego. To było dla mnie bardzo ważne, bo Stevie Wonder jest ideałem. ●

Paweł Mąciwoda-Jastrzębski

• ur. w 1967 roku w Wieliczce. Basista znany światu z rockowej legendy Scorpions, w której skład wchodzi już od dwóch dekad. W Polsce grywał m.in. w Püffelsach, Little Egoists, TSA, Walk Away i Oddziale Zamkniętym.



26 lipca Scorpions zagrają na PGE Narodowym w Warszawie jako gwiazda imprezy Warsaw Rocks. Obok nich wystąpią Europe, Omega Testament i Dżem.

JAK OSZUKAĆ ŚMIERĆ

Z NICKLASEM BRENDBORGIEM
ROZMAWIA KASPER KALINOWSKI

FOTJEFTA IMAGES/FUTURE PUBLISHING VIA GETTY IMAGES

Naśladować rekina polarnego, meduzę z rodzaju Turritopsis czy drzewo? A może ożenić się z niską kobietą z południa Europy?

KASPER KALINOWSKI: Czy możemy oszacować, który z nas będzie żył dłużej? **NICKLAS BRENDBORG:** Odpowiem wymijająco. Wiele zależy od genów, ale też od środowiska, w jakim dorastamy. Przy czym ani Polska, ani Dania nie może się pochwalić statystykami długości życia w zestawieniu np. ze Szwajcarią, z Włochami czy Hiszpanią.

Pan pochodzi z zamożnego kraju wysokich ludzi. Jedno i drugie intuicyjnie kojarzy się z długowiecznością. Więc dlaczego niscy żyją dłużej?

– W całym królestwie zwierząt mniejsze osobniki przeważnie żyją dłużej. Mniejsze rasy psów żyją dłużej niż duże, kuce dłużej niż konie. Również w przypadku ludzi. Francuzka Jeanne Calment, umierając w wieku 122 lat i 164 dni, ustanowiła rekord długości życia, lecz długowieczność nie była u niej jedyną nietypową cechą. Drugą był wzrost – mierzyła zaledwie 150 cm. Kolejne na liście są Amerykanka Sarah Knauss – 140 cm, dalej Marie-Louise Meilleur – 150 cm, i Emma Morano – 152 cm.

Gdy wejdziemy na poziom populacji, jest podobnie. Mieszkańcy krajów Europy Północnej umierają wcześniej niż Południowej czy Azji Południowo-Wschodniej. Mimo że ci pierwsi są bogatsi. Latynosi również żyją dłużej niż biali Amerykanie, mimo że to ci drudzy teoretycznie „powinni” w tym przodować: są bogatsi, lepiej wykształceni i mają nieco niższe wskaźniki otyłości. Ale Latynosi są niżsi.

Jednak jeśli jesteś wysoki – spokojnie. To tylko średnia statystyczna. Rzecz jasna mamy dużych ludzi, którzy żyją długo, i ma-

łych, którzy umierają wcześniej. Wzrost nie jest jedynym kluczowym czynnikiem, ale jednym z wielu obserwowanych.

Zamożność, o której wspominałeś, też nie jest bez znaczenia. Mieszkańcy Indii czy wielu krajów Afryki nie należą do najwyższych, a nie żyją zbyt długo – to jednak w dużej mierze wynika z fatalnych systemów opieki zdrowotnej, ubogiej diety i stylu życia (palenie papierosów!) – a nie ze wzrostu.

Tylko dlaczego akurat wzrost?

– To nie wzrost sam w sobie skraca nam życie. Podobnie jak nie sam hormon wzrostu sprawia, że rośniemy. On wędruje do wątroby, tam wiąże się ze swoimi receptorami, a wątroba produkuje inny hormon – IGF-1, czyli insulinopodobny czynnik wzrostu 1. I to on sprawia, że rośniemy. Okazuje się, że długowieczne myszy Ames, które żyją najdłużej spośród wszystkich myszy, mają niskie stężenie IGF-1. Z kolei u nicieni jednym z najskuteczniejszych sposobów na przedłużenie im życia jest podanie IGF-1. Jak to wyjaśnić? IGF-1 pełni w organizmie wiele funkcji, a części z nich nie znamy.

W 1958 r. izraelski lekarz Zvi Laron zaczął wraz ze współpracownikami badać szczególną grupę pacjentów. To potomkowie Żydów, którzy opuścili Hiszpanię i osiedlili się w Ameryce Południowej. Dość odizolowana grupa. Pacjenci Larena mierzyli około 120 cm, ale ich proporcje ciała były zachowane. Nie występowały krótkie kończyny i duże głowy charakterystyczne dla niskorosłości. Okazało się, że pacjenci z zespołem Larena, jak się obecnie go nazywa, są niscy z powodu mutacji genetycznej związanej z hormonem wzrostu. Chodzi o wadę receptora hormonu wzrostu, czyli receptora odpowiadającego za wykrycie tego hormonu przez komórki i jej reakcję na niego. Sygnał hormonu wzrostu nigdy nie trafia do wnętrza ich komórek. Przez cały okres badań odnotował tylko jeden przypadek nowotworu. Ci ludzie są również odporni na schorzenia układu sercowo-naczyniowego i cukrzycę. Nie wiemy jednak, czy żyją dłużej – ze względu na niski wzrost często ulegają wypadkom.

A co z kobietami? W każdym kraju żyją dłużej – również chodzi o wzrost?

– Kobiety są z reguły niższe od mężczyzn. Wydaje się też, że do czasu menopauzy mają niższe ryzyko wielu chorób, choć po menopauzie różnice między płciami przestają być widoczne. Na chromosomie X znajduje się wiele genów, które odpowiadają za funkcjonowanie układu odpornościowego. W przeciwieństwie do mężczyzn, kobiety mają dwa takie chromosomy.

Młode kobiety mają większe szanse na przeżycie już w okresie niemowlęcym. W czasach historycznych to było niezwykle przydatne – dziewczynki były bardziej odporne, gdy panował głód lub wybuchała zaraza. Być może dlatego, że z perspektywy gatunku są cenniejsze – mężczyzna może przekazywać geny praktycznie bez przerw, do późnego wieku, i nie ogranicza go czas trwania ciąży.

Zauważmy, że w każdym kraju na świecie rodzi się nieco więcej chłopców, ale nie ma to znaczenia dla proporcji płci w populacji – przez całe życie umiera więcej chłopców i mężczyzn. Dlatego w starszym wieku jest już znacznie więcej kobiet niż mężczyzn.

Może dlatego, że kobiety nie grają w rosyjską ruletkę czy „w tchórze” samochodami, co zdarza się młodym mężczyznom?

WXIX w. Francuz Paul Bert uznał, że dobrym pomysłem będzie zszycie ze sobą dwóch myszy. Ich krwiobieg połączyły się w jeden. Gdy w 2005 r. na Uniwersytecie Stanforda zszycie ze sobą dwie myszy, zaobserwowano, że starsza odmłodziła

– Również. Testosteron jest niezwykle kosztowny dla posiadacza. Osłabia funkcjonowanie układu odpornościowego. Powoduje, że mężczyźni są bardziej aktywni, a podobnie jak większa masa mięśniowa i wyższy popęd, to bardzo kosztowne energetycznie dla organizmu.

Dokładny mechanizm pozostaje nieznanym, ale widzimy taką zależność u każdego gatunku ssaków. Nawet w przypadku tych nielicznych, u których samce i samice są tej samej wielkości, długość życia się nie zmienia – samice również żyją dłużej.

A jak to się dzieje, że możemy dorastać w identycznych warunkach, a starzeć się inaczej niż nasze rodzeństwo?

– Geny oczywiście mają wpływ i jak w przypadku każdej cechy, istnieje pewna dziedziczność, więc warto mieć długowieczną rodzinę – ale jednak to zaskakująco mało istotny składnik w porównaniu z innymi. W jednym z badań wykazano, że w przypadku długości życia istnieje wyższa zależność między małżonkami niż rodzeństwem. Zaskakujące, bo przecież geny dzielisz z rodzeństwem, nie z żoną czy mężem – a jednocześnie dowód na to, że środowisko jest o wiele ważniejsze niż geny.

Ale istnieje również trzeci czynnik, o którym nieco zapominamy, choć jest oczywisty: to zdarzenia losowe, jak wypadki czy choroby. One również nie są dziedziczne.

Czyli jeśli jestem mężczyzną, muszę poślubić niską kobietę z południa Europy. I żyć dłużej.

– Tak, to wygląda na dobry plan. O ile wykluczmy palenie papierosów, które na globalnym Południu jest bardziej popularne.

My rozmawiamy o długowieczności, a w tym czasie komórki naszego organizmu popełniają samobójstwo. Czemu to służy?

– Komórka popełnia samobójstwo, które nazywamy apoptozą, dla dobra całego organizmu – poświęca się, gdy wyczuwa, że coś jest nie tak, na przykład doznaje jakiegось uszkodzenia. Niektóre komórki dokonują apoptozy, gdy przeżyją określony czas

i wypełnią swoje zadania. A komórki, które nazywamy nowotworowymi, to w zasadzie te, które przestały przestrzegać zasad współpracy. Rosną i w konsekwencji zabijają organizm.

Każdego dnia wskutek apoptozy tracisz od 50 do 70 mld komórek. Liczba wydawałaby się z kosmosu, a jednak to tylko ułamek całego zasobu – w naszym ciele znajduje się 37 bln komórek nerwowych. Poza tym organizm potrafi je łatwo zastępować.

A jaki ewolucyjny sens ma starzenie się? Jeśli celem każdego organizmu jest przekazanie genów, powinniśmy żyć wiecznie. Bo wieczne życie to wieczne rozmnażanie się.

– To bardzo dobre pytanie, bo owszem, im dłużej żyjesz, tym więcej potomstwa możesz zostawić. Ale znowu, chodzi o gospodarowanie ograniczonymi zasobami przez poszczególne gatunki.

Wyobraź sobie nieśmiertelne myszy, które żyją nie w sterylnych warunkach laboratoryjnych, ale w naturze, w polu. Większość i tak zostanie zjedzona, raczej nie skorzysta z korzyści wiecznego życia, więc w ich przypadku bardziej sensowne wydaje się wykorzystanie czasu i energii na reprodukcję. Spłodzenie tak wiele potomstwa tak szybko, jak to możliwe. Co innego gatunki, które mają mniej naturalnych wrogów – u nich okres rozmnażania się może być dłuższy. Dlatego w przypadku słoni czy ludzi ewolucja długiego życia ma więcej sensu.

Może powinniśmy trochę zwolnić? Rekin polarny porusza się z prędkością 3 km na godz., a to najdłużej żyjący kręgowiec.
– Tak, rekordziści żyją prawie 400 lat. Rekin polarny bardzo interesują naukowców, bo choć nie są naszymi bliskimi krewnymi, to mają serce, mózg, wątrobę, nerki, układ trawienny i wiele innych wspólnych rzeczy, które obserwujemy u ludzi.

Są też organizmy, które w teorii mogą żyć wiecznie, jak pewna meduza. Możemy się od niej czegoś nauczyć?
– Ta niepozorna, małutka meduza z rodzaju *Turritopsis* zasługuje na główną nagrodę w konkursie „Jak oszukać śmierć?”. Kiedy środowisko jest pełne stresu – na przykład z powodu braku pożywienia, nagłej zmiany temperatury wody albo wzrostu liczebności drapieżników – dzieje się coś niezwykłego: przekształca się ze swojej postaci dorosłej z powrotem do stadium polipa. Czyli w istocie młodnieje.

Brzmi jak mechanizm absolutnie doskonały, lecz tylko w teorii. W praktyce *Turritopsis* żyją kilka miesięcy, bo i tak coś je w końcu zjada. Ale w bezpiecznych warunkach laboratoryjnych byłyby w stanie żyć wiecznie – i dlatego prowadzi się nad nimi wiele badań. Na przykład badacze z Altos Labs w Kalifornii próbują zaszczyć ten mechanizm u myszy.

A Henrietta Lacks? Jej komórki okazały się nieśmiertelne.

– To wyjątkowa, a zarazem tragiczna historia. Henrietta Lacks była Afroamerykanką, która zachorowała na raka. Za nim zmarła, z pobranych z jej szyjki macicy komórek założono hodowlę laboratoryjną i zaczęto je badać. W tamtym czasie, w połowie zeszłego stulecia, wyhodować ludzkie komórki było naprawdę trudno – a komórki Henrietty doskonale rosły w hodowli. W laboratoriach na całym świecie mamy już około 50 ton jej komórek, znajdziesz je pewnie również na każdym uniwersytecie w Polsce. A wyprowadzona od nich linia komórek HeLa stała się wręcz nieśmiertelna.

Za tym cudem – nieśmiertelnością komórek nowotworowych Henrietty Lacks – stoi enzym zwany telomerazą. W procesie infekcji wirus włączył u Henrietty gen, który produkuje telomerazę, nadając jej komórkom zdolność ciągłego wydłużania telomerów, a zatem nieustających podziałów. To dość korzystne z perspektywy nowotworu, ale śmiertelne dla posiadaczki.

Pytanie brzmi, jak pożenić unieśmiertelnienie komórek z unieśmiertelnieniem całego organizmu. Ciągłe wydłużanie telomerów jest zabójcze, ale może udaloby się wydłużyć życie, zatrzymując ich skracanie się? Badacze wyhodowali myszy z superdługimi telomerami. Okazało się, że takie myszy nie tylko są szczuplejsze niż „zwykłe”, ale także mają lepszy metabolizm i wolniej się starzeją.

Jednak nie sposób przełożyć tych wyników na ludzi. Po pierwsze, u gryzoni telomeraza jest aktywna we wszystkich komórkach. Po drugie, myszy nawet bez manipulacji badaczy rodzą się ze znacznie dłuższymi telomerami niż my. No i telomery nie są jedynym warunkiem zachowania młodości, bo gdyby były, myszy żyłyby o wiele dłużej od nas. Tymczasem trudno im dożyć kilku lat, bo często zapadają na nowotwory.

A rośliny? Drzewa są niezwykle długowieczne.

– Tak, i w przeciwieństwie do ludzi z każdym rokiem stają się większe i silniejsze. Niestety, im większy rozmiar, tym większa szansa, że w końcu połamie je wiatr. Jednak niektóre drzewa są naprawdę stare. Jeden z najstarszych okazów to Methuselah vel Matuzalem, osobnik sosny długowiecznej liczący około 5 tys. lat. Znamy też Pando – superorganizm, lasek pozornie osobnych drzew, ale połączony ogromną siecią korzeni. Pando ma około 14 tys. lat i wciąż wypuszcza nowe pędy.

Przypomina więc trochę homary.
– Homary również nie starzeją się tak jak ludzie. Z wiekiem nie stają się słabsze. Nie tracą również płodności. Jednak w pewnym momencie stają się na tyle duże, że ich ciała nie mogą już sobie z tym poradzić. To problemy fizyczne, np. z poruszaniem się, stają się dla homarów głównym problemem, nie samo starzenie się.

Wróćmy do drzew. W jednym z eksperymentów posadzono drzewa, które izolowano od wiatru – i wszystkie umarły. Ludzie też potrzebują stresu, aby żyć dłużej?
– Zdecydowanie. To dziwne i złożone zjawisko. Jeśli chcemy, aby samochód działał jak najdłużej, to intuicyjnie uznajemy, że najlepszym rozwiązaniem będzie nie przeciążać go, nie jeździć zbyt często w trudnych warunkach. Ale organizmy biologiczne w niektórych obszarach wręcz trzeba stresować.

Budowanie wytrzymałości poprzez zmagania z trudnościami biolodzy nazywają hormezą. Ćwiczenia fizyczne są oczywiście przykładem – to tak naprawdę świadome uszkodzanie mięśni, aby się zregenerowały. Do tego towarzyszą im wysokie ciśnienie krwi i tętno, co obciąża serce i naszcynia krwionośne. Ale to właśnie uszkodzenia są w tym przypadku absolutnie kluczowe – dzięki nim stajemy się silniejsi, bo zmuszamy ciało do aktywacji różnych mechanizmów, które następnym razem zwiększą odporność.

To może powinniśmy się na co dzień więcej stresować?

– Cóż, to zjawisko trudne do zbadania i bezpieczniej nie dawać jednoznacznej odpowiedzi. Niemniej można zauważyć, że ludzie, którzy nie natrafiają w życiu na wyzwania czy problemy do rozwiązania, mogą się stać w pewnym sensie zgnuśniali, a czasem nawet popaść w depresję. Wygląda na to, że jesteśmy gatunkiem, który wyewoluował po to, aby mieć problemy i je rozwiązywać.

Ważną rzeczą, o której należy pamiętać, jest to, że istnieje pewne optimum. Organizm musi być w stanie naprawić szkody, które mu wyrządzamy. Nawet podczas ćwiczeń można się przetrenować, przez co spada sprawność. To samo dzieje się, jeśli bardzo stresujesz swój umysł. Nie masz wtedy czasu na regenerację. To nazywamy przewlekłym stresem.

Niektóre badania przeczą intuicji. Na Tajwanie doszło do zanieczyszczenia pewnej partii stali radioaktywnym kobaltem-60.

Ludzie, którzy nie natrafiają w życiu na wyzwania czy problemy do rozwiązania, mogą się stać w pewnym sensie zgnuśniali, a czasem nawet popaść w depresję. Wygląda na to, że jesteśmy gatunkiem, który wyewoluował po to, aby mieć problemy i je rozwiązywać

Stal wykorzystano do wybudowania ponad 1,7 tys. mieszkań, z czego nikt nie zdawał sobie z tego sprawy aż do lat 90. A mieszkańcy tych bloków żyli dłużej niż przeciętny Tajwańczyk. Albo amerykańscy stoczniowcy, którzy pracują przy okrętach podwodnych z napędem atomowym – cechuje ich niższy wskaźnik śmiertelności niż pracowników zwykłych stocznii. Ba, wśród ogółu populacji USA ludzie z obszarów o podwyższonym poziomie promieniowania tła żyją dłużej niż przeciętnie. Ale czy warto więc wystawiać się na promieniowanie? W żadnym wypadku. Stresor jest korzystny tylko wtedy, gdy powodowane przez niego uszkodzenia nie przekraczają zdolności organizmu do samonaprawy. Lepiej iść poćwiczyć.

Przypomina to słynne badanie na temat suplementów przeciw wolnym rodnikom. To dobry sposób na... skrócenie sobie życia.

– Wolne rodniki są cząsteczkami, które mogą powodować uszkodzenia tkanek. W tym przypadku chodzi o popularne antyoksydanty. Przedrostek anty- odnosi się do zdolności neutralizacji wolnych rodników. W jednej z metaanaliz obejmującej 68 badań i 230 tys. uczestników sprawdzono, czy suplementy diety zawierające antyoksydanty pomagają żyć dłużej. Okazało się, że nie tylko nie chroniły przed chorobami związanymi z wiekiem, ale wręcz osoby, które je stosowały, umierały młodziej. Możliwe, że sprzyjały również powstawaniu niektórych nowotworów.

Czyli pozostają stare sposoby, jak wychładzanie organizmu. Czemu przedłuża życie?

– W Danii często sięgamy po zimny wchów, wchodzimy do zimnej wody i zarzekamy się, że to przedłuża życie. W przypadku ludzi nie mamy jednak jednoznacznych danych. Istnieją jednak badania na myszach. Gdy genetycznie zmodyfikujemy je tak, by miały niższą temperaturę ciała, będą żyły dłużej.

Co ciekawe, paradoksalnie jednym ze sposobów na uzyskanie niższej temperatury ciała jest odwrotność wchodzenia do zimnej wody. Sauna słusznie wydaje nam się tak zdrowa. Na pierwszy rzut oka przegrzewasz się – ale ponieważ podnosisz temperaturę ciała, ono mówi: „och, muszę ją obniżyć”. Finowie mają wiele badań, z których wynika, że ludzie chodzący latem do sauny mają niższe ryzyko zawału, demencji, chorób krwi.

Do tego możemy chyba dodać posty. Również wydłużają życie.

– Nie przypadkiem to praktyka obecna niemal w każdej religii i kulturze. Pamiętajmy jednak, że w Polsce, jak w każdym kraju zachodnim, mnóstwo osób ma nadwagę. W ich przypadku to oczywiste, że najprawdopodobniej wydłużą sobie życie, jeśli zaczną tracić na wadze i ograniczyć konsumpcję. Bardziej interesujące jest to, czy zdrowa osoba o prawidłowej wadze może, poszcząc, jeszcze bardziej przedłużyć swoje życie? Badania na myszach mówią, że to możliwe. Kluczowe pytanie obecnie brzmi: jak długo musi trwać taki post? Może po prostu po-

minąć jeden posiłek? Czy lepiej pościć cały dzień? Albo trzy dni?

Problem w tym, że trudno prosto przełożyć na ludzi wnioski z badań na myszach. Po pierwsze, jeśli jesteś myszą i pościsz przez jeden dzień, to nie jest to odpowiednik ludzkiego postu przez jeden dzień. Mysz ma wyższy metabolizm, więc to może być równie dobrze nasz post trzy- lub czterodniowy. Jednak efekty krótkookresowych badań na ludziach też są obiecujące i wśród naukowców przybywa zwolenników poszczenia. Oczywiście nie chodzi o bicie rekordu długości postu, który należy do Szkota Angusa Barbieriego. On, mając 27 lat, ważył 207 kg i zrozumiał, że jeśli czegoś nie zrobi, wkrótce umrze. Osiągnął docelową masę ciała – 82 kg – poszcząc 382 dni. Rok i 17 dni bez jedzenia.

Gdy już jesteśmy głodni i zmarznięci, czy możemy zrobić coś jeszcze?

– Nie zaszkodzi trening.

A klasyka powieści grozy, czyli transfuzja młodej krwi?

– Działający na przełomie XIX i XX wieku Aleksandr Bogdanow pod wpływem powieści science fiction i ideałów komunizmu doszedł do wniosku, że ludzie powinni dzielić się krwią. Oprócz leku na starzenie się miał być to krok w kierunku doskonałego społeczeństwa komunistycznego. Metodę testował na sobie. W ciągu dwóch lat przeszedł dziesięć transfuzji. Jedenastej nie przeżył.

Jeszcze wcześniej, bo w XIX w., Francuz Paul Bert uznał, że dobrym pomysłem będzie zszycie ze sobą dwóch myszy. Ich krwiobiegi połączyły się w jeden – zjawisko to nazwano parabiozą. Brzmi makabrycznie – jak jedna z wielu ślepych uliczek, w jakie zapędzali się XIX-wieczni badacze, ale gdy w 2005 r. na Uniwersytecie Stanforda zszyto ze sobą dwie myszy, zaobserwowano, że starsza odmłodziła.

Okazuje się jednak, że jeśli po prostu weźmiesz starą mysz, pobierzesz jej trochę krwi i podasz w to miejsce roztwór soli fizjologicznej, to zadziała tak samo korzystnie, jak podanie młodej krwi. Więc być może to nie młoda krew odmładza, ale stara krew postarza? I są podstawy, by sądzić, że to może działać u nas, ponieważ mamy kilka doskonałych badań na podstawie duńskiego rejestru dawców krwi. Ludzie, którzy regularnie oddają krew, statystycznie żyją dłużej. A im więcej razy oddawali krew, tym większe korzyści odnoszą.

Ostatnio coraz częściej obietnice nieśmiertelności – czy to poprzez połączenie z maszyną, czy przez manipulacje genetyczne – składa nam Dolina Krzemowa? Wierzy w nie pan?

– Wierzę, że w pewnym momencie na pewno do tego dojdzie, choć niekoniecznie my jej doczekamy. Starzenie się to niezwykle skomplikowany problem, ale jednak techniczny. Może nastąpi to w naszym, może w kolejnym pokoleniu, a może za 300 lat. ●



FOT. LES KANER

Nicklas Brendborg

• biolog molekularny z Uniwersytetu w Kopenhadze, uważany za jeden z najbardziej obiecujących talentów badawczych w swojej dziedzinie. Jego bestsellerowa książka „**Klucz do nieśmiertelności. Natura i jej sposoby na długowieczność**” niedawno ukazała się w Polsce w przekładzie Alicji Głuszak, nakładem wydawnictwa Copernicus Center Press. Dostępna w dobrych księgarniach, a w formie e-booka i audiobooka na Publio.pl.

OTWARTE ZWIĄZKI

Trafił nam się poliamoryczny jednorożec.
To znaczy, że każdy w naszej czwórce
kocha każdego.



Ewa Pagowska

Po godzinie rozmowy Kuba się orientuje, że nic z tego nie będzie. Mylę daty, figury i osoby. Gasi papierosa i idzie po kartkę.

– Tu w 2014 r. – rysuje początek osi czasu – w wieku 34 lat zakończyłem ostatni monozwiązek. Trzeci poważny. Jeden z najbardziej spełnionych. Dręczył mnie tylko brak możliwości eksplorowania relacji z płcią przeciwną – miałem zaборcze partnerki.

Rozwijały się aplikacje randkowe. Na wyciągnięcie ręki były osoby o różnych ciekawych preferencjach. O alternatywnych stylach życia – wspomina. – A ja całą młodość przeżyłem w stałych związkach. Byłem seryjnym monogamistą. Nie wyszalałem się. Zaczęło mnie to męczyć. Tym bardziej że zawsze szukałem sposobu wydobyć się spod wpływu naszej opresyjnej kultu-

ry. Wylałem się z tradycyjnego rynku pracy. Poszedłem w sztukę – mówi.

W życiu erotycznym też postanawia się wylać. Najpierw przez cztery lata jest singlem. Osobom, z którymi się spotyka, często mówi otwarcie, że trwałej relacji z nim mieć nie będą. I że chodzi na randki z innymi.

– Ostatnie sześć w poliamorii – Kuba zaznacza kolejny odcinek. Nanosi litery symbolizujące ważne dla niego osoby, niektóre łączy ze sobą, dodaje daty.

– Nie wyobrażam już sobie powrotu do monogamii – stwierdza, gdy wykres jest gotowy.

Kuba. Kompulsywny seks

Okres od 2014 r. do 2018 r. wspomina jako chaotyczny czas.

– Z jednej strony eksplorowałem wolność. Miałem ciekawe przygody. Z drugiej – nie umiałem sam spać. Czasami nawet budowałem jakieś relacje, bardziej przyjacielskie niż seksualne, żeby mieć przy kim zasnąć. Osobowościowo pewnie nie byłem w pełni rozwinięty.

Przeżyłem też wielką miłość – Kuba zaznacza krótki odcinek. – Poznałem dziewczynę, która po dwóch miesiącach powiedziała, że chciałaby spróbować otwartej relacji. Roztopiłem się ze szczęścia. Poczułem się w pełni zaakceptowany. Wcześniej nikt mi tego nie proponował. Ten temat zawsze wywoływał negatywne emocje.

Wkrótce odezwał się jej eks. Zaczęła spędzać z nim czas. Rozumiałem to. Byli ze sobą 4 lata – to oczywiste, że wciąż była zaangażowana emocjonalnie. Tyle że on sabotował naszą relację. Chciałem się z nim spotkać. Powiedzieć, że jeśli kochamy tę samą osobę, nie ma sensu wbijać sobie dzidy w oko. Usłyszałem, że nie warto nawet mu tego proponować.

Związek Kuby zakończył się po 4 miesiącach.

– Trwał krótko, a potem było dużo cierpienia – podsumowuje. – Poszedłem w kompulsywny seks. Przez 9 dni z rzędu uprawiałem go codziennie z kimś innym. Próbowalem sobie to uczucie wybić z głowy. Potem jeszcze wiele razy wracaliśmy do siebie i się rozstawaliśmy. W koń-

cu zdecydowałem się urwać kontakt. Dziś się przyjaźnimy.

Kolejny punkt na osi podpisuje: 2017 r. Wtedy poznaje partnerkę B, z którą przez kilka lat będzie się spotykał. Pół roku później zaczyna psychoterapię. Potrzebuje przestrzeni tylko dla siebie i na 3 miesiące staje się „singlem niespotykającym się”.

– Terapeutka była nieufna wobec „wielozwiązków” – tak to nazywała – wspomina Kuba. – Twierdziła, że mogą wynikać z problemów emocjonalnych, np. z lęku przed bliskością. Kiedy napisałem o tym na poliamorycznej grupie na Facebooku, doradzono szybką zmianę terapeutki. Poliamorycy przekonywali, że jej poglądy są przestarzałe. Podali namiary na terapeutów, którzy są polifriendly.

Kuba. Poliamoria

Kolejny punkt na wykresie – 2018 r.

– Poznaję dziewczynę A. Na drugiej randce łądujemy w łóżku. Rano budzę się ze użytym kondomem przyklejonym do brzucha. Wiem, że nie jest mój – tej nocy nie uprawialiśmy seksu, bo byliśmy pijani.



FOT. GETTY IMAGES

Zaczynam się zastanawiać, jak wygląda jej relacyjny krajobraz. Pytam ją o to na następnym spotkaniu. Mówi: „Jestem poliamoryczna. Mam relacje seksualne z różnymi osobami. Wszystkie o sobie wiedzą. Jesteśmy wobec siebie szczerzy. Darzymy się uczuciem”. Odpowiadam: „Okej, to ja sobie to zbadam”.

– Zbadam, zastanowię się i ewentualnie wrócę?
– Nie, nie. Wiedziałem, że zostanę. Zakochałem się.

Poliamorię długo uważałem za przykrywkę dla męskiego predatorstwa – mówi Kuba. – Ale to, że kobieta wyszła z jej propozycją, sprawiło, że chciałem się temu przyjrzeć.

Zacząłem researchować temat. Otworzył się przede mną bogaty świat, w którym ludzie posługują się innym językiem.

Z dziewczyną A i dziewczyną B wchodzi w związek typu V. – Kuba rysuje linię łamaną, którą łączy dwie litery. – Wszystko dzieliłem na pół – czas, uwagę. Uczyłem się kochać dwie osoby jednocześnie bez wewnętrznego konfliktu. Kiedy A miała kry-

zys, jechałem ją ogarniać i wspierać. Nawet gdy musiałem odwołać randkę z B – mówi i zapewnia, że dla B zrobiłby to samo.

Wśród poliamorystów poznał zasady NVC – Porozumienia Bez Przemocy. Ten sposób komunikowania się został opracowany przez amerykańskiego psychologa Marshalla Rosenberga. Kluczową rolę gra w nim empatia i umiejętność mówienia o swoich uczuciach w sposób, który nie rani innych.

Kuba uważa, że poliamoria wymusza szczerość.

Wymienia słowa, które odzwierciedlają rolę i uczucia nieznanne w monogamicznych związkach, jak „metamur” i „comper-sion”. To pierwsze oznacza partnerkę lub partnera naszego partnera lub partnerki. Drugie – satysfakcję, że osoba, z którą jesteśmy w związku, odczuwa radość, będąc z inną osobą w intymnej bliskości.

Rejestruję się w aplikacji randkowej Feeld
Zaliczam wpadkę językową już na etapie poszukiwania rozmówców do tekstu. My-

ślałam, że szukam osób żyjących w otwartych związkach.

Okazuje się, że ci, o których myślałam, to praktycy konsensualnej niemonogamii (CNM) nazywanej też etyczną niemonogamią (ENM). To termin parasolowy obejmujący różne typy relacji, w których partnerzy dobrowolnie rezygnują z monogamii i wiedzą o sobie nawzajem. Związek otwarty i poliamoria to jej podtypy. W tym pierwszym partnerzy mają kontakty erotyczne poza swoją relacją, ale nie angażują się w nie uczuciowo. W poliamorii dochodzi uczucia.

W poszukiwaniu rozmówców rejestruję się w aplikacji randkowej Feeld. Jej twórcy adresują ją do ludzi „ciekawych” i „osób o otwartych umysłach”. Ma opinię bardzo inkluzywnej, ale mało popularnej. W rubryce „pleć” do wyboru jest 20 pozycji. W słowniku aplikacji sprawdzam znaczenie m.in.: agender (osoba, która nie identyfikuje się ze swoją płcią lub która może identyfikować się jako osoba neutralna płciowo), gender questioning (osoba na etapie ustalania tego, w jaki sposób najlepiej opisać swoją tożsamość) i pangender (osoba identyfikująca się z wieloma płciami). W rubryce „preferencje seksualne” też jest 20 określeń.

Dowiaduję się m.in. że demisexual to osoba, która nie odczuwa pociągu seksualnego do kogoś, z kim nie nawiązała silnej więzi emocjonalnej. GreyA w ogóle rzadko odczuwa pociąg seksualny. Natomiast omnisekualna nie ogranicza swoich erotycznych zainteresowań do osób o określonej tożsamości płciowej lub orientacji seksualnej.

Swoje pragnienia mogę opisać maksymalnie 10 określeniami spośród 45 dostępnych. Jest m.in. monogamia, otwarty związek, BDSM, poliamoria, FWB (związek przyjaciół, którzy od czasu do czasu uprawiają ze sobą seks), bycie dominującym

dyś na wsiach też nieraz chłop miał swoją żonę i żonę sąsiada. Mimo że tam religia zawsze odgrywała dużą rolę. Zapraszanie do związku innych osób też nie jest niczym nowym. Tyle że kiedy nie było internetu, dawało się ogłoszenie do gazety: „Bezpruderyjna para pozna bezpruderyjną parę”.

– Co więc się zmieniło?
– Jest większe dążenie do ekscytacji w seksie. Ludzie chcą więcej i silniej przeżywać – mówi prof. Izdebski. – Obserwuję to mniej więcej od dekady. To nie jest tylko kwestia młodych ludzi, a inicjatorami nie są tylko mężczyźni. Świadomość seksualna kobiet wzrasta i czasem te, które od dawna nie są zadowolone z kontaktów erotycznych ze swoim partnerem, proponują otwarcie związku. Jest na to większe przyzwolenie społeczne. Coraz częściej słyszę o tym pomysłe w poradni. Oczywiście każdy ma do tego prawo. To indywidualna decyzja, ale dobrze, by zdawał sobie sprawę z możliwych konsekwencji. Często po pewnym czasie pojawia się zazdrość, z którą wielu nie umie sobie poradzić.

Rozczarowanie Łukasza

Łukasz wychował się na komediach romantycznych.

– Marzył mi się „Notting Hill”. Mezali-ans. Klasowy, finansowy... jakkolwiek. I wierzyłem, że się uda, ale ostatecznie monogamia mnie zawiodła. Dziś kojarzy mi się z toksycznością. Jak można pogodzić życie we współczesnym świecie, który często wymaga mobilności, z monogamią?

Jak wytrzymać 30 lat z jednym ciałem? Rozumiem – z jedną osobą. Deklaracja: „Chcę być z tobą do końca życia” to najpiękniejszy komplement. Jeśli ktoś jest na to gotowy, jeśli żyje z kimś 30 czy 40 lat, to jakie znaczenie ma to, że przez pół godziny uprawiał seks z kimś innym? – pyta.

Kiedy więc jego była dziewczyna zaproponowała otwarcie związku, chętnie na

Prof. Izdebski: Z moich badań wynika, że 10-12 proc. Polaków żyło kiedyś w równoległych związkach. Nie pytałem jednak, czy ich partnerzy lub partnerki o tym wiedzą

i 14 określeń opisujących seks grupowy, jak np. MMF (konfiguracja: mężczyzna, mężczyzna, kobieta).

Lajkuję osoby, które są w związku (w aplikacji partnerzy mogą łączyć swoje profile). Piszę, że jestem dziennikarką i przygotowuję reportaż. Obiecuję anonimowość i autoryzację wypowiedzi. Poza Kubą – tym, który 10 lat temu zrezygnował z monogamii, na rozmowę umawiam się także z małżeństwem – Kingą (39) i Adamem (38), którzy są razem od 14 lat, oraz Łukaszem (38) i Agnieszką (39) – parą od dwóch lat.

Nie wiadomo, ile osób w Polsce żyje podobnie do nich.

– Z moich badań wynika, że 10-12 proc. Polaków żyło kiedyś w równoległych związkach. Nie pytałem jednak, czy ich partnerzy lub partnerki o tym wiedzą – mówi seksuolog prof. dr hab. Zbigniew Izdebski i dodaje: – Co ciekawe, to się od lat utrzymuje na podobnym poziomie. Niektórzy twierdzą, że to nowe zjawisko, które dotyczy tylko określonych kręgów i dużych ośrodków miejskich. Nieprawda. Kie-

to przysłał. Ustalili, że są dla siebie pierwszoplanowymi partnerami, a z innymi będą tylko uprawiać seks. Nie dopuszczają do głębszego zaangażowania. Określili m.in., jak często mogą się spotykać z kimś innym i czy spędzanie wakacji lub weekendu z kochankiem lub kochanką wchodzi w grę. Co pewien czas negocjowali warunki. Bywało trudno.

– Nie byłem w stanie poświęcić dziewczynie tyle czasu i uwagi, ile potrzebowała. Oczekiwała, że kiedy napisze SMS-a, że mnie potrzebuje, rzucę wszystko, by z nią być. A ja chciałem trochę pożyć. Co mi z takiego otwartego związku, skoro nie mogę z niego korzystać tak, jak bym chciał? – pyta.

Gdy Łukasz pisał na swoim profilu w aplikacji randkowej, że jest singlem, dziewczyna protestowała. Uważała, że ją ukrywa. Zaczął więc pisać, że jest w otwartym związku.

– I to zredukowało moje szanse na randki o 90 proc. – wspomina. – Koleżanki mi tłumaczyły, że mężczyzna, który pi-sze, że żyje w otwartym związku, zawsze

jest podejrzany. Kobiety nie wierzą, że jego partnerka się na to godzi.

Przyznaje, że jego związek nie miał wolu wad.

– Dogadywaliśmy się. Było nam razem przyjemnie. Chciało mi się wracać do domu. Wiele par pewnie zamieniłoby się z nami od razu, ale dla mnie to było tylko 6 na 10. Wiedziałem, że może być lepiej. Myślałem: „Na świecie są 3 miliardy kobiet. Naprawdę mogę znaleźć kogoś jeszcze. Jeśli jest się osobą uprzywilejowaną, czyli wykształconą i dobrze wyglądającą – a ja jestem – to kogoś znajdę”. Miałem tylko nadzieję, że świat ze mnie nie zakpi i nie zostanie sam – wspomina.

Zazdrość Łukasza

Obecna partnerka Łukasza Agnieszka na otwarty związek z byłym mężem się nie umawiała. Mąż otworzył go sobie sam.

– Kiedy wykryłam zdradę, zdecydowałam się na przygodę ze znajomym. Trochę w ramach odwetu. Może gdyby w którymś momencie w naszym małżeństwie pojawił się pomysł otwarcia związku, tobym na to przystała? A nawet miałabym z tego radość? – zastanawia się.

Rok po rozwodzie uznała, że czas wyjść do ludzi. Zainstalowała aplikację randkową Badoo. Usunęła ją po 24 godzinach.

– Nawal niechcianych zdjęć i wiadomości mnie przytłoczył. Przeszłam na Tindera. Tam dostajesz wiadomości tylko od tych, od których chcesz – tłumaczy. – Długofalowy związek, zwłaszcza monogamiczny, nie wchodził wtedy w grę. Przed żadnym mężczyzną nie kryłam, że spotykam się z innymi. Żaden też nie stawał warunków ani nie planował wspólnej przyszłości.

– Nielatwo planować przyszłość z kobietą, która ma dwójkę dzieci – włącza się Łukasz.

– Takie też było moje myślenie: „Jaki głupi zechce matkę z dziećmi?”, więc nie miałam oczekiwań – mówi Agnieszka.

Wiążąc się z Łukaszem, nie miała też w sobie zazdrości.

– Zawsze tak powtarzała. I to na początku było najstraszniejsze. Kiedy pierwszy raz to usłyszałem, pomyślałem: „To nie jest nam tyle ważny, żeby być o mnie zazdrosnym?!” – wspomina Łukasz.

– Nie wiem, o co miałabym być – mówi Agnieszka. – To jest właśnie specyfika poliamorii. Jesteśmy ze sobą, bo jest nam dobrze razem. Czujemy się bezpiecznie. Dopuszczamy, że będziemy mieć z kimś innym seks, że się w kimś zakochamy.

Gdybyśmy żyli w monogamii, też moglibyśmy się w kimś jeszcze zakochać. Tyle że w poliamorii to nie przekreśla naszego związku – tłumaczy Agnieszka.

– Żeby to zrozumieć, musiałem przejść wszystkie etapy, które wcześniej pewnie przechodziła moja była dziewczyna: zazdrość, pretensje o ukrywanie mnie i chęć bycia najważniejszym. Pomógł mi poradnik o poliamorii napisany przez amerykańskich terapeutów. Z rozdziału o zazdrości dowiedziałem się, że nie ma w niej nic złego, tylko trzeba o niej rozmawiać. Tam było napisane, jak to robić – mówi Łukasz.

Dziś jest w stanie wysłuchać Agnieszki, gdy ta zdaje mu relacje ze swoich randek. A nawet chętnie to robi. Ta umiejętność kojarzy mu się z wewnętrzną siłą.

– Tak próżnie powiem, że trochę jestem z siebie dumny – stwierdza.

Zazdrość Kuby

Kuba wspomina: – Kiedy w 2018 r. wszedłem w poliamoryczny związek z A i B, przyjaciele powtarzali: „Na pewno któreś z was cierpi”.

– A możesz zapewnić, że nikt nie cierpiał?

– Do czasu, kiedy nie cierpiał, to tak. – A kiedy zaczął?

– Relacja z A skończyła się w grudniu 2019 r. – Kuba łączy dwie daty na osi. – Jesienią zacząłem podejrzewać, że A czuje się trochę niepewnie w naszej relacji, więc

namówiłem ją na spotkanie z B. Mnie kontakty z jej kochankami zawsze troszkę wyluzowywały. Uświadamiałem sobie, że oni nie są dla mnie zagrożeniem.

Po tym spotkaniu A stwierdziła, że też chce mieć drugą relację romantyczną.

– Po pierwszej randce przyszła rozentuzjasmowana. Była tak podekscytowana tamtym mężczyzną, że nie dawała mi dojść do głosu. Potem przepadła na kilka dni. Byliśmy umówieni, a ona nawet nie odwołała naszej randki.

Kiedy udało nam się spotkać, rozmawialiśmy cały dzień. Powiedziałem, że widzę, jak mocno weszła w nową relację, i chcę móc mówić jej, jak się z tym czuję. W sposób nieatakujący i niezagrożający. Odmówiła. Powiedziała, że dusi ją słuchanie o moich emocjach. Że zaczęła wątpić w poliamorię. Taki był koniec.

– A ty nie straciłeś wtedy wiary w sens poliamorii?

– Wtedy nie. Może dziś, kiedy mam już na koncie więcej takich historii, trochę mniej ufam temu, co ludzie deklarują. Absolutnie nie twierdzę, że poliamoria jest usłana kwiatami. Mnóstwo miałem bolesnych sytuacji, ale to właśnie w poliamorii czuję się w pełni akceptowany. Mogę powiedzieć o wszystkich swoich uczuciach.

Czasami tylko zastanawiam się, jak ona się ma do dojrzałości emocjonalnej. Do budowania czegoś trwałego. Nie udało mi się przecież stworzyć czegoś, co trwa – powiedzmy – 10 lat.

Jego relacja z B skończyła się zimą. Ona chciała mieć dziecko. Kuba ma dorosłą córkę i więcej potomstwa nie planuje.

W aplikacji randkowej Feeld w rubryce „pleć” do wyboru jest 20 pozycji

Zazdrość Kingi

– Na pierwszą psychoterapię poszłam z pytaniem: „Dlaczego nie jestem zazdrosna o męża?” – wspomina Kinga.

– A nie jesteś?
– Nie. Żyję z Adamem od 14 lat. Od 12 lat w etycznej niemonogamii. Od roku w związku poliamorycznym. Ani razu przez ten czas nie obawiałam się, że to, co się dzieje w naszym życiu erotycznym, spowoduje, że się rozwidziemy. Czuję się totalnie bezpieczna emocjonalnie – mówi.

– A co powiedział terapeuta?
– Zapytał: „No ale kiedy pani nie jest zazdrosna?”, „Nigdy”, „A gdyby pani zobaczyła męża z inną kobietą?”, „Widziałam”, „I co robili?”, „Uprawiali seks”. „A, no to rzeczywiście... Niech pani więcej opowie” – wspomina z rozbawieniem.

Kinga w czasie rozmowy śmieje się często. Głównie z męża – z anegdot, jakie opowiada o ich życiu, z jego żartów i z ego.

– On jest jak król Julian z „Pingwinów z Madagaskaru” – mówi.

– Niektórzy nazywają mnie też Sheldorem. Tym z „Teorii Wielkiego Podrywu” – śmieje się Adam. W testach na inteligencję wyszło mu wysokie IQ.

– Ale niższe niż liczba partnerek, z którymi uprawiał seks – dodaje Kinga.

– Ile ich było?

– Nie powiem, bo z całego tekstu będzie potem wyciągana tylko ta liczba. Przesłoni inne wypowiedzi. Wypaczy to, co chcemy przekazać.

A chcemy przekazać, że można być szczęśliwym w etycznej niemonogamii – tłumaczy Adam i dodaje: – Zresztą przestałem liczyć. Powiem tylko, że podczas jednego wieczoru w klubie swingerskim

potrafiłem mieć sześć partnerek. Miałem powodzenie i nie odmawiałem.

Wiadomo, że najlepiej jest, jeśli z kimś się super gada i ten ktoś się fajnie uśmiecha, ale mnie wystarczy świadomość, że kobieta ma na mnie ochotę. Ja po prostu kocham seks i jestem w tym dobry.

Kinga potwierdza. Dodaje, że ona nie ma tak spektakularnych wyników jak mąż.

– Jeśli chodzi o penetrację, wychodzi mi jeden nowy partner na każdy rok życia w otwartym związku – mówi.

– Jak często uprawiacie seks?

– Ze sobą? Średnio cztery razy w tygodniu, trzy dni w tygodniu – odpowiada Adam.

– Ale codziennie się przytulamy, mamy bliski kontakt fizyczny – dodaje Kinga.

– I nigdy nie jesteście o siebie zazdrośni? – drąży.

– O siebie nawzajem nie. Natomiast ja jestem zazdrosna o moich poliamorycznych partnerów – mówi Kinga.

– To jest śmieszne. Ona nie jest o mnie zazdrosna, a jest zazdrosna o całą resztę – stwierdza Adam. – Ale o kogo jesteś zazdrosna?

– No jestem zazdrosna w cholerę.

– Ale o Młodego?

– Bywam.

– Ale jak był z panią psycholog, to dobrze im życzyłaś. Chociaż najbardziej chciałaś, żeby znalazł dziewczynę, z którą mogliby do nas dołączyć.

– Byłoby idealnie, ale nie wiem, czy to możliwe. Młody to taki mój satelitarny kochanek. Jestem też zazdrosna o to, że para, z którą jesteśmy w związku poliamo-

rycznym, spędza czas wolny z kimś innym. Chociaż mogliby z nami.

Nie chodzi nawet o seks, tylko o ich zwykły wyjazd z cywilami. Tak nazywamy ludzi, którzy są w standardowych relacjach – tłumaczy Kinga i dodaje: – Zazdrość o drugą osobę to dla mnie nowa emocja. Temat do zwiedzania. Jeszcze tego w sobie nie poukładałam, więc nie jestem w stanie teraz się tym dzielić.

Kluby dla swingerów

Kinga na wiele rzeczy potrzebowała więcej czasu niż Adam. Mówi, że jest dość nieśmiała. Przez pierwsze dwa lata chodzenia do klubów swingerskich tylko obserwowała, ale od razu się zorientowała, że bardzo ją to kręci. Adam był aktywny już podczas pierwszej wizyty.

– Zawsze mówię, że ja wszedłem jak w masło, a ona musiała odsiedzieć swoje przy barze, bo seksualnie jest ode mnie młodsza o 10 lat – zaczęła uprawiać seks, gdy miała 23 lata, a ja w wieku 13 lat. Na wycieczce poderwałem dwudziestokilkuletnią dziewczynę – wspomina.

Inicjatywa otwarcia związku wyszła jednak od Kingi.

Po niecałych dwóch latach związku powiedziała, że tęskni za motylami w brzuchu. Było jej smutno, że już nigdy nie poczuje emocji, które towarzyszą pierwszym chwilom zakochania.

– To była tylko taka refleksja – zaznacza Kinga.

– A ja, jak mi czegoś brakuje, to po to sięgam – mówi Adam.

– Zaczęliśmy się zastanawiać, dlaczego mamy już nigdy nie przeżywać erotycznych fascynacji innymi osobami. Mamy

z tego zrezygnować tylko dlatego, że fajnie nam ze sobą?

– Bo do tego to się sprowadza. Dla kogo mamy się poświęcać? Dla księdza? Babci? Cioci? Społeczeństwa? No bo nie dla siebie nawzajem – zapewnia Adam.

Krótko po rozmowie o motylach wysłał Kindze mailem wyniki researchu na temat klubów swingerskich. Wtedy jeszcze nie byli małżeństwem. Mieszkali w różnych miastach. Spotykali się w weekendy.

– Przyjeżdżałem do niej. Gotowałem.

Polewałem wino. Spędzaliśmy półtora dnia w łóżku. Czasem tylko na balkon wyszliśmy. Jak słońce było. I tak przez prawie dwa lata. Wiele o naszym związku nie myśleliśmy. Człowiek miał wtedy tyle do roboty. W ciągu tygodnia pracowałem czasem do drugiej w nocy. Albo i lepiej – wspomina Adam.

– Jak to mileniałsi jechaliśmy na maksa – mówi Kinga.

Zanim pierwszy raz wybrali się do swingerskiego klubu, minęło kilka miesięcy. W taksówce Kinga nabrała wątpliwości.

– Miałam mnóstwo różnych uczuć: lęk, ciekawość, ekscytację, chęć przekraczania norm, ale też opór przed tym – mówi Kinga. Adam przekonał żonę, żeby nie rezygnowała.

Impreza była dla początkujących. Pod hasłem: „Toga party”. Wszyscy ubrani w prześcieradła. Obowiązywał regulamin. Dużo w nim było o bezpieczeństwie, konieczności używania prezerwatywy i prawidłowej komunikacji.

Telefony razem z innymi prywatnymi rzeczami należało zamknąć w szafkach w szatni. Klub był podzielony na różne strefy i pokoje. Miał sauny, bar i jacuzzi. Nad wszystkim czuwała ochrona. Kinga czuła się tam o wiele bezpieczniej niż w zwykłym klubie.

– Przez te wszystkie lata tylko raz widzieliśmy, jak kogoś wyproszono. I to kogo? Księdza. Bo wpięprzał się ludziom do pokoi, onanizował się i nie chciał wyjść – śmieje się Adam.

Poliamoryczny jednoróżec

Poliamoria przydarzyła się Adamowi i Kindze po 10 latach swingowania. Niecałe dwa lata temu. Akurat kiedy Kinga przeżywała kryzys wywołany chorobą rodziców.

– Mimo bycia w małżeństwie czułam się w jakiś sposób samotna. Potrzebowałam bliskości. Trochę większej niż przyjacielska. I trafił nam się poliamoryczny jednoróżec. To znaczy, że każdy w naszej czwórce kocha każdego.

Chociaż te miłości mają różne nasilenie – tłumaczy Kinga.

Wcześniej z Adamem całe swoje życie erotyczno-uczuciowe szczegółowo omawiali to, co ich podnieca, co robili ze swoimi kochankami, jakie mają fantazje, co czują. Teraz robią to także z drugą parą. Wysyłają do siebie kilkadziesiąt wiadomości dziennie. Spędzają razem weekendy. Tęsknią za sobą.

– Trudno mi uwierzyć, że wszyscy naraz się w sobie zakochaliście – mówię.

– To się rzeczywiście rzadko zdarza. Dlatego nazywa się jednoróżcem – mówi Adam i długo tłumaczy, że nie pozwoliłby sobie zakochać się w innej kobiecie, gdyby nie zauważył, że ona też zakochuje się w jego żonie.

– To znaczy może i bym się zakochał, ale nie rozbuchałbym w sobie tego uczucia. Tylko je stłamsił – precyzuje.

Ich poliamoria jest hierarchiczna i ich małżeństwo jest dla nich ważniejsze od wszystkich innych związków.

– O czym mi nie mówicie?

– Wiem, że to wszystko może brzmieć nieprawdziwie, ale my naprawdę rygemy tęczę – śmieje się Kinga. – Oczywiście dużo nad tym pracowaliśmy. I były bolesne momenty. Jak wtedy, gdy bez słowa zerwała z nami kontakt zaprzyjaźniona para, z którą poznaliśmy się w klubie swingerskim. Bo to nie jest tak, że nasze relacje z kochankami ograniczały się tylko do seksu.

Ale nasz związek to najłatwiejsza i najprzyjemniejsza rzecz w moim życiu. Jedynie, co mi przeszkadza, to strach przed ostracyzmem. Przed wydaleniem ze społeczeństwa. Przed tym, że mnie wywiozą jak Jagnę z „Chłopów”. Ja się nie czuję normalna, bo nie przynależę do większości – mówi.

Adam uważa, że większość ludzi żyje w ciemnogrodzie i zakłamaniu. Zna tylko 2 mężczyzn, którzy nigdy nie zdradzili swoich kobiet. A bierze pod uwagę wszystkich, z którymi kiedykolwiek miał okazję w miarę szczerze porozmawiać. Szacuje, że było takich 200.

Kiedy niektórzy koledzy słyszą, jak żyjemy, mówią, że też są w poliamorii, tylko ich partnerka o tym nie wie. To nie jest żadna poliamoria, tylko zwykła zdrada – stwierdza Adam.

– Oczywiście poliamoria jest wyzwaniem – mówi. – Ale rozwój zakłada wyzwania i trochę kosztuje. Kiedy mam przekroczyć jakąś granicę, zadaję sobie pytanie: „Czy na łożu śmierci będę żałował, że tego nie zrobiłem?”. Jeśli odpowiedź brzmi: „Będę”, przekraczam granicę – tłumaczy Adam. Wyzwaniem dla niego były zwłaszcza kontakty intymne z mężczyznami. – Kobiety w klubach swingerskich w większości są bi. Chłopaki mają problem. Ile to jest zastanawiania się: „Zrobiło mi się miło, gdy facet mnie dotknął kolanem – co to o mnie mówi?”, „Czy jak zacznę z mężczyznami, to przestanę z kobietami?”. Z naszym partnerem głównie się przytulam i całuję, ale raz spotkałem się z facetem na seks. Teraz tego nie poszukuję, ale jakbym trafił na fajnego faceta? Pewnie dałbym radę. Problem w tym, że w Polsce mężczyźni są strasznie kiepscy. W swingu jest dużo fajnych dziewczyn i dużo niezadbanych, głupio gadających facetów.

Także ja miałam pod górę – mówi Kinga.

– No miałaś, miałaś. Może stąd ta mała liczba partnerów – zastanawia się Adam.

Prezerwatywy i testy

Łukasz narzeka, że ich związek z Agnieszką to nierealizowana poliamoria. W opowieściach Łukasza poszukiwanie kobiet przez aplikacje randkowe przypomina orkę na ugorze. Agnieszka się zgodziła, by nie pisał w profilu, że jest w związku. To miało zwiększyć jego szanse.

– To mit, że osoby w niemonogamicznych związkach chcą uprawiać seks z każdym. Agnieszka się dziwi, że nie mam w kim wybierać, ale ona nie cierpi na brak popularności na Tinderze. W 2 mie-

siące potrafi zebrać 3 tysiące like’ów. Mój rekord to 100 – mówi Łukasz.

Agnieszka chętnie zbudowałaby rodzinę poliamoryczną, w której będzie 3-4 dorosłych. Chciałaby zamieszkać z nimi w dużym domu. Uważa, że byłoby fajnie, gdyby Łukasz miał z jakąś kobietą dziecko.

– Znaleźć kogoś, kto będzie chciał mieć dziecko z mężczyzną, który jest w związku z kobietą mającą dwójkę dzieci? Jak? Jeśli ja nie potrafię znaleźć przez Tindera kogoś, kto mi się podoba? – Przyznaje, że jest wybredny.

– Mam swoje estetyczne upodobania. Może zabrzmiałoby źle, ale kobiety o większych ciałach nie są dla mnie atrakcyjne fizycznie. No ale jestem w szczęśliwym związku, więc mogę sobie pozwolić na wybrzydzenie – stwierdza i dodaje, że na początku znajomości z Agnieszką nic takiego finału nie zapowiadało. Wspomina, że na pierwszej randce było słabo.

– Wyjechali w sobotę, a ja w niedzielę po południu zdałem sobie sprawę, że jestem w niej zakochany. Miałem straszny zjazd – wspomina. Gdy wróciła, powiedział, że chce się z nią związać. Ona, że chce mieć w swoim życiu obu mężczyzn.

– Na szczęście ten drugi nie mieszkał w naszym mieście, więc miałem nad nim przewagę. Ich znajomość szybko się rozszedła – wspomina Łukasz. Przez pewien czas byli tylko we dwójkę.

– Zaczęliśmy się spotykać bardzo intensywnie. Po 2 miesiącach od poznania Agnieszki wprowadziłem się do niej. Dla mnie takie tempo jest naturalne. Jak robię to, co lubię, trudno mi się zatrzymać. Mam problem z odraczaniem przyjemności. Z odmawianiem sobie. Chcę w miarę możliwości robić tylko to, co sprawia mi przyjemność. Dlatego miałem problem z pornografią – mówi.

Długo żył w przekonaniu, że jej oglądanie to nic złego. Przez pewien czas prze-

Musiałem przejść wszystkie etapy: zazdrość, pretensje o ukrywanie mnie i chęć bycia najważniejszym

– Miałam w opisie, że słucham metalu, a przyszedł ubrana jak landryna. Jasne dżinsy i biały sweterek – mówi Agnieszka.

– Wiedziałem, że jest graficzką. Osoby z tej branży, które znałem, zawsze miały wygląd dopracowany w szczegółach. A Agnieszka wyglądała pospolicie – opowiada Łukasz. Na drugą randkę zaprosił ją do domu. Zgodziła się, więc wiedział, że może liczyć na seks.

Napisał, że zamierza zapalić jointa. Nie zaprotestowała. – To też był plus. Nie uznaję tzw. męskich tajemnic, podwójnego życia, ukrywania się przed partnerką. Dawno temu postanowiłem, że w relacjach od początku będę sobą – mówi Łukasz.

Po 3 tygodniach randek Agnieszka pojechała z innym mężczyzną na weekend. Łukasz zapowiedział, że nie będzie jej nękać SMS-ami, żeby mogła się skupić na tamtym mężczyźnie.

konywał siebie i znajomych, że jest lepsza niż seks z drugą osobą.

– Zdarzało mi się mówić o tym kobietom, z którymi się spotykałem. Że one w ogóle chciały ze mną gadać! – dziwi się. – W końcu zrozumiałem, że jestem uzależniony. I że uzależnienie od pornografii wcale nie jest bezpieczniejsze niż uzależnienie od alkoholu.

Tu też są koszty. Ten nałóg niszczy związek, bo zabija chęć uprawiania seksu z drugą osobą. Czytałem o ludziach, którzy potrafią wziąć dwa tygodnie wolnego, żeby się onanizować przed monitorem. U mnie do tego nie doszło, ale i tak to ukróciłem – wspomina.

– Najwyżej dwa-trzy razy podczas naszego związku powiedział, że coś oglądał – dodaje Agnieszka.

Łukasz chce obalić mit, że w relacji poliamorycznej zdrada jest niemożliwa.

– Dla nas jest nią nadużycie zaufania – tłumaczy Agnieszka. Umówili się na całkowitą transparentność. Mówią, gdzie i z kim wychodzą oraz jakie mają oczekiwania wobec spotkania. Czy to ma być kawa czy seks. Czy zamierzają zostać na noc. Kiedy w ich życiu pojawia się ktoś nowy, redefiniują związek. Dopasowują zasady do nowej sytuacji.

Nienegocjowalny jest tylko obowiązek używania prezerwatywy w kontaktach z innymi partnerami. Mówią o nim wszyscy moi rozmówcy. Pytam o testy na choroby przenoszone drogą płciową. Niektóre osoby piszą w aplikacji Feeld, że ich wymagają. Niektóre informują, że regularnie się testują, a nawet zamieszczają zdjęcie aktualnych wyników.

– O testy nikt nas nigdy nie prosił i my też tego nie robimy – mówi Agnieszka. – Ale zawsze analizuję, na ile ryzykowny jest seks z daną osobą. Biorę pod uwagę np. to, z iloma osobami się spotyka. Sama robiłam sobie testy dwukrotnie. Takie podstawowe: HIV, chłamydia, HPV, jakieś WZW. Wkrótce zrobię trzeci raz. Już mam wykupiony pakiet.

Łukasz ostatni test robił 10 miesięcy temu i niedługo ma zamiar powtórzyć.

Kuba śpi sam

W zeszłym roku Kuba poznał dziewczynę, o której opowiada, używając wielkich słów. Nie chce jednak, bym pisała o niej w tekście. Ona bardzo chroni swojej prywatności.

– Ona spotyka się z innymi mężczyznami i kobietami, a ja chyba pierwszy raz nie szukam gdzie indziej intensywnych uczuć. Nie szukam zakochań.

– Mieszkacie razem?

– Mieszkam sam.

– No a jak z tym spaniem samemu?

– Przyzwyczailiśmy się.

Łukasz i Agnieszka zakładają, że będą ze sobą, dopóki będzie im razem fajnie. Dla Łukasza podejście „związek to ciężka praca” jest nieporozumieniem.

– Jeśli mam spędzać 8 godzin w robocie, a po powrocie do domu drugie 8 na harówce w związku, to ja pieprzę takie życie – stwierdza.

Kinga rozważa: – Czy to możliwe, że któreś z nas zakocha się na zabój i stwierdzi, że odchodzi? Możliwe. Ale czy gdybyśmy byli w monogamicznym związku, byłoby to niemożliwe?

– I jaka musiałaby być ta osoba? – dodaje Adam. – Jeśli od 14 lat jesteśmy ze sobą w szczęśliwym otwartym związku, to jaki poziom fajności musiałaby mieć, żeby jedno z nas zastąpić? ●

REKLAMA

Kraj/34324967

O LUDZIACH, KTÓRYCH POŁĄCZYŁA MIŁOŚĆ DO GÓR

O WYPRAWACH, ZA KTÓRE MUSIELI ZAPŁAĆ ŻYCIEM

Widzieli kolegów odpadających od ściany,
porwanych przez lawiny, zaginionych. Informowali
rodziny, że ktoś już nie wróci, oplakiwali zmarłych
i wracali w góry.

Rywalizowali o miejsca na wyprawach, hierarchię
w grupie, spierali się o wytyczone trasy.
Jednak w sytuacji zagrożenia życia skoczyli
za sobą w ogień.

NOWA KSIĄŻKA
AUTORÓW
BIOGRAFII
JERZEGO KUKUCZKI
**Historie Klubu
Wysokogórskiego
w Katowicach**

PARTNER
WYDANIA

KATOWICE
dla odmiany

1RP

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA

KULTURALNY
SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl

Wydawnictwo
Agora

eprasa.pl 5a6b0edaa6

TAJEMNICA AS

– **Mało jest osób na świecie, które faktycznie wiedzą, jak działa astrolabium** – mówi popularyzator astronomii inż. Mateusz Krakowczyk.

Przedmiot złożony z sześciu kręcących się wokół siebie obręczy zna każdy, bo kto z nas nie widział pomnika Kopernika? Tylko do czego ta ażurowa kula służyła? Wbrew pozorom o odpowiedź niełatwo.

Kopernik, który korzystał z wiedzy starożytnych, opisał swój instrument na kartach „De revolutionibus orbium coelestium” w ten sposób: „Dla oznaczenia położen Księżyca i gwiazd buduje się narzędzie przez Ptolemeusza astrolabem zwane. W tym celu robi się dwa koła, czyli obręcze czworoscienne. Te należy spoić (...) pod kątami prostymi tak, aby ich ściany wkleśły i wypukłe odpowiadały sobie, jakby na powierzchni kuli...”. Dalej następuje szczegółowy i skomplikowany opis budowy poszczególnych obręczy zakończony zdaniem: „Na ostatek dodaje się szóste koło, które [by] cały astrolab obejmowało i utrzymywało w zawieszeniu na podporach biegunów równikowych”.

Informacji o tym, do czego konkretnie służą poszczególne części przyrządu i jak działają oraz co oznaczają tajemnicze terminy typu „biegun równikowy” – brak.

CZARNA MAGIA

Nieżyjący już profesor Andrzej Woszczyk z toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika pisze w książce „Instrumenty Kopernika a narzędzia współczesnej astronomii”: „Przyrządem opisanym niestety bardzo pobieżnie w stosunku do jego złożonej postaci jest sfera armilarna, czyli tzw. astrolabium. To chyba najbardziej interesujący instrument wielkiego astronoma. Był wykonany z drewna jodłowego. (...) Kopernikowskie astrolabium (...) składało się z sześciu koncentrycznych kręgów (obręczy) z podziałkami zaznaczonymi inkaustem. Najbardziej zewnętrzne koło materializowało południk miejscowy (...) na osi biegunowej [tego] południka obraca się koło godzinne [które] nosi nazwę koła wrębnego, albo koluru stanowisk słońca...”.

Dalej następuje – podobnie jak w „De revolutionibus...” – szczegółowy opis budowy urządzenia, z którego laik niewiele zrozumie. Podobnie jak z zasad działania: „Po zapadnięciu zmroku na tarczę księżycą naprowadzano zewnętrzne koło szerokościowe, a przeziernikami koła wewnętrznego celowano w wybraną do obserwacji gwiazdę. W ten sposób wyznaczano różnicę współrzędnych ekliptycznych...”. Czarna magia.

Jadę na wydział astronomii UMK. Rozmawiam z profesorami Antonim Stawikowskim i Michałem Hanaszem, którzy uświadamiają mi, że zasada działania astrolabium nie jest o dziwo wiedzą dostępną każdemu z astronomów.

– Mówi się, że to poprzednik sekstansu, czyli kątomierza optycznego – wyjaśnia prof. Hanasz. I odsyła mnie do prof. Macieja Mikołajewskiego, popularyzatora nauki o gwiazdach i redaktora naczelnego pisma „Urania – Postępy Astronomii”.

– Oprowadzałem kiedyś po Toruniu zagranicznego gościa – naukowca, który mnie zapytał: czemu Kopernik na pomniku dzierży model atomu? – zaczyna profesor. – A tak na poważnie: jest mało osób na świecie, które faktycznie wiedzą, czym jest astrolabium i jak działało. Tak się szczęśliwie składa, że wkrótce mamy spotkanie z jedną z nich.

Prof. Mikołajewski zaprasza mnie na wykład innego popularyzatora astronomii, inż. Mateusza



• **Pomnik Kopernika na Krakowskim Przedmieściu**

FOT. FRANCISZEK MAZUR / AGENCJA WYBORCZA.PL;

Krakowczyka. Spotkanie odbywa się 12 kwietnia w toruńskim teatrze lalkowym Baj. Tytuł prelekcji: „Instrumenty astronomiczne Kopernika”. Na stole – współczesny model astrolabium. Na ekranie – znany obraz Jana Matejki przedstawiający wielkiego astronoma. Na sali przeważają nauczyciele szkół średnich.

TRZY PRZYRZĄDY KOPERNIKA

– Jak państwo widziecie, na Matejkowskim płótnie nie ma astrolabium, jest natomiast luneta, czyli coś, co zostało po raz pierwszy użyte do obserwacji nieba pół wieku po śmierci Kopernika – tłumaczy Krakowczyk. – W rzeczywistości astronom używał trzech przedmiotów: kwadrantu, trikwertum i astrolabu. Wszystkie zaginęły. Znamy je jedynie z jego opisu.

Z dalszej części wykładu dowiaduję się, że starożytna i średniowieczna astronomia nie była – jak dzisiaj – odnogą nauk fizycznych tłumaczących budowę i właściwości materii. Stanowiła raczej odmianę matematyki. Badacze obserwowali świecące na nieboskłonach punkty (gwiazdy, planety, komety), próbując odgadnąć prawidłowości rządzące ich ruchem, co było przy ówczesnym stanie wiedzy możliwe jedynie częściowo.

– Kopernik również nie zaobserwował, że Ziemia kręci się wokół Słońca, bo nie mógł. On przyjął takie aprioryczne założenie z powodów filozoficznych, a potem badał, czy ruch ciał niebieskich jest zgodny z owym wyjściowym postulatem – mówi mi po wykładzie Krakowczyk. I prezentuje swój model astrolabu wykonany na podstawie instrukcji, jaką w 1973 r., z okazji 500-lecia urodzin Kopernika – wydrukowało czasopismo „Młody Technik”.

Proszę, by wyjaśnił zasadę działania językiem najprzystępniejszym z możliwych.

KULA WIDZIANA OD ŚRODKA

– Spróbuję. Niebo nad nami jest jakby kulą widzianą przez nas od środka. I tak jak na globusie nosimy kontury kontynentów, tak starożytni, a po

nich średniowieczni, chcieli nanieść ciała niebieskie na wnętrze owej kuli. Problem w tym, że kontynenty się nie ruszają i nie zmieniają kształtów, natomiast planety i gwiazdy nieustannie zmieniają położenie zarówno wobec siebie, jak i obserwatora. Mimo to próbowano. Już starożytni dostrzegli, że sfera niebieska obraca się wokół bieguna położonego w pobliżu Gwiazdy Polarnej. To pozwoliło po drugiej stronie sfery wyznaczyć drugi biegun, a między biegunami wyrysować równik, którego nachylenie w stosunku do płaszczyzny orbity Ziemi wynosi w przybliżeniu 23 stopnie.

– Ponieważ taka jest wartość, o jaką oś obrotu naszej planety nachyla się względem prostej prostopadłej do wspomnianej płaszczyzny orbity? – dopytuję.

– Tak. Kiedy już mamy mapę nieboskłonu – bieguny, równik i wyznaczoną drogę Słońca – możemy zacząć badać pozycje poszczególnych planet. I do tego służy astrolab. To jakby kalkulator analogowy skrzyżowany z urządzeniem służącym do pomiarów. Kopernik mógł zobaczyć ten przyrząd w trakcie studiów w Italii, a potem zbudował podobny, korzystając z zapisków Ptolemeusza.

PROBLEM Z PRECESJĄ

Inż. Krakowczyk dalej: – Astrolab ma sześć obręczy. Na pierwszej, czyli zewnętrznej, ustawiamy szerokość geograficzną miejsca, z którego prowadzimy obserwację. Kopernik sam wyznaczył długość i szerokość Fromborka – tę umiejętność (ustalenie współrzędnych GPS, jak byśmy dziś powiedzieli) mieli już bowiem starożytni Chińczycy, Inkowie, Majowie, Aztekowie i oczywiście Grecy.

Prof. Woszczyk pisze w książce, że wystarczył im do tego kij. „Wbity pionowo w ziemię rzucał na poziomą powierzchnię cień, którego długość i kierunek zmieniały się w ciągu dnia i w ciągu roku. Na podstawie pomiarów tego cienia i analizy jego zmian można określić strony świata (kierunek padania cienia w momencie, gdy jest on najkrótszy, nazwano kierunkiem północnym), wysokość słońca nad horyzontem i upływ czasu. Obserwacje cienia w ciągu miesięcy i lat pozwoliły wyznaczyć momenty przesileni i równonocy [oraz] szerokość geograficzną miejsca obserwacji”.

– Mając możliwość wprowadzenia tej szerokości na podziałce zewnętrznej obręczy, astronomowie mogli ustawić astrolab w ten sposób, by uzyskiwać właściwe wyniki niezależnie od miejsca, z którego prowadzili obserwację.

Teraz obręcz druga.

– Ta jest nachylona względem pierwszej o znane nam już 23 stopnie, przez co zawarta w niej obręcz trzecia obrazuje ruch Słońca po nieboskłonach skorygowany już i o lokalizację geograficzną obserwatora, i o przechylenie planety. Ale jest jeszcze precesja osi Ziemi...

Nasza niebieska kulka w kosmosie nie dość, że kręci się krzywo względem płaszczyzny orbity, to jeszcze jej oś obrotu wiruje podobnie, jak oś dziecięcego bączka, gdy ten traci impet. Wikipedia ujmuje to tak: „...oś ziemską kreśli na tle nieba okrąg. Zakreślenie pełnego okręgu trwa około 26 tys. lat. Okres ten nazwano rokiem platońskim”, choć to nie Platon odkrył owo zjawisko – prawdopodobnie znali je już starożytni Egipcjanie. Jako pierwszy ze znanych nam Europejczyków precesję w 130 r. p.n.e. opisał grecki astronom matematyk Hipparch.

STOIMY NA ZIEMI, SPÓJRZMY NA SŁOŃCE

– Trzecia obręcz astrolabium rozwiązuje właśnie problem związany z precesją – tłumaczy dalej Krakowczyk. – Dopiero po tym wszystkim, gdy znamy już własne położenie na powierzchni planety, gdy zniwelujemy nachylenie Ziemi i precesję jej osi, możemy ustawić czwartą obręcz, która wreszcie pokaże, w jakiej pozycji na niebiańskim globusie jest Słońce.

TROLABIUM

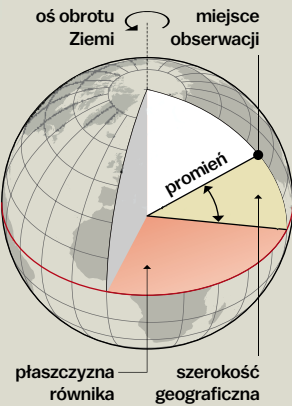
ZASADA DZIAŁANIA ASTROLABIUM



Pierwszy pierścień – zewnętrzny

– służy do ustawienia szerokości geograficznej, na której znajduje się obserwator. Umożliwia skalibrowanie astrolabu w ten sposób, by uzyskiwać właściwe wyniki niezależnie od miejsca, z którego prowadzi się obserwację.

Szerokość geograficzna to kąt między promieniem Ziemi przechodzącym przez dany punkt na jej powierzchni a płaszczyzną równika. Wartość ta określa położenie geograficzne względem osi obrotu Ziemi w stopniach, minutach i sekundach.



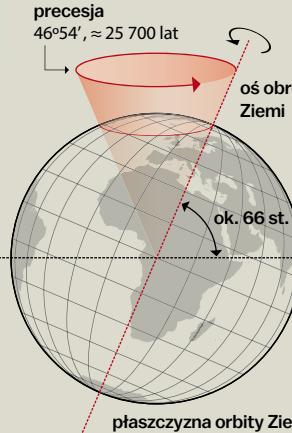
Model astrolabium pierścieniowego używanego przez Mikołaja Kopernika do obserwacji nieba, zrekonstruowany na podstawie opisu zamieszczonego w „De revolutionibus orbium coelestium”.



Drugi pierścień

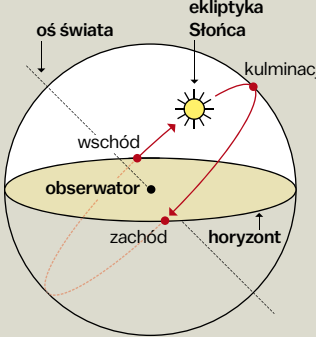
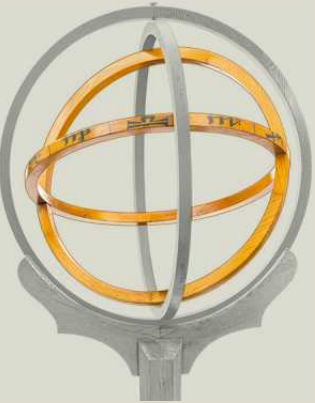
– jest nachylony względem czwartego pierścienia o ok. 66 stopni, co odpowiada kątowi nachylenia osi Ziemi względem płaszczyzny jej orbity. Pozwala również uwzględnić w pomiarach zjawisko precesji osi Ziemi, czyli zmiany kierunku osi obrotu planety.

Precesja osi Ziemi to zjawisko polegające na niustannym, powolnym przesuwaniu się kierunku osi ruchu obrotowego Ziemi, przypominającym zataczanie się dziecięcego bączka w końcowej fazie ruchu. Spowodowane jest oddziaływaniem grawitacyjnym Słońca i Księżyca oraz faktem, że Ziemia nie jest idealną kulą, lecz spłaszczoną na obu biegunach geoidą.



Pierścienie trzeci i czwarty

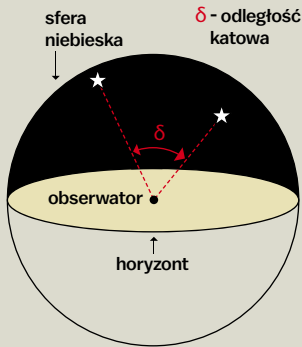
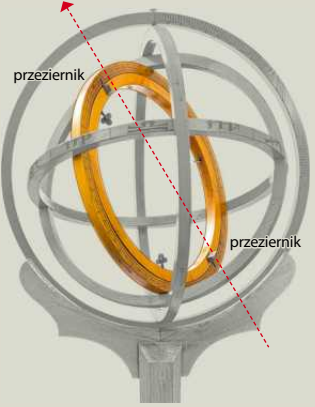
– przecinają się pod kątem prostym. Jeden z pierścieni, z zaznaczonymi znakami Zodiaku reprezentuje ekliptykę, po której pozornie porusza się Słońce obserwowane z Ziemi. Odpowiednie ustawienie pierścienia wskazuje, gdzie w danej chwili znajduje się Słońce, nawet gdy jest schowane za horyzontem.



W wyniku ruchu obrotowego Ziemi Słońce obserwowane z jej powierzchni pokonuje pozorną drogę na niebie. Pojawia się nad płaszczyzną horyzontu (wschodzi), góruje i ponownie chowa się za horyzont (zachodzi).

Pierścienie piąty i szósty

Dwie wewnętrzne obręcze przylegają do siebie, tworząc ruchomy układ. Na wewnętrznych pierścieniach osadzone są dwa przezierniki pozwalające skierować przyrząd na obserwowany obiekt. Na zewnętrznej obręczy znajduje się podziałka, umożliwiająca odczyt kątowej odległości obiektu względem Słońca.



Obiekty astronomiczne obserwowane z Ziemi układają się w pozorną kopułę nazywaną sferą niebieską. Ze względu na ten sferyczny układ odległości między ciałami niebieskimi opisuje się za pomocą kątów. **Odległość katowa** pomiędzy dwoma obiektami to kąt zawarty między promieniami wychodzącymi z miejsca obserwacji i przechodzącymi przez te obiekty.

© GAZETA WYBORCZA/INFOGRAFIKA; WAWRZYNIEC ŚWIECICKI

ŹRÓDŁA: WIRTUALNE MUZEA MAŁOPOLSKI, ZPE.GOV.PL, UJ.EDU.PL

Ten pierścień – złożony z dwóch przecinających się po kącie prostym obręczy – reprezentuje, jak to ujmie prof. Woszczyk: „ekliptykę, czyli okrąg, po którym pozornie porusza się Słońce obserwowane z Ziemi”. Koło jest wyposażone w podziałkę z oznaczeniami Zodiaku.

– Odpowiednie ustawienie pierścienia wskazuje posiadaczowi astrolabu, gdzie w danej chwili jest Słońce – kontynuuje Krakowczyk. – Pamiętajmy, że średniowieczni astronomowie pracowali nocą. Zatem planeta matka była pod horyzontem. I tak doszliśmy do ostatnich, wewnętrznych obręczy, które nastawia się – dzięki przeziernikom, czyli czemuś w rodzaju karabinowej muszki i szczerbinki – na konkretne planety. Dopiero wówczas można zanotować ich kątową odległość oraz ruch względem Słońca.

Upraszczając jeszcze słowa inż. Krakowczyka: by zmierzyć położenie obserwowanej nocą planety względem ukrytego pod horyzontem Słońca, śre-



• Inż. **Mateusz Krakowczyk**

FOT. SEBASTIAN STAWIŃSKI

dniowieczny astronom musiał wiedzieć, gdzie ono jest w danej chwili. A żeby to znać, musiał określić swoją własną pozycję na globie, poprawić ją o nachylenie ziemskiej osi obrotu i o precesję Ziemi. Dopiero wówczas obserwacja (do której służyły już tylko dwa wewnętrzne kręgi astrolabium) zgadzała się z teorią heliocentryczną.

REWOLUCJA W UMYŚLE

Sam Kopernik – o dziwo – nie przeprowadzał licznych obserwacji nieboskłonu. Zdaniem Krakowczyka najwyżej kilkadziesiąt w życiu: – Powodem małej liczby pomiarów jest ówczesna kultura naukowa. Nie znano jeszcze rachunku błędów i statystycznego podejścia do pomiaru. Kopernik był przekonany, że dla weryfikacji prawdziwości postulatu heliocentrycznego wystarczy wykonanie jednego czy dwóch pomiarów...

– Osiągnąłby to bez astrolabium?

– Myślę, że tak. Współcześni mu astronomowie używali innych przyrządów, które umożliwiały wykonanie dokładniejszych pomiarów. Kopernik nie wytłumaczył, czemu zamiast technicznych nowinek korzystał z czegoś, co wynaleziono w starożytności. Pierwsza możliwość: łatwiej było znaleźć na Warmii zręcznego cieśle i dobrej jakości drewno na astrolab, niż sprowadzać drogie, nowoczesne instrumenty choćby z Italii. Możliwość druga: kazał wykonać przyrząd z powodów ściśle estetycznych, gdyż jako uczony renesansu był zafascynowany kulturą i osiągnięciami starożytnych. Tego, jak było rzeczywiście, prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Z pewnością jednak żaden instrument z pierwszej połowy XVI wieku nie pozwalał na zaobserwowanie jakiegokolwiek zjawiska, które mogłoby być dowodem na budowę Układu Słonecznego. Rewolucja narodziła się najpierw w genialnym umyśle inspirowanym lekturą starożytnych i filozoficzną refleksją nad porządkiem świata. ●



Żydzi NA DZIKIM ZACHODZIE

Tuż po wojnie tysiące ocalałych z Zagłady polskich Żydów chciało rozpocząć nowe życie na Dolnym Śląsku. Ale do końca 1946 roku większość z nich stamtąd uciekła.

Wojciech Szot

Zanim rozpoczęli obrady, chwilą ciszy uczcili pamięć ofiar pogromu w Kielcach, ale też Blumy Wajn, „która w czasie seminarium ruchu w Zabrzu padła od zbrodniczej kuli”, i Becalela Zylberberga, „członka kibucu w Rychbachu, który padł na posterunku”.

Mimo wszystko VI zjazd przywództwa syjonistycznej organizacji Hanoar Hacijoni-Akiba w styczniu 1949 roku w Jeleniej Górze przebiegał w atmosferze nadziei. Pod koniec 1947 roku ONZ przegłosowała rezolucję, na mocy której w Palestynie powstać miały dwa państwa — żydowskie i arabskie. Za cztery miesiące Ben Gurion wygłosił w Tel Awiwie deklarację niepodległości państwa Izrael. Droga do ojczyzny stanie się jeszcze łatwiejsza.

Ale choć wojna skończyła się już dwa lata temu, Żydzi wciąż padali ofiarami ataków. O ofiarach pogromu kieleckiego wiemy dużo dzięki badaniom m.in. Joanny

Tokarskiej-Bakir. Kim jednak byli Becalel Zylberberg i Bluma Wajn?

WSTRZĄS KIELECKI

Latem 1946 roku żar lał się z nieba, a dzieciom się nudziło. Ośmioletni Henio tęsknił za przyjaciółmi, których zostawił we wsi Pielaki niedaleko Kielc, więc postanowił ich odwiedzić. Poszukiwania chłopca trwały dwa dni, a na temat tego, co wydarzyło się później, krążyć będą różne wersje — według jednej chłopiec sam zmyślił, że był przechowywany przez Żydów w piwnicy, według innej — podsunął mu to ojciec.

Jedno jest pewne — pogrom kielecki, do którego doszło w następstwie tych wydarzeń, wstrząsnął tysiącami Żydów w Polsce. „Ogarnęła społeczność [żydowska] panika” — pisały „Mosty”, gazeta syjonistycznej organizacji Haszomer Hacair.

Noach Lasman, pochodzący z Poznania geolog, który wyjechał do Izraela w latach 50., wspominał, że „każdy uważał, że to, co zdarzyło się w Kielcach, może się zdarzyć w każdym innym mieście”.

W takiej atmosferze 8 lipca w podróż z Bożej Góry do Kielc wyruszył Józef Sztarkman ze szwagrem Henrykiem Gitelisem.

NOWI MIESZKAŃCY BOŻEJ GÓRY

Boża Góra, dziś Boguszów, a przed wojną Gottesberg, leży pod Wałbrzychem. Po wojnie do miasteczka zaczęli przybywać nowi mieszkańcy — w większości Polacy z za Buga, ale w pierwszych miesiącach 1946 roku także coraz więcej Żydów. Zachęceni przez syjonistyczne organizacje i Centralny Komitet Żydów Polskich (CKŻP) postanowili osiaść na Dolnym Śląsku i wybudować tam żydowskie osiedle („jidisz jeiwer”).

Takie utopijne — jak się okaże — wizje mieli niektórzy przywódcy żydowskiej diaspory. „Żydzi, którzy w powszechnie znany tragiczny i bestialski sposób zostali pozbawieni swych najbliższych, pragną zapomnieć o przeżytej tragedii i rozpocząć nowe twórcze życie w środowisku ludzi wzajemnie sobie przyjaznych i potrafiących się nawzajem zrozumieć” — pisali do Ministerstwa Administracji Publicznej pracownicy CKŻP.

Przyjazna była piękna przyroda Sudeatów, ale czasy nie. Bunkry i umocnienia wokół Wałbrzycha przyciągały przeróżne bandy. W maju 1945 roku Werwolf i Freies Deutschland atakowały w powiecie zarówno radzieckich żołnierzy, jak i ludność cywilną. Na Dolnym Śląsku działało też ponad sto grup podziemia — od byłych akowców po zwykłych przestępców.

Członek tzw. bandy Otta wymieniał w sądzie jej cele: „walka z Rządem Jedności Narodowej, ze Związkiem Radzieckim, prowadzenie w Polsce reakcyjnego »rządu londyńskiego«, strzelanie do żołnierzy radzieckich [...] oraz wykończenie resztki Żydów”. Z kolei skazany na śmierć Eugeniusz Kulwicki stał na czele tzw. Grupy Południowo-Zachodniej AK, która w Wałbrzychu miała m.in. „likwidować Żydów”. Została ona rozbita w lipcu 1946 roku.

Żydzi prowadzili w powiecie 63 gospodarstwa rolne. Jednak w książkach o historii Bożej Góry, choć znajdziemy nawet imię i nazwisko pierwszych urodzonych tu Polaków, o żydowskich dzieciach nie przeczytamy. Ani o żydowskiej obecności, mimo że — jak pisał mieszkaniec Wałbrzycha Wacław Mrozowski — „na ulicach rzadko można było spotkać Polaków lub usłyszeć polską mowę; najczęściej prócz mowy niemieckiej usłyszeć można było mowę żydowską”.

Tak jest też w Boguszowie, Dzierżoniowie, Bielawie, Głuszycu i mniejszych miejscowościach, które właśnie zyskały polskie nazwy. Do mieszkań Niemców wchodził się jak na swoje, zwłaszcza że zostały w nich głównie kobiety samotnie wychowujące dzieci. Mężczyźni zginęli na wojnie lub z rąk instalujących się, nowych właścicieli tych ziem.

NA TRASIE POCIĄGU DO KIELC

8 lipca, gdy Józef Sztarkman ze szwagrem Henrykiem Gitelisem wyruszyli pociągiem do Kielc, aż 40 proc. mieszkańców

◄ **Marzec 1947 roku. Zakład szewski zatrudniający Żydów, działający w Dzierżoniowie w ramach Powszechnej Spółdzielni Pracy przy Radzie Związków Zawodowych**

► **W tym mieście i pod tym samym szyldem działał też zakład krawiecki** FOT. PAP (2)

Bożej Góry stanowili Żydzi, a tylko 10 proc. Niemcy. We Wrocławiu dosiadł się do nich osobnik: „wzrost średni, włosy blond czesał na bok, twarz szczupła, lat około 28. Ubrany w »mundur Andersa« – zielona bluza i spodnie, na ramieniu naszywka »Poland«” – opisał Sztarkman. Mówił o wojnie w Japonii, przeżyciach frontowych, jechał na pogrzeb żony do Kielc.

We Włoszczowie do pasażerów dotarli pogłoski, jakoby w Kielcach Żydzi zamordowali dziesięcioro dzieci. Atmosfera zgęstniała. Kilkadziesiąt kilometrów dalej, w Piekoszowie, zaczęto wyciągać Żydów z wagonów i mordować.

„Bić Żydów! Dość my wycierpieli, żeby nas jeszcze Żydzi mordowali!” – usłyszeli od andersowca.

Odwrócili głowy, by nikt nie poznał, że są Żydami. Słyszeli strzały, potem dwóch wojskowych szukało w wagonie Żydów. Na szczęście nie rozpoznali ich w Józefie i Henryku.

Henryk Gitelis: „Widziałem, jak prowadzono kobietę lat około 80 w stronę pola (...), zauważyłem tego naszego osobnika, który stał koło tej kobiety, bijąc ją kamieniem i zabijając”.

Żydów mordowano też na stacjach w Szczukowskich Górach i Herbach. Podobne wydarzenia miały miejsce w pociągach w innych rejonach Polski.

W Kielcach Sztarkman i Gitelis złożyli doniesienie na posterunku milicji. Pod groźbą międzynarodowego skandalu władze zareagowały stanowczo – nawet Miejska Rada Narodowa w Wałbrzychu domagała się od władz „zabezpieczenia życia spokojnych obywateli przed zbrodnicznymi elementami”.

Wszyscy się bali: Żydzi o życie, władze skandalu i dalszego rozlewu krwi. Przyzwolenie na rozbój i szaber w czasie żniw mogło mieć katastrofalne skutki dla gospodarki. Władze zdecydowały się otworzyć granice.

BRICHA, CZYLI UCIECZKA

W lipcu 1946 roku z Polski wyjechało 19 tys. Żydów, w sierpniu kolejnych 14 tys., większość z Dolnego Śląska. To tam najintensywniej działały syjonistyczne partie i żydowskie organizacje pomocowe, przygotowując ludzi do emigracji i przerzucając ich przez granicę.

Stosunek nowych władz do tego proceduru był niejasny – granice raz były otwierane, raz zamykane. Bricha (z hebr. „ucieczka”), tajna organizacja kierująca nielegalnym przetrzudem, potrafiła w ciągu kilku dni przetransportować przez granicę nawet 10 tys. osób.

Działacz lewicowego Poalej Syjon Stefan Grajek wspominał, że do Brichy zgłaszały się tłumy. A Noach Lasman pisał: „Po polskiej stronie nie mieliśmy żadnych problemów, prowadził nas po prostu żołnierz straży granicznej. Po czeskiej natknęliśmy się na patrol i zaprowadził nas do jakiejś leśniczówki, sprawdzono imiennie listę przygotowaną jeszcze po polskiej stronie [...], wsiedliśmy do pociągu i długo wkleiliśmy się do Bratysławy”.

Dolny Śląsk uchodził za region wolny od antysemickiej przemocy. Oficjalna propaganda trąbiła o Żydzie górniku, który tworzy nową, wolną ojczyznę. Jednak już w kwietniu 1946 roku Komitet Żydowski z Gieszczy Pustych apelował do wałbrzyskiego Urzędu Bezpieczeństwa o pomoc, wyliczając przypadki ataków na Żydów.

Tylko w lutym napadnięto spożywczak Sztymbelmana, a we własnym mieszkaniu zamordowany został Jakób Goldberg. Obrabowani zostali Mojżesz Mandel i rodzina Brandlów, postrzelono Wolfa Witmana.

List świadczył o bezkarności przestępców i bierności UB. 26 kwietnia na torach kolejowych linii Dzierżoniów – Zagórze znaleziono zwłoki Chaima Miednika,



członka organizacji Mizrachi z Rychbachu. To była egzekucja – miał kilka kul w głowie.

Cierpieli nie tylko Żydzi. W maju 1946 roku niedaleko Kłodzka wysadzono budynek z czterema Polakami. Wciąż wykolejano pociągi i podpalano fabryki.

SPOKÓJ NA NIBY

Spodziewając się wzmożenia antysemickich nastrojów po pogromie kieleckim, CKŻP utworzył w lipcu Komisje Specjalne, paramilitarne jednostki mające chronić żydowskie szkoły czy kibuce – 250 takich grup strzegło ponad tysiąca obiektów.

Zamieszki antyżydowskie rzeczywiście wybuchły w całym kraju. Prof. Alina Cała wymienia kilkanaście miejscowości, z których docierały pogłoski o mordach rytualnych, co wywoływało psychozę wśród Polaków, a w konsekwencji brutalne reakcje. Ale na Dolnym Śląsku wydawało się spokojnie, choć mieszkała tu prawie połowa polskich Żydów. A może wynikało to z cenzury miejscowych komitetów żydowskich? Noach Lasman wspominał: „Władze nie były w stanie zapewnić nam bezpieczeństwa i nie życzyły sobie rozgłosu na ten temat, ponieważ mogło to źle o nich świadczyć za granicą”.

Prof. Cała pisze, że „pamięć o losie Żydów została zepchnięta na margines”. A o tych kilku miesiącach pobytu na Dolnym Śląsku wręcz wyparta – w większości wspomnień ten wątek nie jest rozwijany.

Komisja Specjalna z leżącej na zachód od Wałbrzycha Kamiennej Góry raportowała: „W mieście było bardzo niespokojnie, wybijano szyby w budynkach należących do instytucji żydowskich. Na miejscowym bazarze grupa ludzi zrobiła oblawę na Żydów, do mieszkania zajmowanego przez rodzinę żydowską wrzucano granat, napadnięto też na dom, w którym przebywali żydowscy repatrianci z Taszkientu”.

Komisje Specjalne na Dolnym Śląsku podjęły przez rok ponad 2 tys. interwencji.

ATMOSFERA POGROMOWA

O nastrojach pogromowych wiedziały milicja, Urząd Bezpieczeństwa i władze państwo-

we, do których napływały skargi od Żydów. Można wśród nich znaleźć na przykład takie:

- Antoni Sokółowski, który przyjechał do Pieszyc z Kielc tuż po pogromie, narzekał: „Jeszcze i tu są Żydy. Damy sobie radę, tak jak daliśmy w Kielcach”. Zapowiadał walkę o „Polskę czystej krwi”.
- W Dusznikach-Zdroju antysemickie komentarze wygłaszali kuracjusze – w większości wojskowi.
- Władysław Baran z Dzierżoniowa wygrażał Żydom na przyfabrycznej stołówce: „Niepotrzebnie śmierdzą w Polsce, powinni stąd wyjechać”.
- W Dzierżoniowie w pobliżu siedziby Komitetu Żydowskiego Jan Kwiecień, milicjant, powiesił nazistowski plakat przedstawiający Żydów jako morderców.
- W Wałbrzychu rozdawano ulotki: „Niech żyje Anders i jego żołnierze. Cześć bohaterom lasów kieleckich. Precz z Żydami! Polska dla Polaków, AK czuwa i walczy!”.
- Dzień po pogromie kieleckim w Bielawie czterej bracia Szymalowie zamordowali Borysa Frenkiela — jak pisał Urząd Bezpieczeństwa – „Polaka wyznania mojżeszowego”, zdemobilizowanego żołnierza. Torturowano go godzinami. Milicja działała opieszale, więc śledztwo się ślimaczyło. Dopiero po kilku tygodniach zatrzymano sprawców.
- Żydowska Agencja Telegraficzna (JTA) donosiła 18 sierpnia 1946 roku, że w wiosce koło Wałbrzycha do kibucu Haszomer Hacair podrzucono ciało chłopca w celu sprowokowania pogromu. Mieszkańcy jednak je odkryli i natychmiast powiadomili o nim milicję, która zapobiegła pogromowemu nastrojowi.

OBLĘŻONE KIBUCE

Czytając dziś o kibucu, wyobrażamy sobie gospodarstwo uprawiane w spółdzielczy sposób, widzimy owieczki, pasterzy i szklarnie. Na Dolnym Śląsku kibucem były po prostu budynki zamieszkanе przez Żydów, często zarządzane przez organizacje syjonistyczne.

Po Ziemiach Odzyskanych jeździli nawet wysłannicy organizacji z Izraela namawiający do organizowania się w ruch kibucowy. Jednym z nich był Pinkas Lavon, przyszły minister rolnictwa Izraela. Po

wieczu z jego udziałem „do kibucu Gordonia w mieście sąsiadującym z Wałbrzychem” przeniosła się rodzina mieszkającego w Bożej Górze Davida Shachara. Jak wspominał, w jednym budynku kibucu mieszkało 50 mężczyzn i kobiet od 16. do 45. roku życia. Pracowali w różnych zawodach, wielu dla Ministerstwa Obrony Narodowej. „Zarobione pieniądze wkładaliśmy do wspólnego pudełka. [...] Mieliliśmy różne zadania i wykłady w kibucu. Przyjeżdżali instruktorzy, trenowani w krajowym dowództwie w Łodzi i słuchaliśmy wykładów o historii syjonizmu” – opisywał Shachar.

Noach Lasman wspominał, że kiedy ludzie nie mogli się już pomieścić w tym jednym domu-kibucu, zaczęto tworzyć w Wałbrzychu kolejne — dla zdemobilizowanych, dla starszych i młodych małżeństw. Potem powstawały one też w okolicznych miasteczkach.

O życiu w kibucu Gordonia pod Wałbrzychem niderlandzkiemu dziennikarzowi Pieterowi van Ostowi opowiedziała Marilka Shlafer: „Nasza grupa liczyła sobie ponad sto osób. [...] Znaleźliśmy duże gospodarstwo ze sporym kawałkiem ziemi. W pełni wyposażone. Były krowy, kury i kaczki i wystarczająco dużo ziemi, by posiać. Mieliliśmy drzewa owocowe i warzywa. Rosjanie nam pomagali i uznali, że to będzie teraz nasz teren. W zamian dostarczaliśmy im dobre jedzenie z naszej farmy”.

Kibuc Gordonia przygotowywał do emigracji do Palestyny. Jego mieszkańcy uczyli się uprawiać ziemię, ale też hebrajskiego. Shlafer wspominała, że musieli nauczyć się też, jak odpierać ataki. Trzeba było „na przykład wstać nagle w nocy i być gotowym do opuszczenia kibucu w ciągu trzech minut. By się obronić, potrzebowaliśmy broni. Mieliliśmy dość pieniędzy, więc mężczyźni kupili spluwę. Dzięki temu czuliśmy się bezpieczniej”.

MILICJA ZAGŁADA DO GARNKÓW

O zagrożeniu, i to nie tylko ze strony bandytów, ale także władz, pisał też Lasman. Wspominał epizod, jak w Wałbrzychu zaginęło dziecko, a w trakcie poszukiwań uzbrojeni milicjanci i członkowie straży przemysłowej przeszukiwali mieszkania Żydów, „zaglądali do garnków w kuchni i łyżkami sprawdzali, czy nie ma tam jakichś części ciała”.

Dzień później dziecko się odnalazło, ale Lasman i tak usłyszał w tramwaju, jak pasażer tłumaczył innemu, że Żydzi „wskutek strasznych przeżyć nabawili się wady wzroku, a nie ma lepszego środka na takie niedomaganie, jak nacieranie oczu krwią niewinnego dziecka”.

Marilka Shlafer opowiadała van Ostowi, że kiedy już niemal wszyscy Niemcy zostali wyrzuceni z mieszkań, Polacy zaczęli wyrzucać też Żydów. Pierwszą ofiarą padła samotna kobieta: „Miała synka. Nie chciała oddać swojego mieszkania. Polacy zabili ją nożem na oczach chłopaka. Wszyscy Żydzi z Wałbrzycha byli na pogrzebie. Po pogrzebie więcej Żydów zostało zamordowanych. Musieliśmy myśleć o ocaleniu siebie” – relacjonowała Shlafer.

Jeden z październikowych raportów Żydowskiej Agencji Telegraficznej zawiera informację m.in. o zabójstwie żydowskiego dentysty, jedynego w mieście, zastrzelonego w Kamiennej Górze „przez terrorystę w mundurze armii Andersa”. W „Biuletynie Żydowskiej Agencji Prasowej” zachowało się nazwisko zamordowanego — Waldinger. Przyszli do niego „nieznani osobnicy”, z którymi poszedł do gabinetu dentystycznego. Po kilku minutach żona usłyszała wystrzał i jak tam pobięła, znalazła męża w kałuży krwi. Zabójcy uciekli.

BLUMA I BECALEL

Wrocławski historyk i ekonomista Szyja Bronsztejn w rozprawie o powojennej obecności Żydów na Dolnym Śląsku pisze, że dzień po zabójstwie Waldingera „w Dzierżoniowie skrytobójczo zamor-



➤ dowano chaluca Becalela Zylberberga, podczas pełnienia warty w kibucu Ichud. W manifestacyjnym pogrzebie chaluca uczestniczyło około 8 tys. osób, w tym przedstawiciele władz powiatowych i miejskich [...]”.

Zylberberg, jak głosiła klepsydra roz-wieszana w Dzierżoniowie, „przeżywszy najokrutniejszą w historii świata wojnę, zginął od kuli skrytobójczej, gdy wydawało mu się, że wieloletnie marzenia o Wolnej i Niepodległej Ojczyźnie Żydowskiej w Palestynie przyoblekać się już zaczynają w szaty rzeczywistości”.

Jego śmierć odbiła się echem szerszym niż inne wydarzenia. Dlaczego? Przecież jedną ze strategii żydowskich przywódców na Dolnym Śląsku było wyciszanie informacji o antysemickich zajściach. Prasa żydowska uprawiała głównie syjonistyczną propagandę i chętniej pisała o wydarzeniach pozytywnych czy neutralnych. Dużo więcej uwagi poświęcano wydarzeniom w Palestynie niż w Polsce. Panowała — jak nazwał to Marcin Zaremba — „zmora tymczasowości”.

Noach Lasman usłyszał w tramwaju, jak pasażer tłumaczył innemu, że Żydzi „wskutek strasznych przeżyć nabawili się wady wzroku, a nie ma lepszego środka na takie niedomaganie, jak nacieranie oczu krwią niewinnego dziecka”

Właściwie tylko kilka wydarzeń, jak zbrodnia kielecka czy zabójstwo młodej chalucki Blumy Wajn, zamordowanej w marcu 1946 roku, przedostały się na ich łamy. Tutaj tkwi rozwiązanie zagadki — dla społeczności ważne było pojawienie się postaci ikonicznych. Taką była właśnie Bluma Wajn, mógł się nią stać również Becalel Zylberberg.

O Blumie Wajn pisano w „Na Straży. Jednodniówce Syjonistycznej Młodzieży Akademickiej” z marca 1946 roku: „[...] chalucka częstochowskiego kibucu, która przyjechała do Zabrza na seminarium, padła od skrytobójczej kuli. I wtedy jeszcze głębiej zakorzeniła się w nas świadomość, że jedynie nasza syjonistyczna droga jest właściwa, bo da nam państwo, w którym żyć będziemy wolni i bez obaw”.

POGRZEBY JAK MANIFESTACJE

Pogrzeb Blumy stał się okazją do manifestacji partii żydowskich, a jej „grób niknął w powodzi wienców przyniesionych przez delegacje kibuców i organizacji”. Młodzi działacze pisali, że do końca życia „będą kroczyć jej drogą”, a gdy trzeba będzie, „oddadzą życie dla dobra narodu żydowskiego”.

Wśród Żydów krążyły opowieści, że podczas pogrzebu pierwszy raz zagrano i zaśpiewano pieśń „Hatikwa”, która dwa lata później stała się hymnem Izraela. To nie prawda, bo znana była już od dziesięcioleci, ale ta plotka niewątpliwie miała znaczenie dla budowania legendy Blumy Wajn.

Pogrzeb Becalela Zylberberga był również uroczysty. Gazeta „Nowe Życie. Trybuna Wojewódzkiego Komitetu Żydowskiego” 20 października donosiła, że za trumną szła wdowa po Becalelu, z którą ożenił się ledwie trzy miesiące wcześniej. Przed konduktem kroczyło 50 delegacji z wiencami. A nad

mogiłą przemawiali „przewodniczący Komitetu Żydowskiego w Dzierżoniowie ob. Orlin, przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej ob. Michalak, wicestarosta powiatu Rychbańskiego ob. Wasserman, rabin Szapiro (...)”.

Orlin podkreślał, że celem „reakcji” jest zastraszenie ludności żydowskiej, która mimo to „dalej będzie budowała swoje życie na Dolnym Śląsku”. Przedstawiciele polskich organizacji i władz podkreślali, że „sprawców spotka zasłużona kara, a ludność żydowska może liczyć na wzmocnienie bezpieczeństwa oraz stworzenie korzystnych warunków dla odbudowy swojego bytu w demokratycznej Polsce”.

Groźne miny władz miały się nijak do rzeczywistości, antysemicki terror nie zelżał. 3 października napadnięto w Dzierżoniowie na „ośrodki żydowskie i lokale partyjne Bundu, Ichudu i Poal Sijon-Lewica”. Sprawców nie schwytano. 15 października przy kibucu Haszomer Hacair podłożono minę, która eksplodowała — wybuch zniszczył ściany i okna. Szczęśliwie nikt nie ucierpiał.

Listopadowe numery wrocławskiego „Słowa Polskiego” pełne są informacji o takich rozbojach.

ZMIERZCH OSIEDLA

Z pewnością niektórzy Żydzi wierzyli, że „Jidiszer jiszew in Niderszlezje” — żydowskie osiedle na Dolnym Śląsku — przetrwa i uda im się tu zakorzenieć. Do końca 1946 roku liczba żydowskich mieszkańców Dzierżoniowa zmniejszyła się jednak sześciokrotnie. W następnym roku Natan Gross nakręcił propagandowy film o „osiedlu”, w którym zastępy Żydów górników i pracowników kooperatyw miały zaświadczyć o opiekuńczości nowego państwa polskiego.

Natomiast komitet żydowski przygotowywał specjalny pawilon na wrocławską Wystawę Ziem Odzyskanych. Jednak tuż przed jej otwarciem władze kazały rozebrać stoisko, a stosunek partii do żydowskiego nacjonalizmu — nawet w ramach polskiej wspólnoty — zaczynał się zmieniać.

Gross wyjechał do Izraela w 1950 roku, trzy lata później Jakub Egit, główny architekt „żydowskiego osiedla na Dolnym Śląsku”, wyemigrował do Kanady. Do tego kraju najprawdopodobniej wyjechali także Sztarkmanowie.

Latem 1946 roku jechali z Bożej Góry do Kielc na proces Władysława Świdierskiego oskarżonego o wydanie Niemcom rodziny Sztarkmanów — Bajli i Nusyma, których był lokatorem. Dochodzenie umorzono z braku dowodów. ●

Poza prasą korzystałem z kilkunastu opracowań, m.in. autorstwa Szyji Bronsztatna, Aliny Cały, Jana Tomasza Grossa, Bożeny Szaynok, Ewy Waszkiewicz, Ewy Węgrzyn, Pawła Wieczorka i Andrzeja Żbikowskiego.

Okruchy historii

„Krzyżacy” po czesku

W filmie „Dolina pszczoł” bracia zakonni pokazani są inaczej niż u Sienkiewicza – nie jako cyniczni zbrodniarze, lecz ludzie żarliwie i bezinteresownie oddani idei.

Motyka



Gdy mowa o Czechach i zakonie krzyżackim, na myśl przychodzi najczęściej Hlava, dzielny giermek Zbyszka z Bogdańca walczący z van Kristem na dziedzińcu ciechanowskiego zamku. Jednak w czeskiej kinematografii znajdziemy film, w którym obraz Krzyżaków nie jest tak jednoznacznie negatywny jak u Henryka Sienkiewicza i Aleksandra Forda.

Mam na myśli „Dolinę pszczoł” w reżyserii Franciszka Vlačila nakręconą w 1967 roku, a osadzoną w XIII wieku. Jej głównym bohaterem jest Ondrej oddany w młodości przez ojca do zakonu krzyżackiego. Odnaleźć się w nowych warunkach pomaga mu przyjaźń z Arminem van der Heide, fanatycznie oddanym misji zakonu uczestnikiem wyprawy krzyżowej do Ziemi Świętej.

Po latach służby wstrząsem dla Ondreja staje się spotkanie z Rotgierem, który postanowił porzucić Krzyżaków. Nim został skazany za dezercję na śmierć i rozszarpany przez psy, w krótkiej rozmowie obudził w Ondreju tęsknotę za domem. Pod jego wpływem Ondrej ucieka z zakonu do rodzinnego, zaniebanego po śmierci ojca majątku, któremu przywraca dawną świetność. Poślubia też swoją maćochę, równolatkę, z powodu znieważenia której ojciec odesłał go przed laty do zakonu.

Świeckie szczęście bohatera nie trwa zbyt długo. Jego tropem podąża bowiem brat Armin, który otrzymał zadanie sprowadzenia go z powrotem do Malborka. Zabija on świeżo poślubioną żonę Ondreja, a jego samego wzywa do powrotu w szeregi zakonnych rycerzy. Ondrej mści się okrutnie za śmierć małżonki, rzucając Armina żywcem na pożarcie psom, ostatecznie jednak, jak wskazują ostatnie kadry filmu, postanawia powrócić do zakonu.

Dopiero obejrzenie obrazu Vlačila pozwoliło mi uświadomić sobie, iż zakon krzyżacki w Czechach miał swój baliwat. I to nie tylko w średniowieczu, lecz także dziś. Zakonnicy niedawno prze-grali nawet w Czechach proces re-prywatyzacyjny o zamek w Bo-uzovie na Morawach, zabrany im najpierw przez nazistów w 1939 r., a później przez prezydenta Benesa w 1948 r. Co więcej, królestwo czeskie było jednym z bliższych sojuszników Krzyżaków.

Jeszcze w XIII wieku krucjatę przeciwko Prusom zorganizował król Przemysław Ottokar II. Była na tyle udana, że zbudowany w jej efekcie zamek nad Pregolą Krzyżacy na jego cześć nazwali Królewcem.

Także później czescy władcy współpracowali blisko z zakonem. W końcu nie przypadkiem Gniewko, syn rybaka, w dziewiątym odcinku serialu „Znak orła”, otrzymuje od wojewody Wincen-tego z Szamotuł rozkaz poinformowania króla Władysława Łokietka, że „wojska krzyżackie i Jana z Luksemburga mają się spotkać w Kaliszu”. Chętnie zapominamy, iż Luksemburczyk był czeskim władcą roszcującym sobie prawa do polskiego tronu. Gdyby w 1331 roku zdążył pod Kalisz, nie byłoby sukcesu Łokietka pod Płowcami, a losy polskiego państwa potoczyłyby się zapewne inaczej (czytaj: tragiczniej). Ledwo dwa lata wcześniej wojownicy Jan Luksemburski pomagał Krzyżakom w wyprawie przeciwko pogańskiemu Litwinom, a wracając z niej, zmusił po krótkim oblężeniu Płocka do hołdu lennego księstwo mazowieckie.

Malowniczy film Vlačila koncentruje uwagę nie na wydarzeniach politycznych, lecz na zmaganiach chrześcijaństwa z pozostałościami pogaństwa w XIII-wiecznych Czechach. Armin zwyczajnie czeskich chłopów traktuje jak pogańskie gusła, z pasją niszcząc zrobione przez nich z gałęzek drewniane figurki. Z prze-rażeniem też obserwuje, jak żona Ondreja podarowany jej piasek, przywieziony przez niego z wyprawy krzyżowej do Palestyny, wysypuje na ziemię, uznając prezent za bez mała żart.

„Dolinę pszczoł” można odbierać jako przestrogę przed fanatyzmem religijnym. Trzeba jednak przyznać, że jednocześnie Krzyżacy są w nim pokazani jako ludzie żarliwie i bezinteresownie oddani idei. Daleko im do obrazu cynicznych zbrodniarzy, tak plastycznie naszkicowanych w powieści Sienkiewicza.

Sluchając modlitewnych śpiewów krzyżackich zakonników czy widząc, jak Ondrej modli się przed krzyżem, którym staje się wbit w ziemię jego miecz, trudno nie odczuć tęsknoty, jeśli nie za Absolutem, to przynajmniej za chwilą wyciszenia. Gdy więc zobaczyłem w ostatnich kadrach filmu znajomy widok zamku w Malborku, trochę ze zdziwieniem skonstatowałem, że po raz pierwszy dostrzegam w nim, nie twierdząc bezwzględnych grabieżców, lecz klasztor rycerzy mnichów. ●

Prof. Grzegorz Motyka

Autor jest historykiem, politologiem, pracownikiem Instytutu Studiów Politycznych PAN

Tak, jak przed wrześniem 1939 roku sanacyjne władze nie potrafiły powiedzieć Polakom, że armia może ponieść klęskę, lecz wmawiała im, że wsparta przez sojuszników da łupnia Hitlerowi, tak pięć lat później rząd w Londynie i dowództwo AK, bało się powiedzieć społeczeństwu, że Wilno i Lwów nie będą już polskimi miastami. No, chyba że same się okłamywały. Może jedynie generał Kazimierz Sosnkowski wykazał tu zdrowy pesymizm i ostrzegał przed akcją „Burza” gen. Tadeusza Bora Komorowskiego, twierdząc, że radzieckie obietnice nie zostaną dotrzymane.

Można zrozumieć brak orientacji dowódców AK na Kresach. Kilka lat wojny, życie w konspiracji, ukrywanie się w puszczach, brak rozeznania kto wróg, kto przyjaciel. Do tego poczucie misji i odpowiedzialności za żołnierzy, bliskich, no i ziemię, która była ich ojczyzną.

Ale politycy i wojskowi, którzy byli w Londynie oraz w Warszawie, musieli odbierać sygnały, że ziemia na wschód od linii Curzona, czy raczej tego, co za tę linię uchodziło (bo miała ona kilka wersji, a w jednej z nim np. Lwów był po polskiej stronie), są stracone.

Przed wrześniem 1939 roku należało przygotowywać społeczeństwo do klęski i funkcjonowania w warunkach okupacji, zaś wiosną 1944 roku należało je uświadomić, że do Wilna i Lwowa nie ma powrotu. Natomiast są widoki na ziemię nad Odrą oraz na Warmii i Mazurach – należy więc skupić się na ich zagospodarowaniu, a przede wszystkim na unikaniu strat w ludziach.

Łatwo być mądrym i pisać te słowa 80 lat po fiasku akcji „Burza”, gdy już wszystko wiadomo...

BEZNADZIEJNY BÓJ O GRANICĘ RYSKĄ

Trzeba jednak przyznać, że w 1944 roku nikt Polaków nie okłamywał. Stalin, gdy tylko w sojuszu z Hitlerem zajął część Polski we wrześniu 1939 roku – wcielił jej wschodnie ziemie do Związku Radzieckiego na drodze „plebiscytów” i trwał na tym stanowisku konsekwentnie. Potwierdził je zresztą w oświadczeniu 11 stycznia 1944 roku.

Zachodni alianci, a właściwie tylko Winston Churchill, próbowali mediarować między polskim rządem, a Kremlm, na temat przyszłych granic Polski, lecz dawali do zrozumienia, że nie sprzeciwia się zajęciu przez Związek Radziecki wschodnich ziem II Rzeczypospolitej. Premier Wielkiej Brytanii publicznie mówił 22 lutego w Izbie Gmin, że rozumie żądania terytorialne Związku Radzieckiego, który poniósł tak ogromne straty podczas wojny.

Polski rząd jednak trwał przy „granicy ryskiej”, gdy potężna radziecka machina wojenna zajmowała już Wołyń. Trzeba było chyba wymagać z pamięci doświadczenia z 17 września 1939 roku i lat 1939-1941 oraz relacje tych, którzy uniknęły Katynia, ale dobrze poznali Syberię, by nie rozumieć, co się święci.

W maju 1944 roku doskonale już z całej sytuacji zdawali sobie sprawę żołnierze z korpusu gen. Włady-

TRAGICZNA „OSTRA BRAMA”

Rozpoczęta 80 lat temu przez AK operacja potwierdziła to, co już i tak było wiadome: Kresy są stracone, a alianci Polsce nie pomogą. Żołnierze i zwykli ludzie mogli tego nie rozumieć, polscy przywódcy powinni.

Andrzej Brzeziecki



• **Żołnierze AK i czerwonoarmiści na ulicy Wielkiej w Wilnie** FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

слава Andersa – w dużej mierze właśnie pochodzący z Kresów, którzy odmówili zrazu walki o Monte Casino. Uważali, że skoro nie wrócą już do swoich domów, nie ma po co się bić. Anders musiał złamać ich opór. Walki o klasztor we Włoszech przyniosły polskim żołnierzom chwałę i żadnych politycznych korzyści rządowi w Londynie.

ŻADNEGO MIRU NIE BĘDZIE

Tymczasem doświadczenie polskich żołnierzy z AK z radziecką partyzantką były różnorakie – w zależności od terenu i jego składu narodowościowego. W Okręgu Nowogródek były złe i już od końca 1943 roku wiadomo było, że miru żadnego nie będzie. W lutym następnego roku nawet najbardziej ufni wobec intencji Moskwy musieli zwątpić, gdy przy jednym z zabitych partyzantów radzieckich znaleziono rozkazy mówiące wprost, że polskich partyzantów należy rozbrajać, odsyłać do obozów, a opornych zabijać na miejscu.

Późniejsze aresztowania i egzekucje potwierdziły prawdziwość

dokumentów. Sytuacja była tak ciężka, że niektórzy oficerowie, by ratować życie swych podwładnych, zaczęli rozmawiać z Niemcami – co zostało potępione przez komendaturę AK.

W Okręgu Wileńskim złe doświadczenia sięgały także 1943 roku, gdy podstępnie aresztowano i zamordowano część polskich partyzantów, z Antonim Burzyńskim „Kmicicem” na czele. To właśnie dowództwo jego oddziału przejął potem Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, tworząc swą słynną 5 Wileńską Brygadę AK.

CO ROZUMIAŁ „ŁUPASZKA”, A NIE ROZUMIAŁ „WILK”

Stanowisko władz w Londynie w kwestii zbliżającej się wielkiej armii Stalina było niejasne i niekonsekwentne. Także koncepcja akcji „Burza” była kilkakrotnie zmieniana. Początkowo nie planowano jej w miastach, a już na pewno w Warszawie. Pierwsze wołyńskie doświadczenia kazały zmodyfikować zamiar, bo walki z Niemcami

w tamtejszych wsiach nie bardzo dały się nagłośnić propagandowo. Potrzebny był większy sukces.

Dlatego postanowiono wziąć udział w walkach o Wilno i Lwów. Ostatecznie na walkę skazano także Warszawę.

Rozkazy wydawane przez generała „Bora” Komorowskiego z jednej strony zalecały elastyczne podejście do sytuacji, z drugiej przerzucały podejmowanie decyzji na lokalnych dowódców AK, którzy nijak nie mogli orientować się w szerszym kontekście politycznym.

Gdy Armia Czerwona podchodziła pod Wilno, dowódca tamtejszej AK Aleksander Krzyżanowski „Wilk” zgodnie z rozkazem otrzymanym w Warszawie, podjął próbę opanowania miasta, a następnie wystąpienia przed „sojusznikiem” w roli gospodarza. Wspomniany „Łupaszka” odmówił udziału w akcji, wieszcząc tragedię.

CHYBA CHCĄ NAS ZLIKWIDOWAĆ

Inni jednak posłuchali rozkazu. AK miasta ostatecznie nie zdobyła, zajęli je 13 lipca żołnierze radzieccy. Już

dzień wcześniej podpułkownik Krzyżanowski raportował do Londynu, że podejrzewa, iż celem sowietów jest „likwidacja naszych oddziałów”. Był, nawet wedle założeń „Burzy” na straconej pozycji – nie zdobył miasta, nie mógł więc witać wojsk radzieckich jako gospodarz, choć pewnie niewiele to zmieniało.

Nie omylił się. 18 lipca Krzyżanowski został aresztowany przez samego generała Iwana Sierowa z NKWD. Podobny los spotkał polskich oficerów zaproszonych „na naradę” w Boguszy, których otoczyli żołnierze NKWD i kazali oddać broń.

Niedobitki, w liczbie kilku tysięcy żołnierzy, zdołały znaleźć schronienie w Puszczy Rudnickiej. O mały włos nie doszło tam 19 albo 20 lipca do poważnej bitwy z Armią Czerwoną. Miała ona być dramatycznym bojem, który obudziłby sumienie Zachodu.

Wiara w moralne gesty, które przełożą się na polityczne decyzje, była powszechna wśród Polaków, którzy wychowali się na XIX-wiecznej literaturze. Tak rozumował podpułkownik Maciej „Kotwicz” Kolenkiewicz, wcześniej największy zwolennik walk o Wilno. Jednak większość oficerów zdecydowała, że należy zwolnić żołnierzy z przysięgi i pozwolić im wrócić do domów. Wielu zostało jednak aresztowanych. Część wstąpiła do armii Berlinga, innych wywieziono w głąb ZSRR, skąd wrócili dopiero dwa-trzy lata później.

PRELUDIUM DO POWSTANIA

Prof. Grzegorz Motyka napisał w jednej ze swych prac, że słusznie zrobiono, unikając niepotrzebnego rozlewu krwi – bo przecież Polacy tej bitwy nie mogli wygrać. Zrazem pytał, czy gdyby do bitwy jednak doszło i opadłyby już wszelkie zasłony, bo stosunek Moskwy do Polaków okazałby się jawnie wrogi, to czy kierownictwo AK kontynuowałoby akcję „Burza” i wywołało powstanie w Warszawie? Nie znalazł na to pytanie odpowiedzi.

Można podejrzewać, że nawet ewentualna rzeź w Puszczy Rudnickiej nie powstrzymałaby polskich dowódców od idei zademonstrowania woli walki Polaków i kazałaby oni kontynuować „Burzę”.

Historyk Jerzy Łojek przekonywał, że „doświadczenia powstania wileńskiego w lipcu 1944 roku powinny być unaocznic dowództwu AK, iż dalsze próby wywołania przed frontem sowieckim antyniemieckich powstań – zamiast zachowania żywej siły AK na okres drugiej okupacji – musi obrócić się przeciw Sprawie Narodowej. Dziecinny zamiar udowodnienia aliantom i Stalinowi, że Polska gotowa jest do walki, i że – wbrew sowieckim oskarżeniom – AK nie stoi »z bronią u nogi«, spowodował militarną i polityczną katastrofę w postaci powstania warszawskiego”.

A jednak powstanie w Warszawie wywołano, ponieważ zdecydowano się kontynuować akcję „Burza”. Argumentowano, że tragiczne doświadczenia za Bugiem niekoniecznie muszą się potwierdzić na ziemiach, które Stalin gotowy był zostawić przy Polsce, czyli na zachód od linii Curzona.

Tym samym ją poniekąd... akceptowano, choć wcześniej kazano w geście sprzeciwu wobec niej ginąć tysiącom żołnierzy. ●

Silmi nie wyróżnia się spośród 3,4 tys. wysp należących do Korei Południowej. Może tylko tym, że łatwo tu dotrzeć. Z obsługującego seulską metropolię międzynarodowego lotniska Incheon miejski autobus zabierze nas w niecałe pół godziny na wyspę Muui, potem kwadrans marszu pośród sosen i znajdziemy się na nadmorskiej plaży, skąd na Silmi wiesz piaszczysta grobla.

Wysepka jest mała, ledwie ćwierć kilometra kwadratowego. Poza wąskim paskiem plaży wyścielanej grubym dywanem muszli, całą jej powierzchnię zajmują granitowe skały porośnięte gęstą roślinnością. Przejście między wyspami, zalewane podczas przypływu, oznakowano linami, do których przylgnęły małże i wodorosty. Tablica zakazuje zbierania owoców morza przez osoby nieuprawnione.

To królestwo mew. Na Silmi nikt nie mieszka, najbliższe żywe dusze widać na małym kempingu na Muui. Poza resztkami fundamentów i zarosniętą studnią na górze ani śladu dramatycznych wydarzeń sprzed ponad pół wieku. W sumie nic dziwnego: to był wstydlawy epizod w historii Korei.

ZABIĆ PREZYDENTA

Jego detonatorem było wydarzenie ze stycznia 1968 roku. Wówczas, 15 lat po zakończeniu wojny koreańskiej i podziale półwyspu na dwa państwa, na Południu pojawili się agenci Północy z zamiarem zabicia prezydenta Parka Chung-hee. Przywódca Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej Kim Ir Sen wierzył, że udany zamach wywoła w Seulu rozruchy i stworzy grunt pod rewoltę, która doprowadzi do wyrzucenia wojsk USA z Południa i zjednoczenia półwyspu. Możliwe, że natchnęły go sukcesy partyzantów z Wietnamu Północnego, którzy w końcu lat 50. XX wieku wywołali powstanie komunistyczne przeciwko reżimowi w Sajgonie, wspieranemu przez Amerykanów tak, jak rząd na południu Korei.

W siłach specjalnych Korei Północnej utworzono w tym celu specjalny „Oddział 124”. Przez dwa lata 31 rekrutów przechodziło rygorystyczne szkolenie, które obejmowało symulację ataku z wykorzystaniem pełnowymiarowej makiety Błękitnego Domu, pałacu prezydenckiego w Seulu.

W styczniu 1968 roku oddziałowi udało się przejść przez granicę. Został jednak zauważony przez wieśniaków, którzy zaalarmowali wojsko. Niektórym udało się wymknąć pościgowi i w mundurach południowokoreańskiej armii przedostali się do centrum Seulu. Zatrzymano ich 100 metrów od celu.

Przeżyło tylko dwóch członków „Oddziału 124”. Ich biografie w tym miejscu zupełnie się rozjechały: Pak Jae-gyong uciekł z oblawy, wrócił do Korei Północnej i dosłużył się generała. Kim Shin-jo został schwytany, długo był przesłuchiwany, w telewizji przyznał, że przybył po to, aby poderżnąć gardło prezydentowi Parkowi.

Ostatecznie ułożył sobie życie w Korei Południowej: dostał obywatelstwo, został pastorem. Jego rodzice i krewni na północy zostali w zemście zabici przez służby komunistycznego reżimu.

TAJNA JEDNOSTKA 684

Dwa miesiące po tej akcji Park zwołał naradę z dowódcami wojska i wywiadu, podczas której zapadła decyzja o odwecie. Początkowo rozważano uderzenie w bazę północnokoreańskich sił specjalnych. Z kolei według Kima Yi-tae, jednego z oficerów bezpośrednio zaangażowanych w szkolenie oddziału odwetowego, misja miała polegać na wysadzeniu elektrowni wodnej na rzece Bujin, w wyniku czego zatopiono by dwa miasta – Hamheung i Wonsan.

Śmielszy plan przyjęto po zmianie na stanowisku szefa agencji wywiadowczej Korei Południowej — jakocel wskazano rezydencję Kim Ir Sena.



• Jedno z niewielu zdjęć oddziału, który przygotowywał się do zamachu na Kim Ir Sena
FOT. YANG DONG-SOO



• Kadr z filmu „Silmido” z 2003 roku. Komandosi są w nim przedstawieni jako skazańcy, których wyciągnięto z więzień
FOT. REUTERS PHOTOGRAPHER / REUTERS / FORUM

STRACENICY Z WYSPY SILMI

Oddział stworzony po to, by zamordować przywódcę Korei Północnej, nagle zmienił front i postanowił zgładzić swojego patrona – prezydenta Korei Południowej.

Robert Stefanicki

Oddział, który miał tego dokonać, liczył 31 członków – dokładnie tyle, ilu Korea Północna wysłała do Seulu. Operacji nadano kryptonim „Borsuk”. Jednak jest ona bardziej znana pod numerem, jaki nadano jednostce komandosów: 684 – od daty jej powołania w kwietniu 1984 roku. Nadzór zlecono siłom powietrznym, ponieważ pierwotny plan przewidywał zrzut spadochroniarzy w pobliżu rezydencji „Wielkiego Wodza” Korei Północnej.

Proces rekrutacji komandosów był tak osobliwy, że znawca Korei Andriej Łankow w artykule dla portalu NK News wysunął podejrzenie, iż organizatorzy operacji od początku nie wierzyli w jej sukces i że były to działania pozorowane. Nakręcony w 2003 r. film fabularny „Silmido” („do” oznacza wyspę) pokazuje, że wszyscy agenci byli skazańcami wyciągniętymi z więzień. Tak wówczas uważano.

W tej wersji historia mocno przypominała hollywoodzki hit „Parszywa dwunastka” o oddziale złożonym ze skazańców, którzy szykują atak na ukrytych w zamku dowódców nazistowskich. Prawda wyszła na jaw kilka lat później, gdy rząd w Seulu powołał komisję do wyjaśnienia okoliczności działania Jednostki 684.

AGENCI Z WYGLĄDU

Rzeczywiście pierwotnie planowano zwerbować skazanych na karę śmierci, ale ponoć sprzeciwiło się temu ministerstwo sprawiedliwości. Ostatecznie zwerbowano cywilów. Yang Dong-soo, były szkoleniowiec Jednostki 684, po latach powiedział CNN, że członków zespołu wybierano głównie na podstawie wyglądu. Oficerowie wywiadu zaczęli mężczyzn, którzy „wyglądali, jakby uprawiali sport i mieli mocną budowę ciała”. Był wśród nich pacybut, gazeciarz, pracownik kina, bramkarz w klubie.

Dlaczego zgadzali się na udział w tak szaleńczej misji? Można się domyślić dwóch motywów: finansowego i patriotycznego. Wytypowanych do werbunku przekonowano, że jeśli zabiją największego wroga ojczyzny, zostaną bohaterami narodowymi.

Kandydatów na agentów, nazywanych wówczas stażystami, zakwaterowano na Silmi razem z podobną liczbą żołnierzy, którzy ich pilnowali i szkolili. Uczyli się jak przetrwać w skrajnie trudnych warunkach, czytania map, obchodzenia się z bronią, materiałami wybuchowymi i sprzętem radiowym. Ćwiczyli też walkę wręcz.

Szkolenie trwało trzy lata. Było tak intensywne i wyczerpujące, z elementami tortur, że siedmiu uczestników go nie przeżyło.

UCIECZKA „STAŻYSTÓW”

Z czasem warunki życia w bazie na Silmi były coraz gorsze. Zaczęło brakować żywności, ryż był luksusem. Komisja rządowa stwierdziła, że kursanci byli sfrustrowani złym traktowaniem i więziennym regulaminem, w tym długą wstrzemięźliwością seksualną. Dlatego kilku spróbowało ucieczki.

Pierwszego śmiałka złapano i dla przykładu pobito na śmierć. Kilka miesięcy później, w listopadzie 1970 r., kolejni trzej kursanci uciekli z Silmi na wyspę Muui, gdzie uprowadzili i zgwałcili dwie kobiety. Żołnierze z Jednostki 684 wyruszyli, aby schwycić dezerterów. Gdy ci zorientowali się, że są otoczeni, wzięli zakładników – dziewięciu uczniów i nauczyciela z miejscowej szkoły. Jednocześnie zdali sobie sprawę, że popełnili błąd: myśleli, że uciekając z Silmi zabrali ze sobą granaty ręczne, a były to bezużyteczne petardy dymne.

Próbowali popełnić samobójstwo, używając noży do ostróg – jedynej broni, jaką mieli. Nie udało im się to, zostali schwytani, a następnie brutalnie zabici – dwóch pobito na śmierć, jednemu ścięto głowę.

Na podstawie zdjęć lotniczych wojsko zbudowało replikę rezydencji Kim Ir Sena, którą wykorzystano do ćwiczeń. Po rozważeniu różnych opcji analitycy sił powietr-

nych zrezygnowali z użycia samolotów, ponieważ wykryłyby je północnokoreańskie radary. Zamiast tego podjęli decyzję o dotarciu do celu balonem.

Z kolei film „Silmido” pokazuje, że agenci wyruszyli na północ łodziami, do tego podczas sztormu, ale zaraz po wypłynięciu zostali na rozkaz Seulu zawróceni – co zdaje się nie odpowiadać faktom.

ODWOŁANA OPERACJA „BORSUK”

W 1971 roku relacje obu Korei zaczęły się poprawiać, oba kraje nawiązały nieformalny dialog mający oddalić ryzyko kolejnej konfrontacji zbrojnej. Prezydent Park ponownie wymienił szefów resortów siłowych, którzy podjęli decyzję o likwidacji bazy na Simli.

Zdaniem Andrieja Łankowa, rolę odgrywały też inne względy. W 1968 roku za pragnieniem zabicia Kim Ir Sena stała żądza zemsty. W grudniu następnego roku Pjongjang dołożył do pieca, porywając południowokoreański samolot pasażerski z 50 osobami na pokładzie.

Wytypowanych do werbunku przekonywano, że jeśli zabiją największego wroga ojczyzny, zostaną bohaterami narodowymi

Zemsta jest motywem silnym, ale niekoniecznie racjonalnym. Z czasem emocje opadły i decydenci w Seulu prawdopodobnie bardziej obiektywnie oceniali sytuację. Zamach na Kima miał niktłe szanse powodzenia. A nawet gdyby się powiódł, niewiele by dał. O ile zabójstwo Parka Chung-hee faktycznie mogło doprowadzić do chaosu na Południu, który komuniści mogli wykorzystać, to mało prawdopodobne, aby śmierć Kim Ir Sena spowodowała znaczące zmiany w Korei Północnej. Jego następcą zostałby najpewniej jeden z zaufanych towarzyszy, który utrzymałby kraj na tym samym kursie.

BUNT REKRUTÓW

Gdy rekruci dowiedzieli się o odwołaniu operacji, wpadli w rozpacz. Zaczęło do nich docierać, że trzyletnia gehenna nie miała żadnego sensu. Do tego podejrzewali, że wojskowi dostali polecenie zabicia ich, żeby plan się nie wydał (wbrew temu, co pokazuje film, nie ma dowodów, że taki rozkaz został wydany). Nie wiedzieli, czy są więźniami z wyrokami na czas nieokreślony, czy skazanymi na śmierć.

23 sierpnia 1971 roku na Silmi wybuchł bunt. Żołnierz Yang — jeden z nielicznych, którzy ocalili — opowiedział, że rankiem tego dnia większość funkcjonariuszy prowadzących szkolenie była pijana. Poprzedniego wieczoru wypili pierwszy od ponad

trzech lat alkohol, przywieziony za zgodą dowódcy, żeby osłodzić minorowy nastrój.

O szóstej rano rekruci wtargnęli do pokoju kapitana, zabili go młotkiem, ukradli amunicję i zaczęli zabijać strażników. Spośród 24 przeżyło tylko sześciu.

Yang opowiadał, że tego ranka przygotowywał się do wyjazdu na kontynent po zaopatrzenie, gdy usłyszał strzały. Na początku myślał, że to atak północnokoreańskich sił specjalnych. Wtedy rekrut strzelił mu w szyję.

– Kiedy się obudziłem, krwawiłem. Dookoła trenerzy byli zabijani, ranni usiłowali uciec i byli dobijani. Panował chaos – wspominał Yang, który zdołał ukryć się wśród skał otaczających plażę.

Po dokonaniu masakry buntownicy uciekli z wyspy i porwali autobus z pasażerami. Skierowali się do Seulu z zamiarem zamordowania Parka Chung-hee, którego obwiniali o zrujnowanie im życia.

Ponieważ istnienie Jednostki 684 było tajemnicą, władze ogłosiły, że to północnokoreańscy komandosi próbują przedostać się do miasta, co było wówczas całkiem prawdopodobne.

Ich los był przesądzony. Wojsko zatrzymało autobus na blokadzie. Wywiązała się strzelanina. Czterech rekrutów zginęło, dwóch zmarło później w wyniku odniesionych ran, a 14 popełniło zbiorowe samobójstwo, detonując granaty.

„Po eksplozji to ja składałem kawałki zwłok. Było śmierdząco i gorąco” – powiedział cytowany w „Korea Herald” Lee Jun-young, który wcześniej odsłużył 10 miesięcy na wyspie Silmi. „Jeden nie miał nogi, drugi nie miał połowy twarzy, ktoś nie miał ręki, jedno ciało było podzielone na pół”.

W strzelaninie zginęło też sześciu cywilów i dwóch policjantów. Przeżyło czterech buntowników. 10 marca 1972 r. zostali straceni po procesie przed trybunałem wojskowym. Wszystkich pochowano w nieoznakowanych mogiłach, bez powiadamiania rodzin. Podobnie żołnierzy. Przez trzy lata dzielili wspólny los, podzielili go też po śmierci.

PRAWDA PO LATACH

Film „Silmido” kończy symboliczna scena: akta sprawy zostają zamknięte w szafce archiwum, która nieotwierana przez lata pokrywa się kurzem i rdzą.

Aż do lat 90. XX wieku rząd Korei Południowej ukrywał informacje dotyczące Jednostki 684. Dopiero po przełomie demokratycznym nowe władze zaczęły wyciągać trupy z szaf dyktatorów wojskowych, którzy wcześniej rządili w Seulu. Prezydent Roh Moo-hyun powołał komisję do odfalszowania historii. W 1999 r. ukazała się książka o wydarzeniach na Silmi, ale dopiero jej udana ekranizacja uświadomiła Koreańczykom dramat, jaki się tam wydarzył.

Komisja dopiero w 2006 r. opublikowała oficjalny raport na temat Jednostki 684, przebiegu i przyczyn buntu. Trzy lata później rodziny 21 rekrutów pozwały rząd o odszkodowanie. Sąd nakazał wypłacie im równowartości ponad 21 tys. dol. na głowę. W uzasadnieniu napisano, że agenci nie zostali poinformowani o poziomie niebezpieczeństwa związanego z ich szkoleniem, surowość treningu naruszyła ich podstawowe prawa człowieka, ponadto rodzinom zadano dodatkowy ból, zatajając informacje o śmierci ich bliskich.

Kilka lat temu rząd Korei Południowej ogłosił plan utworzenia „jednostki dekapitacyjnej”, co jest eufemizmem określającym oddział zabójców, wyznaczonych do namierzenia i wyeliminowania przywódców Korei Północnej. Nie jest to powtórka z operacji „Borsuk”. Komandosi mieliby ruszyć do akcji dopiero w wypadku jakiegoś ataku sił z Pjongangu, w ramach operacji odwetowej. Samo podanie tego faktu do wiadomości publicznej pokazuje, że w założeniu jest to przede wszystkim element polityki odstraszania mający powstrzymać północnokoreańskie prowokacje. ●

Natęcz



Trwa hybrydowa agresja Rosji na Polskę. Mnożą się ataki cybernetyczne i podejrzone akcje dywersyjne w postaci coraz częstszych i tajemniczych podpałek. Bezustannie atakowana jest granica polsko-białoruska, a przecież Łukaszenko to tylko narzędzie w rękach Putina.

Cel tych działań jest aż nadto przejrzysty. Dyktator z Kremla, roześlony wsparciem Polski dla Ukrainy chce udowodnić światu, że Polska to państwo na tyle słabe, że nie potrafi bronić swoich granic. A cóż wart jest kraj, który skutecznie atakują bandy dywersantów, dla niepoznaki kryjące się za uchodźcami, szukającymi schronienia w Unii Europejskiej. Chodzi też o pogłębienie polskich podziałów. Putin liczy zwłaszcza na presję obrońców praw człowieka, broniących uchodźców, blokowanych na granicy przez polskie władze.

Zadziwiające, jak obecna akcja przypomina działania dywersyjne podejmowane przez sowiecką Rosję dokładnie sto lat temu. W 1924 roku także przedmiotem agresji była granica polsko-białoruską. Była wówczas kilkakrotnie dłuższa i przebiegała kilkaset kilometrów na wschód od obecnej. Białoruś nie była niepodległym państwem, tylko częścią imperium sowieckiego. Formalnie funkcjonowała jako Białoruska Socjalistyczna Republika Radziecka, ale faktycznie rządziła nią Moskwa, a nie Mińsk.

Na Kremlu, zaraz po zakończeniu wojny polsko-sowieckiej w marcu 1921 roku, podjęto decyzję o zorganizowaniu wielkiej akcji dywersyjnej wymierzonej w Polskę. Miała ona zdestabilizować sytuację na Kresach Wschodnich i doprowadzić do ich przyłączenia do Rosji sowieckiej. Dywersję drapowano w szaty rodzimego oporu, krzepnącego jakoby w miarę umacniania się białoruskiej świadomości narodowej, zwracającej się przeciwko polskiej dominacji, nieliczącej się z aspiracjami i potrzebami miejscowej ludności. Aby zwiększyć efekt propagandowy, część napałów stylizowano na akcje Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej z lat 1905-1908, wymierzone w rosyjskiego zaborcę.

Tomasz Natęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Historia krzepi

Pierwsza wojna hybrydowa

Atakując polską granicę Putin kopiuje strategię sprzed stu lat.

Nie przejmowano się faktem, że nie miało to nic wspólnego z rzeczywistością. Tak naprawdę Białorusinom, zwłaszcza warstwom ceniącym sobie wolność, o wiele lepiej żyło się w demokratycznej Polsce niż pełnym zamordyzmu imperium bolszewików.

Pierwsze działania dywersyjne podjęto w 1922 roku, a apogeum osiągnęły dwa lata później, kiedy doszło do ponad dwustu mniejszych i większych aktów dywersji. Zuchwalstwo napastników przybrało takie rozmiary, że granicę przekraczały całe kilkudziesięcioosobowe oddziały sowieckich sił specjalnych, świetnie uzbrojone i dobrze wyszkolone do działań dywersyjnych. Ich łupem padały coraz poważniejsze cele.

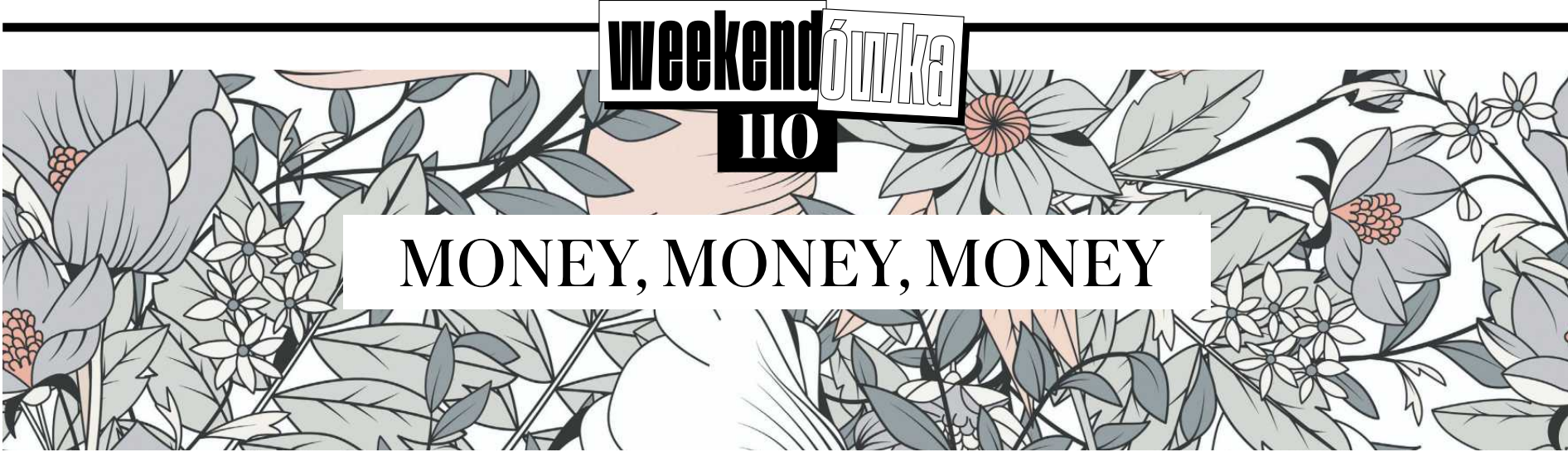
W nocy z 3 na 4 sierpnia 1924 roku jeden z oddziałów zajął powiatowe miasto Stołpce, oddalone od granicy o 15 km. Napastnicy zniszczyli komendę policji i budynek starostwa, podpalili dworzec kolejowy oraz ograbili wszystkie sklepy i magazyny handlowe. Opalowali też więzienie i oswobodzili blisko 150 więźniów, w tym białoruskich działaczy komunistycznych. W starciu zginęło 7 polskich policjantów i jeden urzędnik starostwa.

Jeszcze większym echem odbił się przeprowadzony 23 września 1924 roku atak na pociąg pod Łunińcem, oddalonym od granicy aż o 50 km. Napastnikom chodziło o przewożone tym składem pieniądze, ale trafiła im się dodatkowa zdobycz w postaci podróżujących pierwszą klasą dostojników: wojewody poleskiego, wojewódzkiego komendanta policji i miejscowego biskupa. Upokorzono ich boleśnie, ale puszczono wolno, najwyraźniej nie mając instrukcji, co zrobić z takim łupem.

Opinia publiczna zawrzała oburzeniem, domagając się stanowczych kroków od rządu. Premier Władysław Grabski wojewodami kresowymi mianował generałów, a wojsko otrzymało specjalne pełnomocnictwa w celu zwalczania wszelkich niepokojów. Korzystano z tych uprawnień na tyle energicznie, że na lewicy, wtedy też wyczulonej na kwestie praw obywatelskich, pojawiły się oskarżenia o wskrzeszenie praktyk carskich generał-gubernatorów.

Przenikaniu grup zbrojnych przez granicę skutecznie i szybko zapobiegł Korpus Ochrony Pogranicza, który utworzono jesienią 1924 roku. Pomógł fakt, że i sama Moskwa, gdzie na Kremlu trwała rywalizacja o sukcesję po niedawno zmarłym Leninie, odstąpiła od ostrej konfrontacji z Warszawą, w nowych warunkach coraz trudniejszej do wygrania. ●

Tomasz Natęcz



Pokój paryski, zawarty w 1783 roku, oficjalnie potwierdzał powstanie na mapie świata nowego państwa – Stanów Zjednoczonych. Oficjalnie, bowiem właśnie na mocy tego traktatu Brytyjczycy pogodzili się z utratą kontroli nad swymi amerykańskimi koloniami i uznali niepodległość swego niedawnego przeciwnika.

Wiadomo, że jednym z fundamentów niepodległego państwa jest emisja własnej waluty. Jeśli chodzi o USA to oficjalnie stało się to 6 lipca 1785 roku. Wówczas to obradujący w Nowym Jorku Kongres Kontynentalny - ustanowił jako walutę amerykańskiego dolara.

Co jednak ciekawe, początki dolara wcale nie są nowojorskie, a... czeskie. Otóż na przełomie XV i XVI wieku w Czechach, a dokładnie w pobliżu miasta Jáchymov w północno-zachodniej części kraju, odkryto ogromne pokłady srebra. Tamtejszy hrabia, Hieronymus Schlick rozpoczął bicie srebrnej monety, która odznaczała się starannym wykonaniem i czystością kruszcu użytego do produkcji. Niemiecka nazwa Jáchymova to Sankt Joachimsthal więc monetę określano mianem Joachimsthaler Gulden. W skrócie: thaler, czyli po naszymu talar. A po angielsku? Tak jest, dolar.

Dolary przybyły do Ameryki za pośrednictwem holenderskich kolonistów, ale to dolary przywiezione na kontynent przez Hiszpanów stały się dalece powszechniejsze.

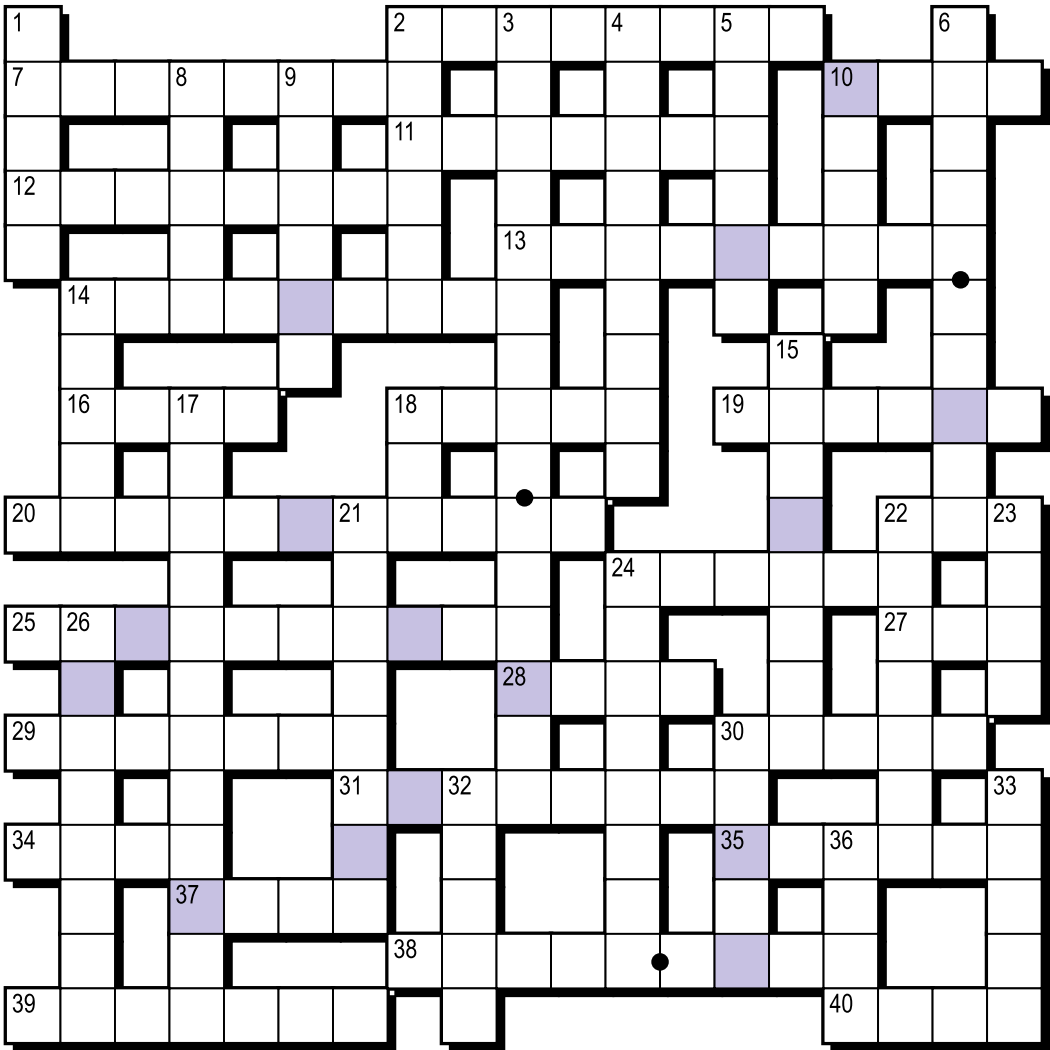
I stąd ten amerykański dolar (wcześniej, przed wojną z Brytyjczykami, w obiegu były tzw. kontynentale, drukowane na gigantyczną skalę, co doprowadziło do wysokiej inflacji). Pierwszy był zatem srebrny, zawierał 375 granów (1 gra to ok. 1/7000 funta) tego kruszcu, a zdołała go kobieca personifikacja Wolności na awersie oraz z reguły podobizna amerykańskiego orla na rewersie.

Generalnie aż do 1909 roku na amerykańskich monetach nie umieszczano podobizn sławnych, zasłużonych dla kraju osób. Dopiero w 133 rocznicę Niepodległości, i w setne urodziny Abrahama Lincolna twarz tegoż prezydenta ozdobiła monetę.

Srebrny dolar wart był na początku 1000 kontynentali, zaś w Konstytucji zapisano, że żaden stan nie ma prawa bić własnej monety – by na przyszłość uniknąć właśnie hiperinflacji i bałaganu.

Ta 239. rocznica ustanowienia dolara amerykańskiego dla nas stanowi pretekst do poświęcenia dzisiejszej „Weekendówki” pieniądzom w ogólności. Wbrew przestrogom prezesa Ryszarda Ochódzkiego pomieszczone w niej nie tylko dwa, ale i więcej jeszcze systemów walutowych i zaprosimy Państwa do „Weekendówki-gotówki”.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 109 z 29.06:

Poziomo: 6) symbole 8) Avalon 9) kronselka 10) kosztła 11) matka 14) ocet 15) grawitacja 19) calvados 20) amator 22) trumna 23) reneta 24) Karewicz 25) złoto 26) uroda 28) miasto 30) chipsy 31) cynamon 34) świat 35) motyl 37) siewka 39) wino 40) Nowy Jork 42) Pomona 43) susz 44) rdza 45) smok

Pionowo: 1) Lenartowicz 2) zatoka 3) kaczki 4) Komet 5) koksa 6) słoik 7) musy 11) MacIntosh 12) Tell 13) Adam 14) owocówka 16) rumieniec 17) Watteau 18) tarta 21) kusza 24) komputer 27) odmiana 28) myśli 29) smaki 32) Newton 33) Norwid 35) myłka 36) kosze 38) iPod 39) wosk 41) kęs

HASŁO:
SZARLOTKA NA DESER

KRZYŻÓWKA-GOTÓWKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) dawny woreczek na pieniądze; trzos
- 7) poczęstuj go PIN-em, a odwiedzaj się gotówką
- 10) ... szterling
- 11) pieniądze na czarną godzinę
- 12) kierunek studiów, na których uczą o monetaryzmie i keynesizmie
- 13) nazwisko reżysera filmu „Pieniądze to nie wszystko”
- 14) dzwonią w portmonetce
- 16) pieniądze z albańskiej apteki (znaczy się: mennicy)
- 18) ... nadpłaty, mile widziany przez podatnika po złożeniu rocznego formularza PIT
- 19) potocznie zwana parkietem
- 20) łapownictwo
- 22) 1 ... = 100 senów (JPY)

- 24) bywała walutą Hiszpanii przed wprowadzeniem euro
- 25) gdy pieniędzy wiele, wkoło przyjaciele
- 27) formularz, na którym składa się zeznanie podatkowe
- 28) euro sprawiło, że już nie dźwięczą Włochom
- 29) Ebenezer, skąpiradło z „Opowieści wigilijnej” Karola Dickensa
- 30) potocznie o pieniądzach albo o słabych papierosach
- 31) dawna moneta mająca wartość zabytkową
- 34) może być bajorńska
- 35) nie ma darmowych! (czyli: za wszystko trzeba płacić), w tytule książki Milтона Friedmana, monetarysty uhonorowanego Noblem
- 37) krążą po Korei Południowej (KRW) lub Północnej (KPW)
- 38) ważna, wpływowa osoba; potentat

- 39) ... i bankowość lub ... przedsiębiorstw, kierunek studiów
- 40) „Bo to, co nas podnieca, to się nazywa ...”

Pionowo:

- 1) cyrkulacja pieniądza w gospodarce
- 2) wystąpi, gdy kupiło się drożej, a sprzedało taniej
- 3) król władający pięćdziesięciotótkami
- 4) unijny bilon
- 5) żartobliwie o mieszkańcu wawelskiego grodu (zwanym także centusiem z racji przesadnej oszczędności)
- 6) wśród zabezpieczeń banknotów
- 8) kojarzy się z dwudziestoseściocyfrowym numerem
- 9) przebój Republiki („Ta piosenka jest pisana dla pieniędzy”)
- 10) dobrze mieć jej jak lodu!
- 14) 1 USD

- 15) „Money” Floydów, „Money, Money, Money” Abby i „Easy Money” Nicka Cave’a
- 17) bank jako instytucja pożyczająca pieniądze
- 18) wypłata emerytury
- 21) interesują rentiera
- 22) kraj, którego jednostką monetarną jest 22 poziomu
- 23) ... obciążeniowa, wystawiana w dziale finansowym
- 24) ... finansowa, struktura o charakterze przestępczym (schemat Ponziego)
- 26) wystawiane przez sprzedawców, wykonawców usług
- 30) ... procentowe, ustalone przez Radę Polityki Pieniężnej
- 32) musical, w którym śpiewają: „Pieniądze, pieniądze, wskażcie mi drogę, bo błądzą”
- 33) potocznie o banknocie z Mieszkim
- 36) azjatycki kraj, w którym płaci się dinarami

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WSPRZEDAŻY

wysokieobcasy

TEMAT NUMERU:
Dość życia z narcyzem

MONIKA BRODKA:
Czuję się bardziej warszawianką niż góralką

DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA